

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

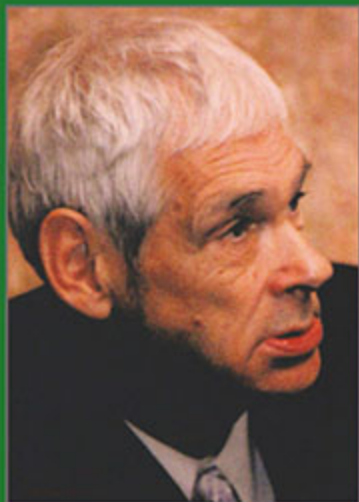
ISSN 2392-2753

Rok V • Nr 1 (20)

2020

J. Andrzejczak
A. Bernat
K. Beśka
J. Binkowski
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
A. Brousek
K. Chmiel
K. Choiński
V. Čtvrtek
J. Cywińska
A. Dutka-Mańkowska
S. Gibaszek
B. Hrabal
J. Inglot
J. Jagiełło
K.A. Jeżewski
H. Kowalewska
A. Książek
J. Kulmowa
G. Kurylewicz
G. Łatuszyński
W. Mandryka-
-Bukowiński
J. Marciniak
M. Marjańska-Czernik

P. Müldner-Nieckowski
A. Nagy
W. Oramus
J. Pankiewicz
A. Patey-Grabowska
M.J. Piasecka
J.K. Piasecki
M.K. Piekarska
Z. Posmysz
Baśka eR
K. Rudziński
K.S. Schreyer
J. Seipp
W. Shakespeare
A. Sobolewska
K. Sutarski
D. Suwalska
W. Szymborska
J. Śleszyński
K. Świegocki
O. Tokarczuk
J. Vladislav
A. Vuletić
G. Walczak
P. Wojciechowski
Z. Zbikowski



Andrzej Szmidt



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok IV Nr 1 (20) 2020

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska, Prezes
OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,

Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Korekta

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Krzysztof Bielecki, Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Taki sam, a jednak inny... ..3

Piotr Müldner-Nieckowski

Order Orła Białego dla Z. Posmysz... ..5

Złoty Medal Zasługi Republiki

Serbii dla G. Łatuszyńskiego... ..7

Kazimierz Świądecki

Laudacja na cześć K.A. Jeżewskiego... ..9

Stypendia MKiDN... ..13

BOŻE NARODZENIE 2019

List poetycki J. Andrzejczaka... ..14

W 2019 roku z OW SPP odeszli... ..15

Jerzy Binkowski

Wariatka... ..16

Baśka eR

Oplatek na SOR-ze... ..17

Anna Bernat

O! Płatek!, Oplatkowe życzenia... ..18

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Anioł wzywa, Nad śnieg bielszy... ..20

Jolanta Cywińska

Nasz niepodzielny oplatek... ..22

Anna Dutka-Mańkowska

***... ..23

Joanna Jagiełło

Oplatek twojego ucha... ..23

Piotr Müldner-Nieckowski

Nie milcz, nie kryj słów... ..24

Alicja Patey-Grabowska

Wigilijny oplatek... ..25

Maria Jolanta Piasecka

Mur i oplatek – piosenka... ..26

Jan Krzysztof Piasecki

Oplatek i hostia... ..27

Małgorzata Karolina Piekarska

Oplatek?... ..27

Krzysztof Saturnin Schreyer

Oplatkowe przesłanie... ..28

Konrad Sutarski

Wigilijny wieczór... ..29

Grzegorz Walczak

Oplatek... ..30

Piotr Wojciechowski

W Aniołów tłumie... ..31

Zbigniew Zbikowski	
kapota opata	33

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Joanna Jagiełło	
Zuza	34
Dorota Suwalska	
Jajko	43

KRYTYKA

Katarzyna Chmiel	
(Krzysztof Beška)	47
Sylwia Gibaszek	
(Anna Sobolewska)	49
Grzegorz Walczak	
(Olga Tokarczuk)	54

POEZJA

Janusz Andrzejczak	
Być poetą i inne wiersze	58
Anna Bernat	
Listy od ojca do syna	61
Sylwia Gibaszek	
Każdy cyrk	67
Krzysztof Andrzej Jeżewski	
Sen XLV i inne wiersze	68
Andrzej Książek	
Jedna opcja i inne wiersze	75
Wiesław Mandryka-Bukowiński	
Twój szepc... i inne wiersze	79
Jerzy Marciniak	
wspominanie wspomnień	84
Piotr Müldner-Nieckowski	
Napis w obronie..., Kula szpaków ..	86
Alicja Patey-Grabowska	
Nienasylenie i inne wiersze	88
Krzysztof Rudziński	
Biała czapeczkai inne wiersze	91
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Wielki wernisaż i inne wiersze	96
Jerzy Seipp	
Jak udało mi się to spieprzyć?... ..	99
Jerzy Śleszyński	
Olga i inni, Chłód	104

PROZA

Janusz Andrzejczak	
Witrażyki	106

Krzysztof Beška	
Duchy rzeki Pregel.	109
Tamara Bołdak-Janowska	
Szczęście	115
Krzysztof Choiński	
Nowe życie 1919	122
Jacek Inglot	
List do Prezydenta	130
Hanna Kowalewska	
Okna z widokiem na Weronę.	133
Piotr Müldner-Nieckowski	
Su come acquistare in grandi negozi.	143
Wiesława Oramus	
Jasełka	148
Jacek Pankiewicz	
Kosmos – do remontu!	152
Maria Jolanta Piasecka	
Zesłana.	158
Zofia Posmysz	
Przyjaźń.	161
Krzysztof Rudziński	
„Gryzi piórkami”... ..	182
Grzegorz Walczak	
Rudolph Valentino.	187
Piotr Wojciechowski	
Miękkie serce	191

PRZEKŁADY

Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
(Antonin Brousek, Jan Vladislav) ..	195
Gabriela Kurylewicz	
(William Shakespeare)	197
Grzegorz Łatuszyński	
(Andjelko Vuletić)	204
Maria Marjańska-Czernik	
(Bohumil Hrabal, Václav Čtvrtek) ..	216

SZKICE

Jerzy Binkowski	
Dwie duże dziewczynki... ..	222
Konrad Sutarski	
Przykazania	228

WYWIADY

Alicja Nagy	
Nasz Polak – Konrad Sutarski	230

Małgorzata Karolina Piekarska

Taki sam, a jednak inny, bo z medalami!

Ten numer jest z pozoru taki sam jak poprzednie, a jednak inny. Taki sam, ponieważ... jak zwykle różnorodny. Jest tu poezja pełna niezwykle delikatnych wierszy pisanych przez kobiety, bo autorstwa m.in. Anny Bernat, Sylwii Gibaszek czy Alicji Patey-Grabowskiej. Są szkice i wywiady – m.in. Konrada Sutarskiego, który pisze dla nas z Budapesztu. Jest literatura dla dorosłych, jak fragmenty najnowszej powieści Hanny Kowalewskiej czy Krzysztofa Beški, ale i kolejne wspaniałe opowiadanie Piotra Müldnera-Nieckowskiego z cyklu „jednym zdaniem”. Są tu teksty dla dzieci i młodzieży Joanny Jagiełło i Doroty Suwalskiej. Jest też plon naszego tradycyjnego konkursu na wiersz okolicznościowy związany z Bożym Narodzeniem. Tym razem tematem był Oplątek, a prac napłynęło dużo, tak że plon rywalizacji jest dość obfity.

Ale jest też coś, czego do tej pory nie było w takiej liczbie. Są to medale! Niby w ubiegłym numerze pisaliśmy o noblowskim medalu Olgi Tokarczuk, więc można powiedzieć, że mamy tu pewne powtórzenie, a jednak... Nobel to nagroda literacka i z pewnością najważniejsza w dzisiejszych czasach. Teraz mamy jednak do czynienia z odznaczeniami, które są przyznawane nie tylko pisarzom. Nie są więc nagrodami literackimi. Oto (w kolejności alfabetycznej i chronologicznej) Grzegorz Łatuszyński otrzymał 9 stycznia Złoty Medal Zasługi Republiki Serbii, a 24 stycznia Zofia Posmysz otrzymała Order Orła Białego. Medal, którym uhonorowano Grzegorza, republika Serbii przyznaje za wybitne zasługi i osiągnięcia w różnych dziedzinach życia i pracy. Jemu wręczono go za sześćdziesiąt lat przybliżania

serbskiej poezji Polakom, a polskiej Serbom. Z kolei Zofię Posmysz wyróżniono Orderem Orła Białego, który przyznawany jest za wybitne zasługi cywilne i wojskowe dla pożytku Rzeczypospolitej Polskiej. Otrzymują go najwybitniejsi Polacy. Zofia Posmysz została nim udekorowana w uznaniu m.in. zasług w upowszechnianiu wiedzy o Holokauście i martyrologii Polaków. Medal Grzegorza Łatuszyńskiego dowodzi, że literatura to pomost między narodami, a order Zofii Posmysz, że literatura to świadectwo prawdy. W połączeniu z medalem noblowskim Olgi Tokarczuk te odznaczenia są namacalnym znakiem, że pisanie ma bardzo głęboki sens, a przed pisarzami nieustannie stoją ważne zadania.

Małgorzata Karolina Piekarska

Zofia Posmysz

odznaczona Orderem Orła Białego

W dniu 24 stycznia 2020 r. Prezydent Rzeczypospolitej Andrzej Duda nadał Zofii Stefanii Posmysz-Piaseckiej najwyższe odznaczenie państwowe RP – Order Orła Białego. Jak podano w dokumencie, wyróżnienie to zostało przyznane „w uznaniu znamienitych zasług w upowszechnianiu wiedzy o Holokauście i martyrologii Polaków, więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych w czasach II wojny światowej, za przekazywanie świadectwa prawdy o zagładzie poprzez działalność artystyczną i twórczą”.





Prezydent powiedział między innymi:

– Chcę pani bardzo serdecznie podziękować w imieniu Rzeczypospolitej za to, że podzieliła się pani i nadal dzieli od tylu lat świadectwem, ale bardzo specyficznym, takim niezwykle ludzkim. Wolnym od nienawiści, patrzącym w człowieka, do jego głębi, do jego sposobu pojmowania świata i sposobu patrzenia na ten świat. Pani świadectwo stanowi ogromnie ważną, polską spuściznę tamtego czasu widzianą oczyma Polki. Pani Zofia Posmysz jest osobą, która w niezwykle sposób przeżyła ten dramat, jakim

było zniewolenie, uwięzienie w obozie koncentracyjnym i obozie zagłady.

– Jak to mogło mi się przydarzyć, że Oświęcim, który wydawał mi się końcem mojego życia, w jakiś inny sposób je zapoczątkował?! Kilka dni temu, kiedy usłyszałam w telefonie głos, który przekazał mi informację o przyznaniu Orderu Orła Białego, pomyślałam, że ktoś chyba żartuje. Odłożyłam słuchawkę z tą myślą, że to był żart. Następnego dnia postanowiłam zadzwonić do Kancelarii Prezydenta (...) i zanim odnalazłam numer tej Kancelarii, ktoś zadzwonił do mnie i potwierdził tę sprawę, i prosił o ustalenie terminu. Sama myślałam, że to jest nieprawda. Dlaczego? Za co? Co ja takiego uczyniłam, że takie spotyka mnie odznaczenie i takie wyróżnienie? Ogromnie dziękuję, ale dziękuję przede wszystkim Panu Bogu. Bo wierzyłam w to, że za tym się kryje jakaś inna siła – ta siła, która pozwoliła mi przetrwać Oświęcim – zakończyła pisarka.

Gratulujemy Naszej Wspaniałej, powszechnie lubianej i cenionej Koleżance i cieszymy się, że otrzymała wyróżnienie, na które wbrew temu, co z właściwą sobie skromnością mówi, zasługuje jako niedościgła Mistrzyni.

Piotr Müldner-Nieckowski

W dziale „Proza” Podglądu zamieszczamy utwór Laureatki pt. Przyjaźń

Złoty Medal Zasługi Republiki Serbii

dla

Grzegorza Łatuszyńskiego



Гжегож Латушински, Република Пољска - златна медаља за заслуге!
Ambasador Serbii Nikola Zurovac wręcza odznaczenie

Są ambasadorowie, którzy pracują poza kadencjami. To ambasadorowie słowa: poezji i prozy. Jednym z nich jest Grzegorz Łatuszyński, który w Polsce pełni rolę honorowego ambasadora poezji serbskiej, a w Serbii ambasadora poezji polskiej. 9 stycznia 2020 roku nasz kolega został udekorowany przez ambasadora Serbii w Polsce Nikołę Zurovaca Złotym Medalem Zasługi Republiki Serbii, nadanym przez Prezydenta Serbii Aleksandra Vučića.

Uroczystość odbyła się w ambasadzie Serbii w Warszawie. Odznaczenie jest wyrazem uznania dla sześćdziesięcioletniej intensywnej pracy tego wybitnego sławisty, krytyka literackiego, tłumacza i poety na rzecz wzajemności kulturalnych i literackich, najpierw polsko-jugosłowiańskich, a następnie polsko-serbskich.



Od lewej: Grzegorz Łatuszyński, Wojciech Kaliszewski, Anna Nasiłowska, Wacław Holewiński

Łatuszyński, poprzez wybory i przekłady, przybliżył czytelnikom polskim współczesną poezję serbską. Jest autorem dwutomowej autorskiej antologii, liczącej ponad 1100 stron.

Udało mu się również zapoznać czytelników serbskich ze współczesną poezją polską. W 2012 roku w Novim Sadzie ukazała się mniejsza antologia jego autorstwa, a obecnie ukazuje się wielka, dwutomowa, która przybliży Serbom 102 poetów polskich – od Zbigniewa Bieńkowskiego po Tadeusza Dąbrowskiego. Promocja pierwszego tomu przewidywana jest na wiosnę 2020 roku.

W czasie uroczystości wręczania Grzegorzowi Łatuszyńskiemu Złotego Krzyża Zasługi Republiki Serbii laudacje na cześć odznaczonego wygłosili: prezes Zarządu Głównego SPP prof. Anna Nasiłowska oraz dr Wojciech Kaliszewski, oboje z Instytutu Badań Literackich PAN. Laureat otrzymał też z rąk Małgorzaty Karoliny Piekarskiej, prezes Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Złotą Odznakę SPP.

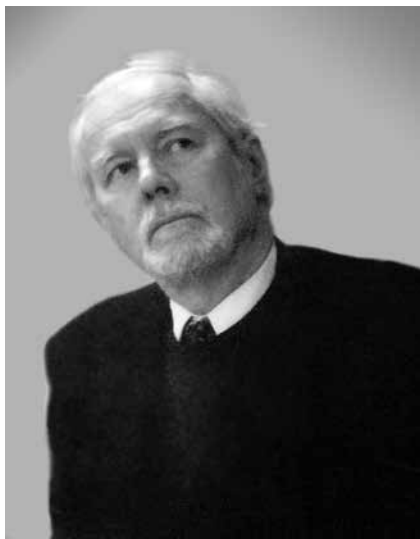
Gratulujemy Naszemu Drogiemu Koledze odznaczeń, które dokumentują jego cenione przez nas osiągnięcia literackie jako znakomitego tłumacza, pisarza, poety i wydawcy. Są to także z dawna oczekiwane wyróżnienia Grzegorza Łatuszyńskiego za upowszechnianie poezji polskiej w Europie.

Redakcja

Laudacja na cześć Krzysztofa Andrzeja Jeżewskiego

wygłoszona przez
Kazimierza Świegockiego
dnia 21 listopada 2019 roku z okazji wręczenia
nagrody im. Witolda Hulewicza

Mówić o zasługach Krzysztofa Andrzeja Jeżewskiego dla naszej kultury narodowej można by bardzo długo. Gdy spogląda się na listę jego dokonań, rodzi się w nas podziw dla ich ogromu i różnorodności. Najbardziej i najszerzej znany jest jako tłumacz literatury współczesnej, zwłaszcza poezji, z języków zachodnich na polski – z francuskiego, hiszpańskiego, włoskiego, angielskiego, a także z niderlandzkiego i niemieckiego. W tym ostatnim przypadku jest to barokowa poezja śląskiego mistyka niemieckojęzycznego – Anioła Ślązaka (łac. *Angelus Silesius*).



Krzysztof Andrzej Jeżewski

Można jednak sądzić, że pomimo wielkiej wagi tych przekładów, bo przecież Jeżewski tłumaczy tylko najwybitniejszych autorów, dając w ten sposób obraz najważniejszych zjawisk w literackiej kulturze Zachodu, nie ta część jego trudu translatorskiego jest najważniejsza. Jeszcze większej miary i wagi są jego przekłady z języka polskiego na francuski dzieł naszych wybitnych prozaików i poetów dwudziestego wieku. Liczba ich sięga pięćdziesięciu pozycji książkowych. Dzięki niemu znana się stała nasza literatura współczesna w ważnym ciągle obszarze kultury francuskojęzycznej. Dość wymienić tu takich autorów jak Gombrowicz, Kuśniewicz, Miłosz, Baczyński, Schulz, Andrzejewski, Szymborska, Różewicz.

Jeżewski tłumaczył również twórczość Jana Pawła II. Przekładów swoich dokonuje przy współpracy wybitnych poetów francuskich, co gwarantuje w pełni profesjonalny efekt artystyczny. Najwięcej serca i talentu włożył w przekłady dzieł Cypriana Norwida. Pod jego piórem słynne dzieło tego poety *Fortepian Szopena* znalazło znakomitą translatorską realizację i rozsławiło nie tyle Chopina, którego od dawna zna już przecież cały świat, ile Norwida i polską klasyczną poezję. Niezwykłej wagi stało się monumentalne wydanie *Vade-mecum* Norwida w jego opracowaniu i przekładzie z grupą wybitnych poetów francuskich. Jest też autorem bardzo frapującej idei/hipotezy o wpływie myśli i poetyki chińskiej na Norwida. Zawarł ją w swej książce *Cyprian Norwid a myśl i poetyka Kraju Środka* wydanej w 2011 roku w Polsce i we Francji. Od roku 2004 Krzysztof Andrzej Jeżewski pełni funkcję prezesa paryskiego towarzystwa Les Amis de C.K. Norwid.

Do działalności ściśle translatorskiej dołącza się ważna działalność publicystyczna Laureata w zakresie popularyzowania naszej kultury nie tylko literackiej. Występował on m.in. z prelekcjami: *Tysiąc lat kultury polskiej*, *Tysiąc lat muzyki polskiej*, *Młoda Polska w muzyce*, *Karol Szymanowski*, *Andrzej Panufnik*, *Roman Maciejewski*. Publikował liczne artykuły na temat polskiej muzyki i jej związków z poezją.

Tyle w największym skrócie o Jeżewskim jako tłumaczu i popularyzatorze polskiej kultury na Zachodzie. Dotarliśmy bowiem do najważniejszej dziedziny twórczej Krzysztofa Andrzeja Jeżewskiego – do jego własnej poezji. Najważniejszej, choć najmniej znanej. Ale taki to już bywa los tłumaczy wielkiej literatury światowej, że sami, jeśli są również oryginalnymi twórcami, często pozostają w jej cieniu. Krzysztof Jeżewski jest poetą najwyższej miary, równym największym z tłumaczonych przezeń na język polski oraz tłumaczonych z polskiego na francuski. Z trzynastu wydanych dotychczas tomików poety, co najmniej dwa zasługują na miano arcydzieł. Są to: *Muzyka* (1955) oraz *Płomień i noc* (2012). Ale i w pozostałych tomach jest wiele wierszy, o których chciałoby się powiedzieć to samo, a najwięcej może w *Kryształowym ogrodzie* i *Księdze snów*. Słowem, jest to, w naszych tak dla prawdziwej poezji niezwykłych czasach, poezja wielka. Wielka sztuką słowa, artyzmem, wyobraźnią, jak i głębią, bogactwem treści. W pełni zasługuje na miano poezji metafizycznej i w znacznym stopniu mistycznej w szerszym tego słowa znaczeniu. Dotyka fundamentalnych spraw ludzkiego losu. Sięga do pryncypiów naszej egzystencji. Szukając źródeł naszego bytu, wykracza poza granice widzialnego świata w sferę transcendencji, a więc w to, co jest w dosłownym znaczeniu metafizyczne,

więc pozazjawiskowe, noumenalne. Ta poetyckim słowem dotknięta i przybliżona rzeczywistość wzbudza u odpowiednio wrażliwego odbiorcy te przeżycie ponadestetyczne, które są wywoływane tylko przez wyjątkowe dzieła sztuki.

Poezja ta czerpie swą siłę ze specyficznego języka, na który składa się wizyjne obrazowanie i bogactwo symboliki, zawarte w religijnych mitach i archetypach. Poeta tworzy z nich kompozycje, które mają w sobie coś z prorocstwa, coś z katastroficznych przeczuć losu naszej cywilizacji, emanują sakralną powagą i robią wrażenie natchnionych. Ta poezja jest hieratyczna w swym skupieniu niczym egipska rzeźba. Trudno znaleźć dla niej wyraźny antecedenens w naszej tradycji poetyckiej. Z pewnością źródeł jej można by szukać w późnym (mistycznym) Słowackim, bardziej jeszcze w Tadeuszu Micińskim. Jej źródła biją w romantyzmie. Ostatecznie jednak jest to poezja osobna. Jej miejsce w panoramie historycznej polskiej poezji jest jedyne w swoim rodzaju. Emanuje aurą kultury śródziemnomorskiej i biblijnej z pewnymi śladami kultury Wschodu. Widoczne jest to zwłaszcza w tomach *Muzyka* oraz *Płomień i noc*. Pierwszy prezentuje poetyckie wizje duchowych przesłań wybranych sześćdziesięciu czterech dzieł muzycznych – od średniowiecza do współczesności. Drugi dotyczy malarstwa od Rublowa i Van Eycka do obecnego czasu.

Takie dzieła jak poezja Krzysztofa Andrzeja Jeżewskiego nie mogą zbyt łatwo stać się popularne i głośne. Ich sprawiedliwe uznanie wymaga czasu. Za to mają realne szanse na długie trwanie w kulturze. Za jedną z zapowiedzi takiego ich losu można uznać przekłady dwóch wspomnianych tu wcześniej tomików na język angielski (*Muzyki* oraz *Płomienia i nocy*) i trzech na język francuski przez wybitnych profesjonalnych tłumaczy i wydanych przez prestiżowe wydawnictwa.

W osobie Krzysztofa Andrzeja Jeżewskiego Kapituła Nagrody imienia Witolda Hulewicza nagrodziła wybitny talent poety i myśliciela, wielkiego patrioty i ambasadora polskiej kultury na Zachodzie.

Kazimierz Świegocki

Stypendia

Ministra Kultury

i Dziedzictwa Narodowego

dla członków OW SPP

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznało swoje stypendia twórcze na rok 2020 w dziesięciu kategoriach. Spośród 168 stypendystów blisko trzydziestu to twórcy literatury, wśród nich także członkowie SPP.

Oddział Warszawski w tym gronie reprezentują Joanna Siedlecka, Małgorzata Strękowska-Zaremba oraz Jan Strękowski.

Serdecznie Kolegom gratulujemy, a Ministerstwu dziękujemy!

Redakcja

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Boże Narodzenie 2019

hasło: **Opłatek**

W czasie spotkania opłatkowego w 2019 roku z powodu choroby zabrakło Krajowego Duszpasterza Środowisk Twórczych, ale zebrani członkowie OW SPP życzyli mu serdecznie zdrowia i dedykowali swoje utwory, tym razem wywoływane na hasło: „Opłatek”. Było dużo poezji, życzeń i ciepła.



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska, 1981

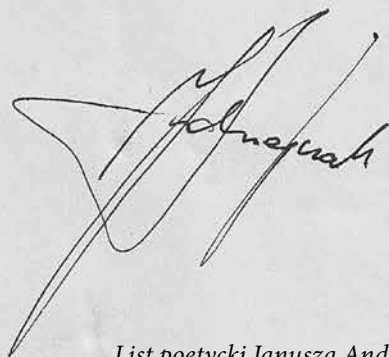
TORUŃ, BOŻE NARODZENIE 2019

- Z najserdecznościami dla wszystkich,
którzy zapatrzą się w tę kartkę!

Noc zimowa nie składa
w pustkę, kariatokocia
mroź przez szybę patrzy
w kwiatach i paprociach

Święty Mikołaj możył
w śniata strony ostrej
noc nie srebrną prosiły
podrą renifery

Półga za rybą śniatło
kryje z lodu okno
zajechał do stajenki
Bogu atozyc pokłon



List poetycki Janusza Andrzejczaka

W 2019 roku z OW SPP odeszli do Niebieskiego Oddziału

ale cały czas o nich pamiętamy

i na spotkaniu opłatkowym uczciliśmy ich pamięć

Urszula Gutowska zm. 11 lutego 2019

Zdzisław Tadeusz Łączkowski zm. 30 marca 2019

Irena Harasimowicz-Zarzecka zm. 28 kwietnia 2019

Maciej Parowski zm. 3 czerwca 2019

Anita Halina Janowska zm. 6 czerwca 2019

Ryszard Bugajski zm. 7 czerwca 2019

Krzysztof Zarzecki zm. 18 lipca 2019

Anna Bojarska zm. 26 lipca 2019

Jerzy Wojciech Borejsza zm. 28 lipca 2019

Tadeusz Komendant zm. 31 lipca 2019

Franciszek Jaszuński zm. 21 sierpnia 2019

Bogdan Świecimski zm. 27 sierpnia 2019

Florian Śmieja zm. 4 września 2019

Wiktor Reyzz-Rubini zm. 7 listopada 2019

Jerzy Binkowski

Wariatka

Maleńką rączkę chwycił podczas pierwszych kąpiei.
Prowadził do przedszkola, obejmując paluszki swoją dłonią.
Pokazywał, jak trzymać długopis, aby literki i myśli nie były koślawe.
Machał w oknie na dziesiątym piętrze, gdy wychodziła do szkoły.

Lubił, jak wyciągała ramiona, gdy stawał na progu domu po pracy.
Potem czekał na peronie, aby cieszyć się wiatrem z wybrzeża w jej oczach.
I kiedy szła z Piotrem do ołtarza, uśmiechała się przez ramię, do swego
tatko.

Gdy urodziła Weronikę, podała mu maleńką, aby przytulił ją
[i pobłogosławił.

A dzisiaj, w wigilię Bożego Narodzenia, Maria – trzymając kruszynę
opłatka – ucałowała jego dłoń.

Białystok, 24.12.2019



Anioł Bożonarodzeniowy. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Baśka eR

Opłatek na SOR-ze

Wezwałam pogotowie ratunkowe
Już mnie dobrze znają – skręt jelit niesie
Porodowy ból jakbym była złą matką
Stale noszę w sobie ten pradawny rytuał
Kroplówka za Kroplówką niosą ulgę
Czy to narodziny Boga czy przekleństwo
Opiatów które znoszą cierpienie
Powstawania życia – władcy wszechświata
I świętecznej apatii
Obok leży młody człowiek z rozbitą głową
On zalicza od dwóch tygodni bratanie się
Ze śmiercią alkoholem i samotnością
Próbują go reanimować daremny trud
Postanowione – już musi odejść w doskonałej nieświadomości
Trochę mu zazdroszczę – nic nie czuje i nie martwi się
O brak wigilijnej kolacji dla zrozpaczonej rodziny
Naprzeciwko starsza pani walczy z arytmia
Troskliwe córki modlą się by ukochane serce
Jeszcze przemówiło moje się zbiera do wyjścia
Ponaglone myślami o samotnym bracie
Znowu zawiodłam znowu bratam się ze śmiercią
A duch święt zanika u kolejnej postaci
Która pragnie przetrwać okłamuje lekarza
W domu czekają zwierzęta które przemówią

Anna Bernat

O! Płatek!

Dla Janka Ciechana

O! Płatek! O! Płatek!
Dziecko wokół stołu tańczy!

Na przezrystym obrusie
w sianku płatek biały
Nowonarodzony
tak cichutki, tak mizerny
zstąpił prosto z nieba

Opłatek?!

Tak to opłatek
wigilijny, praśny
z mąki i wody święconej
tajemnica piekarzy

Opłatek
aby nim się dzielić
aby się radować
aby jak pasterze
wyśpiewywać Gloria!

Wigilia 2020

Opłatkowe życzenia

Dla Janka Ciechana

Przemarzyłś od smutku
aż do czarnej nitki
zostań Wędrowniczku

Wigilijną nocą
opłatek cierpliwie
na stole cię czekał

Ostrożnie z ogniem słów
choć myśl płomienna
postaraj się o zgodę
jak o okrusz chleba

Przecież wystarczy
blask gwiazdy za oknem
uśmiech świeczki na stole
gałązka świerkowa
żebyś Wędrowniczku
miał za co kolędować

Zostań na kolędę
opłatkiem się podziel
wiera nadzieja i miłość
będą z tobą w drodze
Wędrowniczku

Wigilia 2019

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Anioł wzywa

(pastorałka doroczna)

Na niebie światła, w powietrzu muzyka,
strach pastuszkowi, co nagle ją słyszy,
budzi więc towarzyszy – niech prędko pomyka
każdy, kto ma nogi.
Patrzcie tam, to nie pałac, nie z marmuru progi,
tylko oparty o skały
sklecony z desek baraczek ubogi.

Anioł nas wzywa do stajenki,
tam płacze chłopczyk maluteńki,
bo trąba grzmi za mocno na te małe uszy,
a śpiew anielski, choć każdego wzruszy,
nie da spać słabutkiemu Bogu-Człowiekowi.
Kładą palce na ustach pastuszkowie mali
– ciiiiii....
Lecz anioł dalej trąbi, w złoty czynel wali,
żeby z najdalszych pastwisk wszyscy tutaj szli.

W górze, jak nieba dany im zadatek,
Miesiąca bęben
jasny jak opłatek,
jednym chleb,
drugim – odnaleziona drachma,
lśni.

Nad śnieg bielszy

(rozbieranie opłatka)

Obrus, na białym biały talerz,
na białym talerzu, sam biały.
Płaski i mały,
mdły, aż prze-zro-czysty opłatek.

Płatek śniegu,
 płatek lnu na słońcu bielony, nie w chlorku.
 Bilecik wizytowy, bilet na wieczerzę.

Trochę mąki, trochę wody, trochę ognia,
 a potem, aby nabrał mocy, dobre słowa i krzepiący znak,
 dla jednych święty,
 dla innych – magia,
 wyciśnięty – z, czy wciśnięty – w
 formy.

Tak
 mały, kruchy, blady,
 płaski, a tak pełen znaczeń,
 gdzie się to mieści?!

pomiędzy słodkie obrazki i siano złożony, jak w żłobie,
 czeka
 na dłonie i usta,
 taki kruchy, a tak się trzyma jak most,
 który łączy dwa brzegi – łagodny i stromy,
 dziki i uładzony, brzeg prawy i lewy.

Tak kruchy, a ma siłę,
 tak płaski ma głębię.

Inaczej –
 udaje chleb czy chlebem jest praśnym,
 materiałem na świętość czy lekkim wafelkiem?

Mniej ważne,
 jest znakiem,
 aby nigdy nie zabrakło chleba.

Chodzą za nim i przed nim
 słowa krzepiące lub wzniosłe;
 pokój i dobro, miłość i zgoda,
 sytość, zdrowie i pomyślność
 solidarność, szczodrość
 i inne

brane z sufitu
 albo prosto z nieba.

Karmiący tłumy.

Nie zdefiniują najtęższe rozumy –
 potrawa paradoksalna –
 łamiąc się – jednoczy, wzmacnia, utrwała,
 wyciąga z biedy,

jak niegdyś apteczne,
z nim coś gorzkiego łatwiej przełknąć.
Łamany pomnaża się przez podział
jak ewangeliczne chleby.
Odrasta.
Co roku o tej samej porze
Odrasta, jak krążek Luny.
Doświęca to, co przyziemne.
Przyświeca.

Jolanta Cywińska

Nasz niepodzielny opłatek

Poszliśmy wszyscy do stajenki,
Ale nikt tam na nas nie czekał.
Żłóbek był pusty, anioły nie grały na trąbach,
Zwierzęta obojętnie przeżuwały siano,
A my przyszliśmy tu szukać miłości,
A może tylko zrozumienia dla naszych ludzkich słabości
Albo przyjaznego ciepła...
Już sami nie wiedzieliśmy, czego nam brakuje najbardziej.
Ruszyliśmy stamtąd zawiedzeni, leniwym znużonym krokiem.
Po drodze zaczepił nas kolejny Święty Mikołaj.
Liczył sto złotych za wigilijny wieczór,
po promocyjnej cenie, w tym dzieci uściska gratis.
W markecie było mnóstwo świateł, ale nie grzały, tylko jaśniały pustką,
pocieszały, że nie jesteśmy sami, póki mamy rzeczy.
A jeśli nam czegoś brakuje, to zawsze możemy kupić.
Ba, na przykład kupiony przyjaciel, jest nawet lepszy od darmowego.
Nie targają nim zbędne emocje, nie mówi prawdy w oczy.
A miłość? Tu dopiero jest różnorodność ofert. Jest z czego wybierać.
Jednak najwięcej spełnienia daje dział alkoholowy.
Unosi prosto do Nieba. Zagryźć można opłatkiem. Amen.

Anna Dutka-Mańkowska

* * *

Tej zimy nie było śniegu
opłatki pokryły ziemię
każdy miał się z kim dzielić
każdy miał jasny wzrok.

Joanna Jagiełło

Opłatek twojego ucha

opłatek
wygina się w mojej dłoni
jak pobielone wzgórza
po których zjeżdżaliśmy na foliowych torbach

pęka i kilka okruchów
wypryska jak fajerwerki nasienia

teraz opowiadasz naszym dzieciom o chmurce
która pluje śniegiem

a ja muszę dzielić się ze wszystkimi innymi
cioteczką Felicją, wujkiem Henrykiem i tą twoją kuzynką,
która połknęła cytrynę

opłatek jak tamten nienapisany list
podarte fragmenty na dnie kosza na śmieci
krążą w moim krwiobiegu
na granatowym niebie skrzepy śniegu

podchodzisz na końcu
a ja ufam, że nie jestem ostatni tylko na deser

i że tamci – najedzeni białym ciastem
szybciej sobie pójdą

zacięłaś się tarką do warzyw
i na tym małym kawałku tylko dla mnie
czerwienieje kropla krwi
jak na prześcieradle kiedy cię brałem
bez względów bez względu na wszystko

czy się ośmielę?
nie sprzątać resztek ryby, która nigdy nie widziała Grecji
tylko nadgryźć opłatek twojego ucha
zębem bezczasu
zlizać z twojej skóry resztki świątecznych smaków
i urodzić cię na nowo, taką jaką kiedyś byłaś
w szopce moich ramion
w nagim mieście
pod białymi gwiazdami

Piotr Müldner-Nieckowski

Nie milcz, nie kryj słów

(Wigilia Bożego Narodzenia 2018,
bierzesz mnie na bok
i zanim się podzielimy
białym płatkem nienarodzonego jeszcze
Chleba, pytasz, to odpowiadam:)

Odezwij się niech wróg twój się dowie
jak złym jest teoretykiem milczenia
On puszcza do ciebie oko tylko że
wydłubane z głowy śniętego karpia

Oderwij się od ciężaru kamienia
który cię trzyma w samym sednie bruku
Niech noga wroga nie znaczy cię podeszwą
niech nie tłucze cię obcasem obciachu

Nie wahaj się i powiedz głośno co wiesz
o tym złodzieju oszuście nadczłowieku
Czas najwyższy nie ma co czekać
niech on się stanie swoją ofiarą

Alicja Patey-Grabowska

Wigilijny opłatek

Już i ziemia
pod śnieżnym obrusem
Na choinkach
migocą gwiazdy

Jaka cisza
w wigilijny wieczór...

Przyłóż ucho
do serca drzewa
a usłyszysz:

Wiatr w gałęziach
kolędy śpiewa
i podzielić się chce
z Tobą
opłatkiem

Maria Jolanta Piasecka

Mur i opłatek – piosenka

Mamy pół klucza, mamy pół drzwi,
gdzieś jeden ogród zapewne mamy...
Przyszło nam jednak u wejścia tkwić,
pragnąc pewności, może za wcześnie
być całym lasem, niebem, łąkami...
Lecz coś dzielimy a coś przedzielamy,
Mur i opłatek jest między nami...

Mamy pół siebie tak w półjasności
i właśnie czmycha nam życia chwilka.
Śnią nasze dłonie i nasze oczy,
którym całości bronimy dotykać
niepewni, choć przecież zdecydowani...
Czemu dzielimy i przedzielamy?
Mur i opłatek jest między nami...

Mamy pół miejsca, mamy pół czasu
i jedną ścieżkę, choć niezbyt prostą.
Możemy razem, teraz lub nigdy,
pragnąc miłości, chcieć bardzo mocno
to, co dzielimy i przedzielamy
ocalić – silni wspólnymi snami.
Mur i opłatek jest między nami...

Jan Krzysztof Piasecki

Opłatek i hostia

Opłatkiem się dzielimy,
łamiemy podziały.
Dziel i łącz, Panie Boże,
dla swojej chwały.

Cząstka Chrystusa – hostia
podana przez kapłana,
wspólnotę z Bogiem czyni.
Zamyka się rana.
Zło na moment truchleje.
Wyzwała się siła
i możesz góry przenosić.
Zatrzymaj tę chwilę, zatrzymaj!

Są tacy, co tę chwilę odcisnęli w sercu
i inni, co ładu serca dawno nie zaznali.
Pomódlmy się dzisiaj za nich,
bo przyszli i są z nami.

Małgorzata Karolina Piekarska

Opłatek?

(limeryk)

O! Płatek śniegu spadł z nieba
Zima przyszła. Szalika mi trzeba!
Trzeba czapki, rękawiczek i botków
By mi ciepło było w stopy w środku
Bo bez tego – jak to mówią – gleba!

Krzysztof Saturnin Schreyer

Opłatkowe przesłanie

Opłatek ma wiele postaci
i jedno wielkie przesłanie,
by ludzi przemienić w braci,
lecz czy to kiedyś się stanie?

A jednak, na jedną chwilę
bajka spełnienia jest bliska:
W ów czas, w tę noc, na Wigilię,
gdy pierwsza gwiazda rozbłyśka.

A tak bywało przez wieki,
choć... nie zawsze przy stole,
bo także w świecie dalekim,
gdy w doli, albo w niedoli

Polak się z innym spotyka.
W Arktyce, gdzie zimne lody,
W Afryce, gdzie żar przenika,
na wodzie, czy w głębiach wody –

na bok pretensje i waśnie!
Dłoń czysta, śmieją się oczy,
zła siła jak świeca gaśnie
i przyjaźń serca jednoczy.

Opłatek może być chlebem,
opłatek bywa sucharem.
Pod czarnym czy bladym niebem
jest kruchym, świetlistym darem.

I może przez jedną chwilę
człowiek bez słów widzi brata
w kimś obcym. Mało? Tak wiele,
gdy zło otumania pół świata!

20 XII 2019

Konrad Sutarski

Wigilijny wieczór

pamięci węgierskiej tragedii 1956

wigilia otuliła się śniegiem

jak miło jest patrzeć komuś w oczy
znajdować w nich blaski choinkowych świeczek
jak cudnie układać słowa
przesuwać je tak by powstawało z nich szczęście

wigilia otuliła się śniegiem
zawiesiła jemiołę
wigilia otuliła się śniegiem, kolędami

tylko tam
na południu w Budapeszcie
inne są pieśni
inaczej układają się słowa
rany jeszcze nie zakrzepły
tam w wigilijny wieczór nawet stopiony wosk zamienia się w łzy

grudzień 1956

Grzegorz Walczak

Opłatek

Przychodzę do ciebie
pobielony wspomnieniem
dawnej zimy,
przychodzę trochę inny,
bardziej pochyłony,
by się z tobą przełamać,
może przełamać
nasze niepogody,
kiedyśmy stali do siebie
odwrócenie plecami.
Przynoszę ci
to najbardziej białe,
w którym mieszka
mój niepokój,
czy aby usłyszę
za drzwiami
skrzypienie podłogi,
skargę potrąconego krzesła.
Czekam, że tak jak zawsze
zapalisz błękitnawy płomyk,
postawisz na stole talerz
dymiący zapachem jarzyn
i tej złudnej pewności
istnienia.
Przynoszę ci
to najbardziej białe
i wrażliwe.
Przełam się ze mną
odpuszczeniem win,
za porywczą niecierpliwość
języka,
lewitowanie w przestrzeniach
straconego czasu,
za długie niepowroty do

jaśniejszej strony
 lustrzanego odbicia.
 Przełam się ze mną
 niepewnym zasłuchaniem
 w obroty ciał niebieskich,
 i w zbieżny z nimi puls naszej krwi.
 Uwierz w moją do ciebie...
 no, sama wiesz, aż
 poza horyzont.

Piotr Wojciechowski

W Aniołów tłumie

Wiatr od pustyni judzkiej anielskie pióra niósł
 Noc jak noc. I kąsa podhalański mróz.
 Pasterze już zwołani, przed nimi drogi, ścieżki,
 Pod sandałami żwir, a w sercach śpiew anielski.
 Zanim przyjdą, w Betlejem duchów wszelkich pełno.
 Bo świat się dziś odnowił. To wiedzą na pewno,
 Wiedzą Moce, Zastępy. Wiedzą Panowania.
 I nigdy śpiew tak cieszył, jak wspólna litania.
 Psalm Tronów, Chórów, Potęg – to wszystkie anioły.
 Ciasno stoją Cheruby jak młodnik świerkowy,
 A serafinów ciżba jak polska husaria.
 Każdy śpiewać najpiękniej, najgłośniej się stara.
 Przed stajnią dziwne światło jak westchnienia Boże
 Józef klęczy i słucha wsparty na toporze,
 Matka wyniosła Dziecko krajką otulone
 I słyszy głos znajomy. Spojrzała w tę stronę,
 Gdzie się głos ponad chóry wzbil jak jasny sokół.
 I pięścią rozmazała łzę w zdziwionym oku.
 Gabriel! – zawołała – jak miłe spotkanie!
 Zdrowaś, zdrowaś Marysiu. I widzę – Pan z Tobą.
 Tak woła Anioł. Skrzydłami ścieżkę sobie robiąc,
 Już jest w pierwszym szeregu. Już przed Panem pada.

Ledwie się ucieszyli – wchodzi wieśniaków gromada
Jezus leciutko dmuchnął – Anieli jak pierze
W chmury się wzbili – przecie mówili pasterze,
Że wicher od pustyni anielskie pióra niósł
I taka była noc. I kasał podhalański mróz.



Cylinderek Andersena. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Zbigniew Zbikowski

kapota opata

(septafor)

a ła łała! a ła łał!
kto tak płakał? kto tak łkał?

ptak to? kat to? kata kotka?
tatko popa? opat kopta?

łkał tkał płakał łapał kłak
okop pełł a kłapał tak:

łeppek kotka ptaka łapka
kołpak koła kpa pałatka

łopat pokot kapot łopot
kołek tłoka oka kłopot

a apteka a kołatka
płotka kotka opłat akta?

opat kopał pop płot latał
kopt kołatał to kto kłapał?
ptak to? kat to? kotka kata?
tatko popa? kopta papa?

to poeta ta opoka
płat opłatka ptaka łat

łkał tkał płakał opał kopał
okap latał łapał takt

a pot kapał kap kap kap

Joanna Jagiełło

Zuza¹

(fragment)

Budzik! Wysoki dźwięk przeszywa mnie jak sztylet, wwierca jak świder dentystyczny, zabija! To zamach, bo jest sobota i budzik nie powinien dzwonić! Każdy poranny dźwięk jest budzikiem – telefon, kosiarka, śmieciarka. Dziady chrzanione! Zawsze człowieka obudzą w jeden, jedyny dzień, kiedy może pospać dłużej niż do szóstej trzydzieści.

Ten dźwięk to akurat dzwonek domofonu. Szukam po omacku kroków, jest tylko jeden, więc w tym jednym wlokę się do drzwi. Po drodze odczytuję godzinę na piekarniku elektrycznym. Dziewiąta. Środek nocy. Ciekawe, kto się do nas dobija w środku nocy. A może jest u nas impreza, o której nie wiem?

– Czy mogę wrzucić ulotki do skrzynek? – bełkocze głos, trudno ocenić – damski czy męski. Głos robota.

Że co? No jasna cholera! W sobotę o dziewiątej rano? O dziewiątej? Sobota po to jest sobotą, żeby o dziewiątej co najwyżej przekręcić się delikatnie na drugi bok. Mam ochotę iść i zabić to głupie, piskliwie bełkoczące coś. Wyobrażam sobie, że zachodzę to coś od tyłu, kiedy wrzuca te śmieci do skrzynek na listy, nie widzi mnie, a ja wpijam się w jego plecy szponami jak wielkie ptaszysko. Wyobrażam sobie, jak wrzeszczy, jak przykładam mu nóż do gardła i każę przyrzec, że najwcześnieszą godziną na zabawę domofonem będzie dwunasta (bo to by było rozsądne, nie?).

Ale nic nie robię. Tylko kilka razy przeklinam pod nosem. Jestem tak zmęczona i niewyspana, że moje prostackie i niewymyślne przekleństwa wypadają błado.

– Szmaciarzu! – dodaję jeszcze (bo niczego bardziej wysublimowanego nie mogę wymyślić) i grożę mu przez okno, chociaż przecież nie fruwa jak Mary Poppins. – Nie zniszczysz mnie!

Sobota, czyli mama uczy na lektoratach, a ja mam cały dzień dla siebie. I to wyjątkowo długi dzień! Ale wcale nie wiem, czy się z tego cieszyć, czy nie. Powinnam się skupić na lekcjach, a ja zwykle przez całą sobotę skupiam się na tym, że mi smutno i samotnie, i że nikt mnie nie kocha. Albo wpadam

1 Fragment książki dla młodzieży *Tylko gdy pada deszcz*, Wydawnictwo Literatura, 2019

w taką euforię z powodu wolnej chaty, że już sama nie wiem, co ze sobą zrobić. Mama mówi, że jestem niestabilna emocjonalnie. Coś w tym jest.

Człapię do kuchni, po drodze przeskakując przez buty, książki, pudełka o niezidentyfikowanej zawartości. Życie w małym mieszkaniu przypomina ciągły bieg z przeszkodami. To chaos, twórczy chyba tylko dla tego, kto nie żyje w nim na co dzień. Chyba że mamy na myśli na przykład tworzenie się kolonii owadów. Muszek owocówek, chociaż nie uświadczysz u nas żadnego owocu. Ciem, które spadają ci na twarz w ciemności, a ty wrzeszczysz i wrzeszczysz, i nie możesz przestać. No i moli, ich zetlałych, zminiaturyzowanych dziennych odpowiedników, mogących doprowadzić człowieka do obłądu.

Zabijam jednego. Lata wolno i łatwo go złapać. Po klaśnięciu zostaje takie nic, małe badziewko, które wygląda jak wysuszona, srebrzysta smuga we wnętrzu dłoni. Walczymy z nimi od zawsze. Co pewien czas mama w amoku wywala wszystko z szafek i znowu znajduje gniazdo. Ostatnio zaległy się w ziarnach słonecznika. Ohydne larwy wijące się w swoim własnym syfie. Myślałam, że się zrzygam. Jak już wywalimy wszystkie potencjalne i prawdziwe zagrożenia, to przez pewien czas ich nie ma. Ale zawsze się odradzają. W końcu wystarczy jeden, a larwy mogą zalegnąć się nawet w meblach. Podobno mole ma się dożywnoć.

No cóż, i tak nie są najgorsze. Wolę je od karaluchów, z którymi też miałyśmy już wiele przygód. Robisz sobie rano herbatę, zaparzasz ostatnią torebkę earl greya i nagle widzisz, że do środka wpadło to gówniane coś i drżą mu czułki, gdy się gotuje we wrzątku. Ohyda! Otwierasz książkę od matmy, a tam wysuszony, płaski trupek niby zakładka z muzeum przyrody naturalnej. W nocy chce ci się siku, a kiedy otwierasz drzwi od łazienki, to w środku jest czarno. Normalnie jak na pogrzebie, a trzęsie się to wszystko i drga, jakby żałobnicy zrobili sobie dyskotekę.

Kiedy ich populacja rozkwitła i zaczęły nam spadać na głowę z sufitu, mama wreszcie wezwała speców. Przeszli po mieszkaniu z dziwnym niby to odkurzaczem, który wyglądał jak wodolot z *Tytusa*, *Romka* i *A'Tomka*, i opryskali ściany. Teraz jest spokój.

Na mole takiego środka nie ma. Trzeba je pokochać. Chociaż czasem trudno, szczególnie kiedy wyciągasz ostatnią torebkę kaszy, a w środku coś dygocze, jakby trzęsąca się broda starucha. Znajdujesz półmartwe osobniki, które wytoczyły z odwłoków tę niby pajęczynę, te drgające nitki.

I wszystko to w naszej maleńkiej kuchni, która w kategorii „najbardziej klaustrofobiczne wnętrza” mogłaby zdobyć pierwszą nagrodę. Zresztą

całe mieszkanie jest niewiele większe. Kawalerka, dwadzieścia parę metrów kwadratowych, zminiaturyzowane życie – jak u Japończyków. Niestety, nie ma to nic wspólnego z minimalizmem, bo my z mamą cierpimy na przypałość, która nazywa się nadmiar. Nadmiar wszystkiego.

Kiedy kupiliśmy to mieszkanie, była w nim szafa z pękniętym lustrem. I taka została, a teraz śmiejemy się, że pękła w szwach. Każda z nas ma po trzy półki i po jednej szufladzie, oraz po połowie drążka z wieszakami. Co pewien czas próbujemy coś wyrzucić, ale to trudne, szczególnie dla mamy, która uważa, że rzeczy żyją i byłoby im przykro.

Ścianę zajmują półki z książkami – tych to wyrzucić już absolutnie nie wolno! Przegrodziłyśmy pokój ścianką, żebym miała swój kącik, ale mieści się w nim tylko łóżko. Niestety – tą ścianką zostałam odcięta od okna, więc mój pokój wygląda jak nora Hobbita. Ale mam się gdzie schować. W drugiej części pokoju jest regał, rozkładana kanapa mamy i mały stół, czyli sypialnia pani domu, jadalnia, pokój gościnny oraz mój gabinet, bo przy tym stole odrabiam też lekcje. Gdy macham pod nim nogami, walę w pierdylion pudeł z rzeczami. Gdyby ktoś nas nie znał, pomyślałby, że jesteśmy w trakcie przeprowadzki, i to rodziny co najmniej dziesięcioosobowej. Ta przeprowadzka trwa, odkąd się urodziłam.

Próbuję znaleźć czysty kubek w zawałonym zlewie, w końcu jedną ręką przepłukuję pierwszy z brzegu. Drugą ręką wyrzucam do kosza skórki po arbuzie, szypułki truskawek, torebkę po czymś niezidentyfikowanym, łupiny cebuli, reklamę pizzy. To i tak nie pomoże. Rzeczy gromadzą się i panoszą, jakby odkryły, że mają u nas więcej wolności niż gdzie indziej. Ciekawa jestem, co robią, gdy śpimy. Pewnie jest niezły melanz, jak w *Toy Story*.

Otwieram lodówkę w poszukiwaniu propozycji śniadaniowych, ale cóż – kuchnia nie jest konikiem mamy, moim zresztą też nie. Znajduję mleko. Będą więc płatki, jak co dzień. Ktoś, kto wymyślił płatki kukurydziane, musli, czekoladowe kółka i cynamonowe kwadraty, był geniuszem. Tacy ludzie powinni dostawać Nobla, a nie jacyś, co w ogóle nie wiadomo, kim są, a nawet jak przeczytasz, za co ten Nobel, to i tak nie masz zielonego pojęcia, o co chodzi. U nas zawsze jest kilka rodzajów płatków, dzięki czemu mamy wrażenie, że codziennie jemy co innego. Chociaż mama raczej je jajko i pomidora. Ale też zmienia menu: raz jest sadzone, a raz wysuszona jajecznicza.

Wstawiam miseczkę z resztką płatków do zlewu. Upajam się ciszą i samotnością. Żadnego: „Czy ty naprawdę myślisz, że ta reszтка płatków sama się wyrzuci, a miska sama umyje?”. Mama jest spoko, ale za często udaje,

że mnie wychowuje. Niech sobie jeszcze postoją. Chichoczę, bo wyobrażam sobie, co by było, gdyby pewnego dnia ta miska naprawdę wyszorowała się sama i odrzuciła na półkę.

Lubię tak chodzić po domu i myśleć o głupotach. Czasem sobie wyobrażam, że mieszkam sama, chociaż w sumie to wredne. Nie to, żebym miała zły kontakt z mamą. Wydaje mi się, że jak na warunki, w których żyjemy, ten kontakt jest nawet świetny. Tyle że nie ma tu za bardzo miejsca, gdzie można by pobyć samej ze sobą. Mama musi czuć podobnie.

Czeka mnie zatem cudowna, samotna sobota. Ogarnę pokój, potem się pouczę. Mama wróci pewnie koło trzeciej, sklecimy jakiś obiad, spotkam się z Luśką. Nie jest to plan *wow*, nic, co by się nadawało na snapa, ale całkiem fajny dzień. Każdy bez szkoły jest fajny, to proste jak obieranie kartofli. Dobrze, że już czerwiec, zaraz się skończy ten koszmar. Jedyne, na co po cichu liczę, to że mimo moich porażek, z matmy i fizyki będę miała tróje, a nie mierne. I że z reszty dostanę dużo lepsze stopnie. I że będę miała pasek, mimo iż jestem matematycznym debilem. Jakby na przekór. Mam dwa dni na poprawienie kilku testów.

Dla przyspieszenia pracy szarych komórek robię sobie jeszcze kawę rozpuszczalną. Mama zawsze robi o nią afere, uważa, że rozpuszczalna jest trująca, więc mam słoik skitrany w pudełku pod łóżkiem. Mam nadzieję, że tam nie zagląda, bo oprócz kawy upchnęłam tam paczkę białych Marlboro i pamiętnik. Co do fajek, wypalone są tylko dwie, reszta czeka na okazję. Jak na przykład nie zdam albo rzuci mnie chłopak. Pierwsze bardziej prawdopodobne (choć nie aż tak), drugie mniej, bo nie mam chłopaka. Gorzej z pamiętnikiem: często go używam, a że moje życie nie jest specjalnie ciekawe, bo trudno, żebym pisała o kolejnej pale z matmy, są tam opowieści o wszystkich fagasach mojej matki. Gdyby to znalazła, to byłby chyba koniec mojego życia, bo żadnego nie oszczędziłam. Cóż, matka sama mówi, że żeby oszczędzać, to trzeba mieć z czego. Oczywiście dotyczy to kasy, a nie fagasów. Jak mi się zdaje – w obu obszarach jest u niej zresztą tak samo cienko.

Na razie mamy spokój, bo matka jest teraz sama, ale czuję, że wkrótce napatoczy się kolejny dziwak. Uważam, że mimo wszystko mogła zostać z ojcem, a nie się na niego obrażać. Każdy z tych idiotów jest sto razy gorszy od ojca, naprawdę. Bez porównania. Ojciec był jakby z normalnego sklepu z facetami, może model nie do końca pasował, ale na pewno nie był uszkodzony ani przeterminowany. A ta reszta pachnie mi handlem staryzną, przecenami, wyprzedają, jakby to były ostatnie modele, poprute, nie w rozmiarze, ze skazą. Chiński sklep, wszystko po dwa zeta. Ostatnie

sztuki w rozmiarach 32 i 61. Zamiast nogawek rękawy, zaszyte kieszenie, dwa lewe buty.

Taki na przykład Zdzisio. Nazywałam go Burgerem, bo zabrał nas na drogę burgery na Nowym Świecie, które ociekają sosem, rozplývają się w ustach i w ogóle, a potem powiedział, że zapomniał portfela. Pożyczył od mamy kasę, sporo tego było, bo jeszcze piwo i lemoniady rabarbarowe, i nawet lody, a potem nie odbierał telefonu, kiedy dzwoniła. Może po prostu był głodny? Powiedziałam mamie, że święta Teresa też dawała głodnym w potrzebie, to się obraziła.

Albo Marian. W konkursie na najlepsze imię miał już złoto, a srebro za bezczelność. Po jednej randce z moją matką (poznała go przez Internet) stanął w progu z walizką. Długo mu tłumaczyła, że chyba niedokładnie się zrozumieli. Musiałam tego słuchać, a potem długo po nim wietrzyć, gdy już udało nam się wypieprzyć go z tą walizką za drzwi. Zdaje się, że w ogóle nie prał skarpet, a uparł się, że jako człowiek dobrze wychowany zdejmie buty. Jezu, co za sztynek!

Następny był Eryczek Elegancik. Mama spotykała się z nim przez kilka miesięcy (albo była ślepa, albo naprawdę zakochana). Eryczek wciąż patrzył w lusterko, nosił ze sobą specjalną szmatkę do przecierania butów, nakładał na twarz podkład (!!!) i nie byłabym zaskoczona, gdyby sobie szminkował usta. Na tle jego trupiobladej twarzy ich kolor wydawał się zawsze zbyt jaskrawy.

Potem był jakiś szajbus. Chyba brał narkotyki. Mówił do mnie „Kizia-Mizia”. Serio. Uważał, że wszyscy mają założone podsłuchy. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie było straszne. Szczęśliwie ta relacja trwała tylko dwa tygodnie, dlatego nawet nie zapamiętałam jego imienia.

Pojawił się też Poeta. Nie to, żebym miała coś do poetów tak ogólnie, wręcz przeciwnie. Ale akurat ten mieszkał ze swoją mamą, choć od mojej był starszy prawie o dziesięć lat. Gotowała mu siostra, pożyczał od niej na fajki i nie pracował. Zamiast tego pisał wspaniałe wiersze o miłości i recytował je na wieczorkach poetyckich. Mama chodziła na nie i wpatrywała się w niego rozmodlonym wzrokiem. Zostały nam po nim dwa tomiki, których mama nie wyrzuciła, bo „nie wyrzuca się prezentów, a w szczególności książek” – nawet jeśli są bardzo złe. Przez rok potykałam się w przedpokoju o jego wytarte, granatowe klapki z napisem „KUBOTA”. Te w końcu wyrzuciła, uff.

Od tamtej pory nie było już żadnego faceta. Trochę się o mamę martwię, chodzi jakaś taka przygaszona, a na wszystkich filmach o miłości strasznie płacze. Rozumiem, to już chyba czwarty miesiąc bez nikogo, nie

sądzę, żeby kiedykolwiek w życiu była sama tak długo. Oczywiście odbija się to na mnie, bo ciągle jest wkurzona i o wszystko się złości. Kiedy ostatnio zapytałam ją, czy jest taka wściekła, bo już dawno nie miała żadnego faceta, to spojrzała na mnie tak, jakbym jej kogoś zabiła. A przecież ja już nie jestem dzieckiem, kumam to. Gdyby była singielką z wyboru, a nie z konieczności, to na pewno by nie płakała, że jest samotna i że już nigdy sobie życia nie ułoży.

Na przykład tydzień temu przyszedłam wieczorem, po fakultecie. I zastałam ją w kuchni płaczącą jak bóbr.

– Czemu płaczesz, mamó? – zapytałam. – Coś się stało?

– Nawet chmury płyną parami – chlipnęła. – Popatrz. A ja? Tak bez nikogo?

Na niebie rozedrgane kawałki, fragmenty bieli. Zwariowała czy co?

– Ty coś piłaś?

– Tylko trochę wina. To nieistotne. Tak mi po prostu... smutno – westchnęła i otarła łzy kuchenną ścierką.

– Może film jakiś obejrzymy, kupię chipsy, co? Albo zagramy w coś, na przykład w memo? – zaproponowałam. To zawsze działa.

Spojrzała na mnie, jakby zobaczyła ducha.

– Dobrze, Zuziu, fajnie. Obejrzymy, kup chipsy. Nie przejmuj się, to chwilowe... Takie mnie czasem nachodzą myśli...

Zjadłyśmy wtedy te chipsy i obejrzałyśmy głupią komedię romantyczną, i na chwilę było lepiej. Na chwilę. Bo przecież tego, co by naprawdę chciała, to ja jej i tak nie potrafię dać.

Kurczę, jest inteligentna, ma urok osobisty, długie nogi, blond loki, trzy fakultety, zna kilka języków, każdy ją uwielbia. I co z tego? Nie znam nikogo innego, komu tak cholernie by się w życiu nie udało.

Oczywiście nie zawsze tak myślałam. Kiedyś mama była moim guru. Piękna i dobra jak z bajek Disneya. Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, jaka jest w tym wszystkim niesprawiedliwość. Dlaczego te okropne, grube, niemiłe i głupie matki moich koleżanek mają fajnych mężów, dobrą pracę, łatwe życie, a moja cudowna mama ledwo wiąże koniec z końcem, pracując w trzech miejscach, tłukąc jakieś chałtury, i w dodatku ciągle jest sama? Oczywiście miewałam też wyrzuty sumienia, w końcu to trochę przeze mnie. Ale czy gdyby mnie nie było, coś by było inaczej? Nie sądzę.

No i przychodziła zawsze jeszcze jedna myśl. Co ze mną? Czy to się dziedziczy? Czy jestem jak mama? Ładna czy nie? A może będę kiedyś piękna jak ona? I też sobie życia nie ułożę? Tego jeszcze nie wiedziałam.

Świetnie. Zamiast się uczyć, czytam wpisy w pamiętniku i dywaguję nad życiem uczuciowym mojej matki. Zupełnie zwariowałam.

– Przestań! – krzyczę do siebie. – Przestań zajmować się tymi pierdołami! Ucz się! Co z tego, że obudziłaś się o dziewiątej, skoro jest już pół do dwunastej?

Nagle słyszę durny dźwięk, który ustawiłam sobie dla przychodzącego esemesa.

Wstałaś? – to mama. Co ona, zwariowała? Jakbym w soboty wstawała o dwunastej. Nie no, w sumie tak jest. W soboty wstaję o dwunastej, jeśli mnie nie budzą jakieś świry od ulotek. A raz to spałam nawet do szesnastej, z wyciszonym telefonem, i wszyscy myśleli, że chyba umarłam.

Wstałam – odpisuję. A ona dzwoni.

– Hej, skarbulku! – rozlega się przesłodzony głos. Skąd ona bierze te pokłady szczęśliwości? Jak to możliwe, że raz ma doła, a raz ćwierka jak wróbelek? – Wstałaś?

– No przecież ci napisałam, że wstałam. Co tam? – pytam i ziewam, jakbym wstała przed chwilą, a nie trzy godziny temu.

– Kochanie... jest taka sprawa...

Coś jest na rzeczy. Staję się czujna jak łoś w trawie.

– Bo widzisz, Darek... To znaczy... poznałam takiego kolegę...

Zawsze na początku nazywa ich kolegami. Jest też inne świetne słowo: „znajomy”. Kolega z pracy. Taki znajomy... Kolega kolegi. Znajomy znajomego. I wreszcie: przyjaciel. Tak, tak, z którym przyjaźni się dokładnie od niedzieli.

– No jednym słowem, bardzo chciałby cię poznać. Zaprasza nas dzisiaj na lody po mojej pracy. Do Akwarium na Saskiej Kępie. No wiesz, taki niezobowiązujący wieczór...

Ehe. Wieczór? Przecież umówiłam się z Luśką.

– A raczej popołudnie, na czternastą, dobrze?

– Bez jaj, mamu. To za dwie godziny!

– No tak. Dzisiaj wcześniej kończę. Zapomniałam ci powiedzieć. Tylko ubierz się jakoś...

– No jak?

Od razu się najeżam. W co mam się ubrać na randkę mojej mamy? W spodnie ze srebrnymi lampasami? W komplet z aksamitu haftowany w kwiaty, który dostałam kiedyś od ciotki i nigdy nie założyłam (czekam, aż będzie za mały, żeby się go pozbyć bez wyrzutów sumienia)?

– Na galowo, mamó? – parskam śmiechem, ale głos mamy brzmi poważnie.

– Może założysz tę sukienkę w kwiatki? Tak w niej słodko wyglądasz.

Mam ochotę ją zapytać, czy sama wygląda wystarczająco słodko, czy też ma na sobie jakieś szmatki w kwiatki, coś z tego, co kupuje na tony w lumie przy pracy, po czym chodzi w dżinsach, a te słodkie pierdziociuszki wylewają się z szafy jak fala tsunami, ale gryzę się w język. Co mi zależy, ubiorę się, jak ona chce. W tę jedyną sukienkę, jaką posiadam. Może tym razem los przyniósł jej rycerza na białym koniu, he, he. Zdaje się, że przy statystykach dotyczących kobiet w jej wieku ma na to naprawdę małe szanse. Zresztą odnoszę wrażenie, że mama zawsze przyciąga największych popaprańców. Jakichś bezrobotnych albo kryminalistów. Gdyby był taki jeden na sto na imprezie dla samotnych, to ten właśnie jeden popapraniec na pewno by się w niej zakochał. Zamiast rycerza na koniu, popapraniec na ośle. Albo po prostu osioł, nawet bez jeźdźca.

– A nie będziemy jeść obiadu? – pytam. – W sumie czternasta to raczej pora na obiad, a nie na lody.

– Obiadu? – jest tak zdziwiona, jakby nie wiedziała w ogóle, co to jest obiad.

Wzdycham ciężko. Może jeśli będzie fajnie na tej randce, to da się namówić potem na mój ukochany kebab na Francuskiej. Ale jeśli naprawdę się zakochała, to idą ciężkie czasy. Mama przestaje pamiętać o wszystkich przyziemnych kwestiach, takich jak obiad, kieszonkowe, zakupy, opłaty szkolne i tak dalej. Z drugiej strony: jak się to zapominalstwo ma do ogólnej szczęśliwości, którą matka wtedy promieniuje, jakby miała jakąś żarówkę w środku? Nijak. Mimo że coś jej tam szwankuje na polu „dom” i „wychowanie córki”, bardzo tę jej szczęśliwość lubię.

– Obiad, mamó. Posiłek zwykle jedzony w porze obiadowej. Może składać się z zupy i drugiego dania, a nawet deseru. Albo zjem kebaba. Dasz kaskę?

Uśmiecham się przez telefon, ale mam wrażenie, że i tak słucha mnie połowicznie. Pewnie Nowy Kolega wypełnił jej cały mózg.

Zakładam więc kwiecistą sukienkę, chociaż uważam, że nadaje się tylko na plażę w Międzywodziu (w Międzyzdrojach już nie). Dla tych, co nie byli: Międzyzdroje to Festiwal Gwiazd, a Międzywodzie: festiwal hm... babć z laseczkami i strzyżonych piesków. Mała wioska, mówiąc wprost.

Tak, wiem, że tę sukienkę sama kiedyś chciałam, i co z tego? To było dwa lata temu. Co ja poradzę, że tak, jak mi się zmienia rozmiar stopy, zmienia mi się również gust? Przypominam dziewczynkę z sierocińca, którą ładnie ubrano w nadziei, że ktoś ją zaadoptuje. No cóż, zresztą porównanie całkiem adekwatne. A może matka poznała w końcu kogoś, kto nie jest fagasem i idiotą? Może będzie fajny i normalny? To nic z tego przecież nie wyjdzie, jeśli ten ktoś nie polubi mnie, prawda? Dopóki nie zobaczę go na własne oczy i nie stwierdzę, że to fagas – mogę się trochę postarać. Nawet sobie maluję rzęsy. Niech mu będzie, temu siódmemu. Szóstemu? Pogubiłam się już w rachubach.

Joanna Jagiełło
Tylko gdy pada deszcz
 Wydawnictwo Literatura
 2019
 Stron 336
 ISBN 978-83-7672-615-1



Dorota Suwalska

Jajko¹

Dawno, dawno temu... mniej więcej przed rokiem Maciek wybrał się z mamą na grzyby. Pogoda była piękna. Las pachniał żywicą i rozgrzаныmi słońcem liśćmi, a spomiędzy chmur dobiegały nawoływania odlatujących do ciepłych krajów ptaków.

I byłoby naprawdę wspaniale, gdyby nie to, że mama wciąż rozmawiała przez telefon. Chłopiec zagadywał ją o różne sprawy. Pokazywał przelatujące w górze ptaki. Podsuwał pod nos najwspanialsze okazy podgrzybków i borowików. Ale mama tylko rozkładała ręce (a właściwie to jedną, bo w drugiej trzymała komórkę), co oznaczało, że właśnie prowadzi niezmiernie ważną rozmowę i niestety nie może jej przerwać. Albo z przeproszającym uśmiechem kładła palec na ustach, żeby nie przeszkadzał, że jeszcze chwila i zaraz skończy.

Jednak nie kończyła.

Chcąc nie chcąc chłopiec skupił się na przeszukiwaniu leśnego poszycia i w pewnej chwili zauważył coś, co musiało zrobić na nim nadzwyczajne wrażenie, ponieważ jego oczy nagle zrobiły się okrągłe jak dwa talerzyki. Gwałtownie zaczął odgarniać mech.

– To nie grzyb, to Jajko! – wykrzyknął.

– Jajko? – zdziwiła się mama, kończąc kolejną ważną rozmowę. – Nie widzę tu żadnego jajka!

– Ja też nie widzę. Przecież ono jest niewidzialne – odparł na to Maciek, jak gdyby chodziło o rzecz najbardziej oczywistą na świecie.

Odpowiedź syna musiała zrobić na mamie duże wrażenie, ponieważ nie odebrała kolejnego telefonu. Mimo że dźwięk komórki zdawał się brzmieć szczególnie natarczywie w ciszy, jaka zapadła po słowach chłopca.

Tymczasem Maciek, jak gdyby nigdy nic, podał mamie swój mały, ale za to wypełniony po brzegi koszyczek. A potem wyjął z jej rąk wielki kosz, na dnie którego leżał tylko jeden maleńki grzybek, na dodatek – jak się okazało – robaczywy.

– Oj, gapcia! – westchnął. Uśmiechnął się do mamy i wyrzucił grzybek w krzaki.

1 Fragment książki pod roboczym tytułem *Księżycowy Ptak*, napisanej w ramach stypendium twórczego MKiDN.

Gapcia. Lubił to słowo. Może to dziwne, ale naprawdę je lubił. Kiedy był jeszcze mały... Co prawda teraz też nie był przesadnie wielki, zwłaszcza w porównaniu z chłopakami z klasy. Niewątpliwie jednak większy niż kilka lat temu... Tak więc w tamtych dawnych, całkiem sympatycznych czasach, mama mówiła do niego „gapciu”, gdy o czymś zapomniał, zamyślił tak mocno, że cały świat wokół przestawał istnieć lub nie mógł znaleźć zabawki leżącej tuż przed jego nosem. Ale robiła to z takim uśmiechem, że nie sposób było się obrazić.

Teraz się nie uśmiechała. Z zakłopotaną miną patrzyła, jak chłopiec łamie drobniutkie gałązki i układa je w koszu. Starannie, jedną na drugiej, tak, że stworzyły coś w rodzaju gniazdka. Na wierzch nasypał trochę igliwia i ułożył kilka kępek mięciutkiego mchu.

– Żeby się nie potłukło – wyjaśnił, po czym z wielką ostrożnością podniósł z ziemi coś, czego nie było widać. A potem bardzo delikatnie ułożył niewidzialne znalezisko w wyściełanym mchem koszu.

Komórka znów się odezwała, ale mama nawet nie sprawdziła, kto dzwoni. Do końca wycieczki nie odebrała żadnego z niezmiernie ważnych telefonów. Nie powiedziała też ani słowa. Za to Maciek trajkotał jak najęty. Zastanawiał się, dokąd zmierzają przelatujące po niebie ptaki? Co zrobić z grzybami: przygotować obiad czy może raczej ususzyć na zimę? Pokazywał pierwsze żółte liście...

Jak gdyby nic niezwykłego się nie wydarzyło.

* * *

Tego dnia honorowe miejsce przy kuchennym stole zajął kosz na grzyby.

Pusty. Przynajmniej tak uważali rodzice Maćka. Ich syn najwyraźniej był innego zdania. Co chwila z wyrazem wielkiego przejęcia na twarzy zaglądał do wnętrza koszyka. Łykając przy tym obiad w największym pośpiechu. Choć zwykle, jak to określała mama, godzinami dłubał widelcem w talerzu.

Rodzice – zamiast cieszyć się z apetytu syna, ewentualnie pouczać, że jedzenie w pośpiechu niekorzystnie wpływa na trawienie – przypatrywali się mu w milczeniu. Tym razem to oni grzebali sztućcami w zimnej już potrawce z grzybów.

Po „połknięciu” drugiego dania, Maciek chwycił kosz i pobiegł z nim po schodach do swojego pokoju. A raczej pobiegłby, gdyby nie obawa, że gwałtowne ruchy mogłyby zaszkodzić Jajku. Szedł więc po schodach

w takim tempie, żeby oszczędzić wstrząsów niewidzialnemu lokatorowi koszyka.

Ukończywszy z powodzeniem tę arcyodpowiedzialną misję (Jajko dotarło do pokoju Maćka bez szwanku, choć nie wiadomo, jak chłopiec to sprawdził, skoro go nie widział) ostrożnie postawił kosz na łóżku obok sfatygowanego pluszowego misia. Po czym rozejrzał się dookoła. A trzeba przyznać, że było po czym. Pokój Maćka był duży i słoneczny. Białe, świeżo pomalowane ściany (na jednej z nich była tapeta w literki) jaśniały czystością. Również mebelki w jasnych wesołych barwach (szafa, regały, skrzynia na zabawki, biurko z wygodnym fotelem, pufy) miały ten nieco onieśmielający wygląd świeżo zakupionych sprzętów. Tylko dywanik leżący na drewnianej podłodze (również lśniącej nowością) nie pasował do całości. Mimo że mama jak najstaranniej go wyprała, nie udało się usunąć śladów wieloletniego użytkowania. Nie mówiąc o tym, że kompletnie nie pasował do kolorystyki wnętrza i był o wiele za mały do tak przestronnego wnętrza.

Przed przeprowadzką rodzice chcieli kupić Maćkowi nowy dywan. Ten jednak uparł się, że zabierze stary. Dywanik, który na jakiś czas stał się przedmiotem rodzinnych sporów (wyrzucić czy zostawić?), zdobił mocno wyblakły wzór przedstawiający plan ulic i parkingów. Chłopiec, odkąd tylko sięga pamięcią, bawił się na nim samochodami. Jego wyścigówki, terenówki, koparki i wywrotki miały na nim swoje garaże, tory wyścigowe i place budowy. Teraz na wysłużonym dywaniku stało wielkie tekturowe pudło pełne zabawek, które jeszcze nie znalazły miejsca w nowym domu.

Jeszcze mniej pasował do pięknych ścian i mebli wspomniany już pluszowy miś. Jego futerko było częściowo sfilcowane, lewe ucho ręcznie przyszyte, a zamiast prawego oka miał guzik. Wyjątkowo chudy jak na misia tułów okrywała poprzecierana w wielu miejscach kurteczka ze sztucznej skóry.

Maćka jednak w tym momencie niespecjalnie interesował wystrój pokoju.

– Taaak... – powiedział sam do siebie (a może do Jajka?) – A teraz do roboty!

Robota polegała na tym, że chłopiec, bez żadnych przeszkód – rodzice zamknęli się w tak zwanym pokoju do pracy i nie zwracali na niego uwagi – buszował po domu znosząc do swojego pokoju rozmaite przedmioty: ozdobioną angielskim haftem bielutką serwetkę, paczkę waty, kocyk tak sprany, że nie sposób było orzec, jakiego pierwotnie był koloru... Tego

ostatniego akurat nie trzeba było daleko szukać. Maciek wyciągnął sfatygowaną szmatkę z tekturowego pudła.

Wreszcie wyjął z szuflady nożyczki i wysunawszy do pomocy język, próbował wyciąć w kocyku dziurę. Niestety (albo stety, jak zapewne stwierdziłaby mama) nie na wiele się to zdało. Nożyczki okazały się zbyt tępe.

– Taaak... – powtórzył chłopiec i wybiegł z pokoju.

Po chwili wrócił targając ogromne krawieckie nożyce. Tym razem poszło mu lepiej i wkrótce w kocyku powstała dziura w kształcie dość pokaznego, choć dość nierówno wyciętego prostokąta. Uzyskaną w ten sposób nieforemną szmatkę Maciek starannie ułożył obok koszyka.

– A teraz najważniejsze! – tym razem wyraźnie zwrócił się do Jajka i znów zniknął za drzwiami.

Dorota Suwalska

Zrealizowano w ramach stypendium
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Katarzyna Chmiel

Dandys na tropie¹

Amber-Gold Krzysztofa Beśki, czyli kryminał retro z elementami sensacji z przełomu wieków. Wydarzenia z końca lata 1895 roku rozgrywają się w fabrycznej Łodzi wśród scenerii wątpliwej moralnie, acz kupiecko zamożnej. Główny bohater, Stanisław Berg (a czasami na bieżące potrzeby posiadacz innych nazwisk), detektyw-elegant (by nie rzec dandys) ma odnaleźć zaginionego studenta – syna finansowej fiszy. Ślady, żywe lub martwe, wiodą go do Königsberga (Królewca). *Amber-Gold* przyjemnie się czyta i od razu spieszę wyjaśnić, co dla mnie owa przyjemność oznaczała. Nieraz podkreślałam, że opasłe tomiska niezmiennie nęcą mnie możliwościami obszerności.

A Beśka nie pożałował czytelnikowi atrakcji. Historia jest wręcz przepakowana wątkami, postaciami, miejscami. Topograficznie dostajemy wielokulturową mieszankę, poczynawszy od ziem polskich pod zaborem rosyjskim (akcja rozpoczyna się w Łodzi), kolejno przenosimy się do Cesarstwa Niemieckiego (poznajemy życie Królewca). Jakby tego było mało, Beśka dorzuca jeszcze elementy orientalne, litewskie czy motywy judaistyczne. Jest więc bardzo różnorodnie i kolorowo.

Do mniej więcej połowy lektury pojawiają się wręcz w błyskawicznym tempie nowe postaci, których znaczenie jest – jak to w kryminale bywa – wielce enigmatyczne. Rola niektórych stopniowo się wyjaśniała, jednak sens wprowadzenia innych pozostawał w mojej ocenie długo wątpliwy. Być może opowieść wcale nie ucierpiałaby na mniejszej ilości wątków pobocznych, a zyskała nieco na lekkości?

Jednakowoż nie sposób odmówić historii uroku. Zwłaszcza językowego. Skoro akcja rozgrywa się pod koniec XIX wieku, to i język został „ufryzowany” na ówczesną modę. Autor niby od niechcenia kieruje swych bohaterów w sprawach urzędowych do cyrkułu, na frywolną rozrywkę do lupanaru, pozwala im mknąć po mieście raz szykownym landem, innym razem mega nowoczesną elektryczną „strasznoboną”.

Klimat realiów przełomu wieków dopełniają sceny z modelowej kawiarni Roszkowskiego w Łodzi, z których aż roznosi się aromat świeżo

¹ Z blogu *Czytam duszkiem* – <https://czytamduszkiem.blogspot.com>.

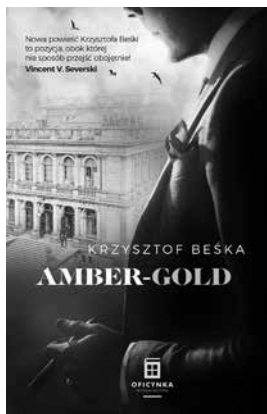
zmielonej kawy zmieszany z lekko duszącym dymem cygar. Z kolei w portowych dzielnicach Królewca z oberżami i szynkami pod masywnymi sklepianiami przy piwie (albo i czym mocniejszym) tłoczy się ciasno obok siebie szerokie spektrum przedstawicieli warstw miejskich, od zwykłych rzeźmieszków, po morskich kapitanów o nieprzeciętnych walorach. Gościmy w uroczych wnętrzach pałaców, podziwiamy arystokratyczne ogrody, zażywamy pańskich rozrywek, bywamy w kamienicach możnych ówczesnego świata, trafikach i składach ubrańowych dla wytwornych dżentelmenów.

Główny bohater, Stanisław Berg, to przecież elegant ceniący sobie dobry smak i jakość, dlatego przenigdy nie pogardzi szykownym cylindrem, spodniami z szewiotu czy gustownym surdudem. Cechuje go także wysoka sprawność dedukcji, wprawne oko i niezwykle możliwości fizyczne, czyli wersja atrakcyjnego mężczyzny na miarę swoich czasów. I jeszcze słowo do konstrukcji. Nie bardzo umiałam znaleźć związek między historią główną a ramą kompozycyjną wydarzeń z 1945 roku. Liczyłam, że będzie między nimi jakaś zależność, ale albo jej rzeczywiście nie ma, albo ja jej nie odkryłam. A może wyjaśni się dopiero w kolejnej odsłonie historii o detektywie?

Amber-Gold to kryminał z niejedną tajemnicą, bo zaczyna się od zaginięcia bogatego młokosa, a kończy aferą zakrojoną na szeroką skalę – w tle przeplatają się uczucie i mamona, czego więcej i w jakiej odmianie okaże się oczywiście w finale, bo taki już urok kryminału. Akcja rozgrywa się ponad wiek temu, w międzyczasie z mody wyszło słownictwo, przeminęły z wiatrem dryndy i pleografy, ale jedno pozostało niezmiennie – ludzka natura. Beśka uchwycił aurę minionej epoki (miejscami aż trudno nie mieć skojarzeń z epizodami nawiązującymi do polskiej klasyki, np. *Lalki*,

Ziemi obiecanej, czy odniesień do stereotypowego obrazu rosyjskiego urzędnika), jednak człowiek ze swoimi namiętnościami i pragnieniami pozostaje od lat taki sam.

W *Amber-Gold* autor połączył więc chwile retro z bohaterami o współczesnych rysach. Jak na taką wizję opowiadanej historii zareagują czytelnicy? Moje zdanie już poznaliście.



Krzysztof Beśka *Amber-Gold*

Wydawnictwo: Oficynka 2019

Stron 493, ISBN 978-83-6589-168-6

Sylwia Gibaszek

Tropy filozoficzne

w książce Anny Sobolewskiej *Mistyka i mistyfikacje*

Immanuel Kant podzielił filozofię na akademicką i tę, która tworzy się na bieżąco w danej epoce, danym czasie jako reakcja na ówczesne problemy ludzkości.

Anna Sobolewska w swojej książce *Mistyka i mistyfikacje* proponuje nam swoistą filozofię scalenia *rodziny człowieczej*. To wspólny mianownik wszystkich tekstów. Profesor Sobolewska zauważa, że rodzina jest coraz bardziej osobna, każdy zajmuje się wyłącznie swoim małym światem. Odpowiedzialność za bliskich łączy się coraz częściej z ekonomią. Patrzymy, czy troska i opieka wiążą się dla nas z konkretnymi korzyściami. Bardzo wyraźnie dzielimy ludzi na swoich i obcych. Podział swój – obcy rozbił ludzkość. Nie mamy do czynienia z jednością duchową. Coraz częściej drugi człowiek staje się intruzem w naszym świecie. *Jestem ja i mój telefon, ja i mój laptop, ja i moja wirtualna przestrzeń, z której drugi człowiek bezczelnie wyrywa mnie pytaniem czy prośbą o coś.*

Współcześni ludzie przypominają androidy z książki Filipa Dicka *Blade Runner*, androidy uprawiające kult rzeczy. Jak zauważył Zygmunt Bauman, w kulturze pop przedmioty mają jedynie wartość rynkową, dzielą się na markowe i niemarkowe, podkreślają jedynie status materialny użytkownika. Anna Sobolewska potwierdza w swoich artykułach diagnozę papieża Franciszka, że dzisiaj mamy do czynienia z tzw. „globalizacją obojętności”. Zamykamy się we własnych gettach. Dzielimy ludzi na lepszych – naszych i obcych – tych gorszych. Wstrząsające są spostrzeżenia Sobolewskiej w felietonie *Spojrzenie obcego*:

Bywa, że w szpitalach cierpią i dzieci, i rodzice, ale wspólnota cierpienia nie wytwarza poczucia solidarności. Każdy z dorosłych krząta się przy swoim dziecku, nie dostrzegając dzieci samotnych i opuszczonych. Urolog dziecięcy prof. Dariusz Patkowski mówi: na sali są rodzice, obok leży obce dziecko i płacze. Nikt nie podejździe do łóżeczka, żeby je pogłaskać, uspokoić.

Skąd się bierze taka nieczułość i nieżyczliwość, z braku empatii? – pyta Sobolewska. – Nieżyczliwość jest, niestety, polską normą. Socjologowie zajmują się systematycznie niskim poziomem zaufania społecznego w Polsce,

wskazując m.in. na historyczne dziedzictwo PRL-u. Ale nie tylko. Nasze codzienne doświadczenia nieżyczliwości i poczucie wyobcowania wśród ludzi jest związane ze sztywnym podziałem na swoich i obcych, mocno ugruntowanym w polskiej mentalności. Przechodnie czy pasażerowie starają się nie tylko nie dotykać, co jest zrozumiałe, ale i nie spotykać wzrokiem. Turysta z Anglii dziwi się, że kobieta handlująca grzybami w ogóle na niego nie patrzy. Spojrzenie obcego kłuje i każe się osłaniać.

Autorka *Mistyki i Mistyfikacji* cytuje też Filipa Zimbardo, który mówi, że czuje się w Polsce jak w szpitalu psychiatrycznym, gdzie nikt się nie uśmiecha, nikt nie zagaduje. Odburkuje jedynie niechętnie wyrwany ze swojego świata pytaniem.

Sobolewska nie tylko przedstawia nam mroczną diagnozę *społeczności „Hotelu Polonia”*, ale przede wszystkim proponuje doświadczenie duchowe, zbliżające ludzi ku jedności, ku scaleniu ludzkiej rodziny. Punktem wyjścia do tego staje się refleksja, że zarówno w kulturze osobistej chrześcijan, buddyjskiej i prawosławnej przejawiają się podobne motywy: potrzeba bliskości, potrzeba przyjaźni, wspomnień, upamiętniania swoich bliskich, obrzędy związane ze śmiercią, wspomnianie zmarłych. W tym miejscu warto zacytować fragment felietonu *Statek miłości*:

W Instytucie Teatralnym można spotkać grupę młodzieży z zespołem Downa na zajęciach teatralnych Justyny Sobczyk i w wyreżyserowanych przez nią przedstawieniach. Ostatni spektakl Teatru 21 to rejs na Statku Miłości. Aktorzy w bieli zapraszają widzów w podróż do egzotycznej krainy miłości, która jest za oceanem, a zarazem tuż obok nas. Opowiada o miłości w wykonaniu aktorów z zespołem Downa, staje się narracją o niespełnieniu, marzeniach i tęsknocie. Liczne etiudy, czasem zaproponowane przez samych aktorów – jak całowanie dziewczyny przez szkło słoika – są gorzką metaforą braku dostępności. „Zaskejpuj do mnie!” – dramatycznie woła Basia. „L’amour, L’amour – powtarza Cela, która poprzedniego dnia studiowała gesty Marilyn Monroe, oglądając „Pół żartem, pół serio”. Muzykę do przedstawienia „Statek miłości. Odcinek 1.” tworzą popularne piosenki i przejmujący rytm serca pulsujący w ciszy.

Na początku aktorzy noszą maski gwiazd popkultury i tańczą w maskach. Zrzucając maski, jak zauważył Tadek, stają się na nowo niepełnosprawni, ale i bardziej swobodni w wyrażaniu siebie. W finale tańczą hawajski taniec hula w spódniczkach z trawy i wieńcach na głowach. Migają

światelka latarek, które noszą na piersi. Ten taniec jest wejściem w sferę mitu, gdzie nie ma już niepełnosprawności, zespołu Downa i życiowego niespełnienia. W sferze doświadczeń wewnętrznych to, co niewidzialne i niewyraźne, jest wartością. Tęsknota za miłością idealną – podobnie jak nostalgia – sięga głębi naszego jestestwa. W tej wewnętrznej przestrzeni wszyscy jesteśmy tacy sami. Nawet przeżywając cierpienie, możemy doświadczyć pełni.

Zatem rodzinę człowieczą jednoczy: wspólna psychiczna potrzeba totalnej akceptacji, bliskości, wspólne w różnych kulturach i religiach ludzkie doświadczenia.

Współczesny człowiek odmawia sobie prawa do otwartego przeżywania bólu, rozpaczy, a nawet zwykłego niepowodzenia. Lepiej nie budzić licha i udawać, że łatwo można naprawić i uregulować kosmiczny błąd natury czy Pana Boga. Tymczasem akceptacja tej właśnie prawdy stwarza wspólnotę duchową i emocjonalną ludzkości, a iluzja godnego życia bez cierpienia i niekłopotliwego, niewidzialnego umierania jest objawem stłumianego i wypartego ze świadomości lęku przed śmiercią. Ten zaś rozpościera się w podświadomości zbiorowej, o której też współczesny człowiek chce zapomnieć i udawać, że nigdy jej nie było.

Sobolewska, nawiązując do panteizmu lat trzydziestych, podkreśla w ogóle jedność duchową całego świata. Mamy tu nawiązanie do chrześcijańskiego, mistycznego zjednoczenia, jaki pisał Adolf Szołtysek, do *metafizyki jedni*. Autorka felietonu *Świątynia wszystkich religii* pisze:

Świątynia Opatrzności Bożej zgodnie z oryginalną koncepcją sprzed 200 lat miała być wielowyznaniowa! Trudno to sobie dzisiaj wyobrazić. A jednak w stanie wojennym przez pewien czas funkcjonowała w Warszawie taka świątynia – Kościół pw. Miłosierdzia Bożego przy ulicy Żytniej. Był to projekt artystyczny Janusza Boguckiego. Zrujnowany w czasie wojny (...)

W poszczególnych salach mieściły się zarówno synagoga, sangha buddyjska, jak i meczet. W Sali buddyjskiej można było medytować na poduszkach, w innej, w obecności dyskretnych pomocników – studiować Torę lub Koran. Wtedy wydawało się, że tak będzie zawsze, że bramy kościoła będą otwarte dla wszystkich – dla wierzących i półwierzących, dla panteistów, a nawet ateistów.

Autorce bardzo bliska jest refleksja Simone Weil, że miłość służy zjednoczeniu i wykracza poza wszystkie religie. Jednak to już etap bardziej zaawansowanego rozwoju duchowego.

Sobolewska pisze:

Od przyjazdu z Sandomierza nie rozstaję się z książką koreańskiego poety Ko Una Maninbo „Dziesięć tysięcy istnień” w świetnych przekładach Mieczysława Godynia i Adama Szostkiewicza. Autor wstępu Mieczysław Godyń przedstawia niezwykle dzieje tego zbioru. Mistrz Buddyjski Ko Un – jako więzień polityczny skazany na dwadzieścia lat – ślubował w celi, że po wyjściu na wolność upamiętni wierszem każdego człowieka, którego spotkał, znał z historii Korei lub tradycji buddyjskiej. Dziesięć tysięcy istnień to poetyckie portrety prostych ludzi, wieśniaków i rzemieślników, handlarzy, żebraków i włóczęgów, a nawet wioskowych głupków i złodziei. Towarzyszą im żony i matki, damy i zapracowane służące. Podmiot wierszy staje się głosem wszystkich tych osób. Orkiestra ludzkich języków wskazuje na buddyjską ideę jedności w różnorodności. Poeta przedstawia ludzi dobrych i złych, kłótliwych, pazernych i patologicznie skąpych (...) Jest jednak dziwna asymetria w tych charakterach – współczucie podmiotu lirycznego obejmuje jednakowo i dobrych, i złych, wzmacnia dobro, rozbraja zło. Przedstawiając śmiejącą się parę niewidomych, starca i dziewczynkę, „dobrych w masowaniu ciała”, którzy wędrują, „ledwo muskając laskami ziemię”, Poeta powiada:

*Wśród całego zła świata
jest też takie dobro,
że nawet ciemność bywa błogosławiona*

Na początek niech człowiek otworzy się na świat wartości, szacunek do każdego bytu, miłość, dobro ontyczne i moralne oraz pozaracjonalne doświadczenie wewnętrzne, o którym już wcześniej pisał Roman Ingarden.

Anna Sobolewska cytuje też Henryka Elzneberga, który zauważał, że współczesny człowiek panicznie boi się ciszy, doświadczenia wewnętrznego. Sam na sam z własnymi myślami budzi grozę i przerażenie. Świat zewnętrzny też ogranicza możliwości usłyszenia naszego wewnętrznego głosu, naszych myśli. Nawet w hotelowej windzie atakuje nas głośna muzyka, hałas miasta, ostre dźwięki i reklamy. Tymczasem doświadczenie wewnętrznej ciszy to punkt wyjścia do refleksji w ogóle.

Przy tej okazji warto też zauważyć, że Anna Sobolewska w specyficzny sposób rozumie cud. Cud jest zjawiskiem, które ma pozytywny wpływ na nasze życie i świadomość, tworząc nowe koleiny myślenia. Cud jest zatem pojęciem ze sfery życia wewnętrznego, a nie sfery faktów. Znamionuje naszą przemianę duchową pod wpływem kontemplacji i głębokiego

namysłu nad rzeczywistością. Postawa refleksyjna łączy się też z przyjęciem określonej aksjologii. Sobolewska za Henrykiem Elzenbergiem postuluje założenie, że istnieje już dany świat wartości ludzkich, przypisanych nam ze względu właśnie na nasze człowieczeństwo. Musimy ten świat odkryć. Można by powiedzieć, że wartość w rozumieniu Elzenberga i Sobolewskiej przypomina *platońską ideę*.

Człowiek w świecie Sobolewskiej jest kimś, kto odkrywa wartość spirytualną świata. W tym świecie nawet rzecz ma wymiar duchowy. Rzeczy mają podkreślać charakter jednostki, wyrażać jej osobowość. Oprócz przebudzenia duchowego, wspólnoty wartości, otwarcia na drugiego w *Mistyce i mistyfikacjach* mamy do czynienia z najtrudniejszym zadaniem do urzeczywistnienia we współczesnej Polsce, a mianowicie z wprowadzeniem w życie zasad etyki obywatelskiej, solidarności z bliźnim. Przy czym solidarność jest tu interpretowana w konkretny sposób. Anna Sobolewska rozumie solidarność obywatelską podobnie do Petera Wohllebena, niemieckiego przyrodnika, który pisał w książce *Sekretne życie drzew*, że w lesie drzewa naturalnie rosną blisko siebie, by wspierać słabsze osobniki w ich społeczności. Drzewa dzięki bliskiemu usytuowaniu połączone są korzeniami i czują, które w danym momencie potrzebuje wsparcia, wspólnie się jednoczą, aby świadczyć solidarnie pomoc. Nie należy jednak zbyt antropomorfizować natury, zgodnie ze stanowiskiem panteistycznym jest ona przesycona duchem. Jednak zbyt naiwne jej uczłowieczanie może skończyć się tragicznie.

Sobolewska nawiązuje w jednym ze swoich felietonów do słynnego filmu Wernera Herzoga *Grizzly man*. Tytułowy bohater porzucił świat ludzi na rzecz świata niedźwiedzi. Zbyt mocno im zaufał i traktował jak w swoich braci. Przypłacił to życiem. Został bestialsko pożarty przez jednego z niedźwiedzi. Zatem doceniajmy naturę, ale pamiętajmy, by nie uciekać w naturę przed drugim człowiekiem. Niech ludzie będą na siebie wzajemnie otwarci.

Na zakończenie warto jeszcze dodać, że otwartość i gotowość do komunikacji i dialogu z drugim człowiekiem przejawia się też w postaci tekstów takich jak zamieszczone w *Mistyce i mistyfikacjach*. Ważne treści filozoficzne autorka ubrała w formę felietonu – utworu powszechnie dostępnego dla każdego bez względu na wykształcenie i obycie w świecie kultury i literatury.

Sylvia Gibaszek

Grzegorz Walczak

Prawiek zamknięty w teatrze¹

Prawiek i Wierszalin zdarzenie ciekawe, a jednak pozostawiające niedosyt. Oczywiście, do spektaklu można podchodzić jak do dzieła osobnego, abstrahując od tworzywa literackiego, na którym zostało oparte. Można się wtedy zachwycić czystością formalną, pięknem i szlachetnością wystawy, konsekwencją w kreowaniu świata teatralnego znaku. Narzuca się jednak pytanie, jak przy każdej adaptacji scenicznej, na ile dzieło literackie pozostaje sobą, jest nadal autonomiczne, nie traci swojej szczególnej formy. I kto jest głównym kreatorem? Pytania te nabierają dodatkowej mocy w wypadku nowoczesnej literatury narracyjnej, pozbawionej tradycyjnego konfliktu jako osi dramaturgicznej. Opowieść o losach bohaterów przekazuje reżyser w adaptacyjnym skrócie językiem wizualnego rytuału i narracji pomieszaną z bezpośrednim dialogiem.

Aktor odtwarza tu niejedną postać, ale też przejmując narrację dotyczącą tej postaci. Tożsamość postaci wzmacnia naiwnie stylizowana ikona w rękach aktora, symbolizując aktualnie odgrywaną postać (zabieg znany z innych inscenizacji Wierszalina).

Sam spektakl jest czysty, urokliwy, dość prostą metodą kreujący świat Wierszalinowego Prawieku (zgodnie z tekstem „wyszarpanym” z powieści), bardziej jednak Wierszalinowego niż Tokarczukowego. Spektakl w odniesieniu zwłaszcza do tego typu powieści z konieczności jest tylko zredukowaną tematycznie interpretacją tekstu pochodzącego z innego niż teatralna gatunku sztuki.

Powieść Tokarczuk wbrew pokoleniowym zbieżnościom (myślę o pokoleniu autorki i twórcy Wierszalina), mimo nowego języka i nowego podejścia do historii Polski, które tak urzekły Piotra Tomaszuka i reżysera Sebastiana Majewskiego, wydaje się do końca nieprzekładalna. W rezultacie

1 Odnalazłem moje zapiski z 1997 roku po obejrzeniu adaptacji teatralnej „Prawieku...” w spektaklu przywiezionym wówczas do Warszawy przez Towarzystwo Wierszalin. Już wtedy było wiadomo, że mamy do czynienia z literaturą niezwykłą. Przedstawienie wg powieści Olgi Tokarczuk *Prawiek i inne czasy*. Teatr Mały 11 i 12 X 1997. Towarzystwo Wierszalin – Teatr. Reżyseria: Sebastian Majewski. Opieka artystyczna: Piotr Tomaszuk. Scenografia: S. Majewski. Muzyka: Jakub Ostaszewski. Olga Tokarczuk za swoją powieść została przez czytelników wyróżniona literacką nagrodą Nike w 1997 r.

to upięknione formą przedstawienie, świadomie rezygnujące z pogłębienia filozoficznego w istocie dość ostrej, miejscami brutalnej i pesymistycznej wizji autorki, tworzy w porównaniu z pierwowzorem strukturalnie odmienną wartość sztuki.

Nowość i siła powieści tkwi w powiązaniu w niej baśni metafizycznej z realistyczną, nieco klechdową opowieścią (czy sagą – jak to nazywa Tomaszuk) o losach Boskich i innych mieszkańców Prawieku.

Przenikanie się tych dwóch wymiarów, dwóch światów, ich naturalna symbioza, wyrażająca się w płaszczyźnie językowej i konstrukcyjnej oraz w koncepcji filozoficznej, stanowią o integralności dzieła. Na ile tę integralność można naruszyć – jest to pytanie, które musi sobie postawić każdy adaptator. Reżyser ma prawo wyboru, musi zresztą zdecydować się na jakąś eliminację. Zafascynowanie twórców spektaklu własną formą teatralizacji i pozostawienie w cieniu tego, co – moim zdaniem – pozwoliłoby na autorski, osobisty, a zarazem metafizyczny ogląd historii, zużyło jednak wyrażnie świat przedstawiony w powieści. Jak powiedziałem, nie daje się bezkarnie oderwać historycznego losu Prawieczan od uniwersalnego, ułomnego Systemu samotworzenia i samoniszczenia, któremu patronuje starzejący się Bóg, Bóg, o którym nie wiadomo, czy i jak istnieje.

Gdyby tak było, Prawiek nie leżałby w centrum wszechświata, tylko po prostu gdzieś pod Kielcami. Tomaszuk znalazł tam swój Supraśl i trochę zapomniał o wszechświecie, mimo anielskich skrzydeł, pięknych żałobnych konduktów, podzwaniania i tej rzeczywiście budzącej metafizyczny dreszcz pieśni monotonnej, która się sący uparcie co wieczór, otwierając i zamykając powtarzalny obrządek budzenia i zasypiania Prawieku. Ta klamra najlepiej zresztą współgra z tym zwykłym, ale i zaklętym czy przeklętym miejscem.

Podstawowym chwytem ponadrealistycznym jest antropomorfizacja w warstwie, którą nazwałem baśnią metafizyczną.

Samo rozumienie pojęcia miejsca, jakim jest Prawiek, a także cały wątek zatytułowany *Czas Gry*, rozszerzają sens historii bohaterów na tle półwiekowej historii Polski o sens uniwersalny, filozoficzny. Bezradność człowieka, jego przemijalność, a także umieranie i rozkład wszystkiego, co się narodziło, w tej bardzo prostej stylowo, niby tradycyjnej narracji, uzyskuje przenikliwe piętno fizjologicznej i filozoficznej *daremności*. Nadzwyczaj wyraziście odbija się to np. w scenkach umierania Izydora i Misi, a nawet w bezpośredniej wypowiedzi: „Nic nie wynika ze stwarzania światów – myśli Bóg – Stwarzanie światów do niczego nie prowadzi, nic nie rozwija,

nie poszerza, nie zmienia. Jest daremne”. Bóg i autor czasem są sobie bliscy. Autorkę można podejrzewać o totalny pesymizm ontologiczny. Oczywiście, podobna może tu być jedynie *wszechwiedza* Boga i autora (choć autorka przyznaje się tylko do intuicji) o ich bohaterach i światach przez nich stworzonych. Stosunek natomiast Tokarczuk do wszelkiej boskości, religii i *mitu chrześcijańskiego* jest zaopatrzonej wyraźnym dystansem i przekorą, zwłaszcza wobec gotowizny frazesu mitycznego jak i wszelkiej konwencji, którą przełamując, twórczo wykorzystuje. Operując bowiem elementem mitologii chrześcijańskiej, czyni to swobodnie, najczęściej *à rebours*. Jako przykłady mogą posłużyć: historia Abla, który zabił Kainę, historia Hioba albo Wieży Babel, Stworzenie świata zakończone utopieniem Boga przez zwierzęta, które nie podziwiają ani Jego, ani człowieka. Znamienny jest też smętno-ironiczny dystans autorki do tych daremnych usiłowań Boga, do idei Klasztoru Reformowania Boga, do postaci księdza proboszcza, który nienawidzi węża: „W rozlewisku pojawiły się ryby i do nich ksiądz proboszcz miał już lepszy stosunek. Ryby można było zjeść. Były więc dobre, Boże”. Potwierdza to również następująca wypowiedź: „Lalka (suczka) ma w sobie taką ufność wobec świata, jakiej nie ma żaden człowiek. Podobną ufność miał w sobie Pan Jezus, kiedy wisiał na krzyżu”.

Prawiek jest osadzony w katolickiej (chrześcijańskiej) tradycji kulturowej. Nic więc dziwnego, że do niej odwołuje się Tokarczuk, konstruując swoją odmienną, prywatną mitologię świata i jego historii. I nie podejrzewałbym autorki o jakiś świadomie kreowany antyklerykalizm (nie to jest bowiem jej założeniem), lecz o twórcze podważenie gotowego schematu – zastanego apodyktycznego w swych rozstrzygnięciach mitu chrześcijańskiego. Tego typu gry twórcze dla wydobycia nowego, czy w ogóle jakiegokolwiek sensu świata, ukazanego w literaturze, są usprawiedliwione, gdyż jak twierdzi autorka „Ludzie potrzebują sensu, ponieważ są więźniami czasu”. Czasu pojętego jako niepodzielna kategoria ontologiczna, jako forma naszego istnienia, postrzegania, w którą jak w sieć jesteśmy złowieni. Inna sprawa, że poza czasem, a właściwie poza jego ograniczoną do ludzkiego życia fragmentarycznością wszystko wydaje się bezsensowne. Czy taka jest podstawowa dekadencja refleksja Tokarczuk? – Dekadencja czy po prostu realistyczna? Na te pytania autorzy spektaklu nie odpowiadają, świadomie je nawet pomijają.

Pozbawiają przy tym powieść jej dwoistej, pogłębionej struktury, przejmując z niej głównie to, co nadaje się na uzewnętrzniony rytuał. I w tym zawiera się zasadnicza różnica między spektaklem i powieścią. Język

spektaklu jest rytualny. Również prosty i poetycki język Tokarczuk, posługującej się najczęściej krótkimi, nieskomplikowanymi syntaktycznie zdaniami, jest wewnętrznie dramatyczny i w wyższym stopniu niż w wersji teatralnej nacechowany metafizycznym bólem istnienia i przemijania, tworzy on wielką metaforę daremności ludzkich losów, życia w ogóle. Inny jest czas powieściowy, inny czas teatralny, co innego znaczy to samo słowo w obydwu mediach: w teatrze Wierszalin staje się obrazem, w powieści jest czymś więcej niż znakiem przedmiotu, jest bardziej wolne, głębiej sięga czytelniczej wyobraźni. Ale to zrozumiałe. Nie da się przenieść i z całkowitym powodzeniem zredukować powieść do formy teatralnej, tak jak tej formy teatralnej nie da się zredukować np. do syntetycznego symbolu „ikony”, którym się posługują aktorzy. Spektakl więc cieszy i nie dosyca. Brak bywa jednak inspirującą, prowokującą cechą dzieła.

Grzegorz Walczak

Janusz Andrzejczak

Być poetą

Poezja to tęsknić
jeszcze przed rozstaniem
słyszeć niesłyszalne
znikąd wołanie

To deszcz usłyszeć
co pada daleko
korę brzozy podnieść
jakby baśni wieko

Jest poezją wzdychać
na rzecz niepojętą
czytać tętent żubrów
puszczy zew i tętno

Poezją zablądzić
w oparach mokradeł
i gdy widać koniec
pomimo dać radę

Być poetą widzieć
zielen o oczach lisa
tylko słuchać milczeć
i wierszy nie pisać

Każdą

Gdy piękno swoje dajesz
trawom chabrom i makom
spomiędzy zbóż i brzezin
kocham Cię
kocham Cię taką

Gdy spośród dziwów wielu

znak czytasz ufasz znakom
A po nich – wprost do celu
kocham Cię
kocham Cię taką

I inną też Cię kocham.
I sam już nie wiem jaką
Każdą bezwarunkowo
Kocham Cię
Kocham Cię taką

Naucz mnie brzóz

Naucz mnie brzóz kochanie
tych wzdłuż polnej drogi
po której konie
będą ciągnąć sanie
i śnieżne gwiazdy
sypać się będą
spod płóz

Naucz mnie kochanie
naucz mnie
śnieżnych brzóz

Naucz mnie
co to jest brzeźna chwila
w której biały pień
od sikorki żółcieje
a czerwienieje
od gila

Naucz mnie
jak się kładzie na brzozie
ślad ust

Naucz mnie
miłości do brzóz

Naucz mnie
jak się białą
wysnuwa nić
i jak to jest
spróchnieć w środku
a na zewnątrz
być
być
być

Opowiedz mi o deszczu

Opowiedz mi o deszczu
opowiedz
o tym jak się motyl
szachownica polowiec
w łąki wyschniętej toni
przed nim schronił

Opowiedz
jak to jest patrzeć na ulewę
chroniąc się przed nią
pod drzewem
pod jego dziurawym dachem
gdy woda spływa po włosach
z rzęs po policzkach
z czubka nosa

Powiedz mi jeszcze
jak to właściwie jest
z tym deszczem
co on pluszcze o nas
co kapie o sobie

O tym wszystkim
moja deszczowa ukochana
mi opowiedz

Janusz Andrzejczak

Anna Bernat

Listy od ojca do syna¹

1.

Żal jest jak kamień
milczy choćby nim o bruk podzwaniać
choćby go pieścić rozgrzewać
miłośnie uszlachetniać

żał to zwykły kamień przydrożny
siwe oko ziemi które patrzy
a niczego nie przyjmuje

żał ma łzy kamienne
takie łzy nie palą

ale za to on
na rozstajnych drogach pierwszy

rzuć we mnie tym kamieniem
ja odrzucę chlebem –
i już będzie lepiej

2.

Pamiętasz to drzewo za oknem
czarne chropowate
to drzewo dzisiaj należy tylko do mnie
chwytam je obłapiam a ono stuletnie
więc na wszystko pozwala bezszelestnie

to drzewo dobrze pamięta ciebie
tym kawałkiem odłupanej kory

1 Wybór wierszy emitowanych w Programie 1 Polskiego Radia w 1988 r. w wykonaniu Aleksandra Bardinięgo.

moje drzewo wielkie potężne
ma tyle ramion na każdy ból
ono unosi mnie pod niebo
aż gwizdże wiatr

kocham to drzewo
bo kogoś trzeba
prócz ciebie
synu
prócz ciebie

3.

Jeden taniec
jedna droga
jeden Bóg
od razu wiadomo jak iść i dokąd

a co zrobisz żeby śmierć
nie oblizywała się na twój widok?
nie wiem –

bądź zdrowy synu i kochaj zwierzęta
bo one też wiedzą co to jest miłość

4.

Synu
to już jesień

las niedźwiedzia ukrył
i nawet miód lejący się o poranku z nieba
nie może niczego odmienić

synu ty się śmiesz
ty mówisz to nieprawdziwy niedźwiedź
lecz namalowany
i namalowana jesień

taki niedźwiedź

i taka jesień jest dla ciebie niczym

dobrze zgadzam się z tobą –
to jest namalowany niedźwiedź
tylko dlaczego ryczy?

5.

Żal ci że nie możesz oglądać razem ze mną
tych wiosennych świątków krzaków
że nie możesz przy mnie stanąć
nad tym stawem żabiogrzechoczącym

nie móc najbardziej boli
nie móc tego wszystkiego co w zasięgu pragnień

dla mnie nie móc cię zobaczyć
to nie móc zostać
i nie móc odejść
naprawdę

6.

Powiem ci w tajemnicy
dzisiaj na dnie łąki zobaczyłem niebo

nie noszę okularów
nie piję alkoholu
jestem pewny
na dnie tej małej łąki
stało niebo i ołtarz

a ty mój pierworodny
złożyłeś głowę na ołtarzu mówiąc:
to dobra nowina

zerwałem się na równe nogi

ja ciebie proszę
ty mi takich dobrych nowin

już nigdy więcej nie przynoś
ani takich przywidzeń –
nawet nie chcę się ich domyślać

7.

Przyjedź
to już lepsze niż tak pisać do siebie co w duszy

przyjedź
mam tak doskonały sen
że natychmiast usłyszę

stół nakryjemy obrusem
och... wyprawimy ucztę
roztrzaskamy o ściany tę całą parszywą tęsknotę
niech się nawyje do gwiazd

przyjedź
choćby na przyszłe święta
a zresztą i tak zrobisz jak zechcesz

ojciec
mój ojciec
też na mnie czekał

8.

Nie pamiętam
czy pisałem ci o tych ptakach
które stukają w mój parapet
takie szaro-białe

nie odleciały tej zimy
widać im u mnie dobrze

martwię się tylko
co by się z nimi stało

gdybym ja tej zimy odleciał
do ciepłych krajów

9.

Przepraszam
już nigdy
nigdy tak nie odejdę
nie śmiałem spojrzeć w oczy
niskopiennej samotności
kiedy latawiec nie pofrunął
zacisnąłeś piąstki bezradnie
mówiłeś:
nienawidzę cię

i była cisza
jak łąkowa świątynia
gdy odszedłem do niej na chwilę

lecz do dzisiaj słyszę
twój płacz jak skowyt skowronka
na boskim sklepieniu

10.

Przygarbiony dzień
obolała noc

ty jeden widziałeś mnie
klęczącego przed źródłem

ty jeden widziałeś
jak byłem spragniony

o jak ja pragnąć umiem

ty jeden widziałeś
jak ciebie rodziłem
widziałeś tę chwilę wszechmocy

ty jeden
czyż nie byłem dla ciebie dobry?

synu marnotrawny
powroty są niebezpieczne
i potężne jak trzęsienie
gdybyś znów musiał odejść
to lepiej...

czekam na ciebie
policzyłem już drzewa za oknem
teraz liczę godziny
wiem
że tego listu nie wyślę

11.

Co nam przeznaczenie –

wiele trzeba nadziei
wiele krwi zamilczeć do serca
wszystkie drogi i tak wiodą w powietrze

ani ja
ani ty nie rozbierzesz się z ciała
wcześniej niż to konieczne

tu lato z zimą się schodzi
oracz ziemi nie przewróci
bo tak sucha że pyłem oczy rozkrwawi
jeszcze się słońce rozgląda
pod boki ziemię bierze

tu wszystko jest domem
i ten przytulny cmentarz

Anna Bernat

Sylvia Gibaszek

pamięci Mariana Jończyka

Każdy cyrk

Każdy cyrk ma swoje małpy – mawiał Marian, dziadek Rafała,
z miasta, które przed wojną było sztetlem – ale o tym sza!
Zaszyta pamięć chirurgiczną nicią,
szwy się zabiżniły

Kto dziś pamięta, jak Marian grywał z czarnookimi chłopcami
[w cymbergaja?

Wtedy jeszcze każde *dziecko było dzieckiem*,
niczym w *Niebie nad Berlinem* Wendersa.

Poczerwniało nad Parysewem.

Spadł deszcz.

W szkole dzieci wyszły z ławek,

na ściany sali od polskiego poląła się czarna krew.

Marian uciekł na koniu przez rzekę, aż pod las do Leszczyn.

Trzydzieści lat później, w tym lesie znajdujemy, w krzakach tarniny
odłamki szkła z Gwiazdą Dawida.

Trzydzieści trzy lata później wracam z ryb.

Roztrzaskuję paznokcie o ukrytą w mchu macewę.

Poląła się czarna krew

Każdy cyrk ma swoje małpy – mawiał Marian

Każdy cyrk ma tresowane małpy,

które prowadzą na powrozach,

kozły ofiarne na rzeź

Krzysztof Andrzej Jeżewski

Sen XLV

10 kwietnia 1987

Sąsiadka skarżyła mi się:
– Ja nie wiem, co to jest, proszę pana,
ledwo o czym pomyślę
czego się dotknę
to znika
Ot wczoraj na przykład
wracam z targu
umęczona jak pies
co to człowiek się nadźwiga
tego żarcia dla bachorów
ćpają i ćpają
jak smoki
więc idę po schodach, proszę pana
i myślę już sobie
jak to dobrze wrócić do domu
rozprostować gnaty
i gruchnąć mdłym cielskiem
na tapczan
już zaraz będą drzwi
i znany zapach
kot pewno będzie chciał
smyrgnąć na korytarz
a tu okropność, proszę pana
nic tylko mur
żadnych drzwi
tylko mur
i tak bez końca
– To właśnie jest
dramat utopii
powiadam twardo
i odchodzę patrząc na nią
z okrucieństwem

Sen L

21 lipca 1988

Powracający pejzaż:
 równina nieobjęta, bezbrzeżna
 zalana wiekuistym światłem
 złoto łąk falujące
 morze spokoju
 pod wielką kopułą
 błękitu
 i szczęśliwość niewysłowiona
 rozpierająca piersi
 zawrotna
 jak przepełnienie
 wszechżyciem
 jak oddech ogromny
 uśmiechniętego Boga

Mahler: X Symfonia

Pałace Boga
 nie są z szafirowych cieni
 ametystowych sklepień
 nie dźwigają w nich kolumny blasku
 nie wiodą do nich schody z chryzolitów
 ni bramy ze złota
 ni dziewięć sfer
 anielskich chórów

Pałace Boga
 uświetnia nieobecność
 Czasem tylko
 Bóg jawi się
 wybranym
 kiedy dosiadłszy trzmiela
 cwałuje
 od kwiatu do kwiatu

w zacisznej dolinie
 lub bawi się w chowanego
 ze słońcem
 pod wieczór
 wśród grobów
 wiejskiego cmentarza
 albo rozpościera się tęczą
 w niedopitej szklance
 na stole
 w brudnej oberży
 niekiedy
 w pustym sadzie
 gdy przekwitają jabłonie
 słychać echo
 jego kroków

Pałace Boga
 bywają z gliny i błota
 kurzu i zbutwiałych liści
 ale najczęściej
 są z krwi i żółci
 i łez

Wznoszą się wtedy ogromne
 i niebotyczne
 wypełniając świat

Norwid

Jest słowo z mroku i słowo ze światła.
 Słowo z ognia i z wyzięblej lawy.
 Jest słowo ze słowa i słowo z milczenia.
 Jest mur stromy, okolny, z twardego kryształu,
 Którego nawet strzała myśli nie przebije.
 Jest niby-próżnia wpośród, przepaść, otchłań ssąca.
 Jest wielość nieskończona w nieskończonym ruchu.
 Jest fala przeciw-wrotna, wciąż powracająca.

Jest muzyka wieczna, w wiecznym duchu.

*To nieobjęta tylko Boga-całość,
co znikający nam przez doskonałość.*

Rok 1952

Trzynaście lat. Masz tylko trzynaście lat.
A przecież wiesz. Na przekór wszystkim wiesz.
Każdy nerw twojej istoty krzyczy o tym w tobie.
Twój kraj zmięty, zaszczuty. Chodzi w czapce błazna.
Oblazło go robactwo i toczy go trąd.
Skłamane wszystko. Dzień zszarzał, głuchy ptaków świr.
Miasto jak śnięta ryba, którą przebiega skurcz.
Nijaczy się czas otępiały, rozlewa i bez śladu ginie.
I nawet łąka mniej pachnie skryta pod milczeniem.
Wiersz piszesz o „czarnej chmurze, która grozi światu”
I widzisz jak w oku matki zawisa cma lęku.
Wolność jak krew wyciekła z wszystkich twarzy.
To dom twój, a przecież nie jest twój.

Ale ty się nie dasz. O, nie poddasz się,
Choć depcze twoje sny ciemnej barbarii but.
Tak brzydzi cię ich gest, ich ton, nawet wykrój ust.
Jak Daniel idziesz sam, gdzie bestia ostrzy kły.
Kto broni cię, osłania przezroczystym skrzydłem?
Czy tamten żar niewygasły? Słońce chłapiących barykad?

Nic

Jeśli istnieje tylko Nic
a więc obdarzone bytem
niczym Coś z niczego
żywi nicość nicującą
odwracającą świat na nice
nic to

bo nic nie jest bardziej płodne
 napęczniałe
 ciężarne istotą
 niż nic
 Otwarte na nieskończoność
 zasobne wszelką możliwością
 na niczym mu nie zbywa
 a jako takie
 wezbrane treścią
 choć nic do rzeczy
 nic mu nicość
 i oto nic
 na nic marnieje
 nicością zniweczone
 i wyrasta z siebie
 bujne
 wszechogarniające
 nieprzebrane
 Arbor Plenitudinis
 1989

Zachód słońca w Jarosławiu

Niezatarty obraz. Słońce zstępuje w rynek
 ciągnąc swój świetlisty tren.
 Zamarł na chwilę ból czasu.
 Domy, zaułki, podcienia stoją oczyszczone
 jakby w świętym ogniu. Ogrody śnią.
 Świat jest kulą z kryształu.
 To jeszcze Polska. Tamta, niepamiętna,
 chodząca w złotogłowiach, jasna, jakże jasna,
 zachłyśnięta błękitem. O oczach dziecka.
 Ale ta wizja nagle się urywa. Oto uliczka
 co wiedzie ku wzgórzu, otwiera się
 jak rana brocząca żałobą.
 Oto rosną mury Escorialu,
 surowa trwoga bije w niebo mroku,

a na milczący portal świątyni
Piekło rzuca odbłask węzowych płomieni...

Dialog z mową

– Zimno mi – mówi mowa –
Ogrzej mnie.
– Mój ogień wygasł – mówię –
Ale przysiadź tu koło mnie,
Będzie nam cieplej razem.
– Nie mogę – mówi mowa –
Spieszę się, już późno.
– Dokąd idziesz – pytam –
o tej porze?
– Sama nie wiem – mówi mowa –
Coś mnie ciągnie
jak kamień na dno przepaści.
– Nie opuszczaj mnie – mówię –
Jeśli i ty odejdiesz,
cóż mi pozostanie?
Lęk mnie opada.
– Naucz się krzyczeć bez słów –
mówi mowa.

Sprzed apokalipsy

*Ziemia to plama
na nieskończoności błękicie,
a Bóg ją zetrze palcem
lub wleje w nią życie
jak w posąg gliniany
Adama.*

Juliusz Słowacki

Minęło. Wieki ścielą się jak liście
niepotrzebne już w pustych alejach.

Jak dziwna jest ta jesień świata.
 A myśleliśmy, że koniec nie będzie mu dany,
 że będzie trwał w stanie nieustannej zwłoki.
 Nie do wiary. Nieodwołalne już puka do drzwi.
 Już przybiera kształt to, co było marą.
 A więc wszystko ma być przekreślone?
 Wszystko utkane było z przezroczystej mgły?
 Już milczenie wznosi swoje nagie mury,
 A wiatr wzbija tumany wieczystego piasku.
 Zamyka się puste koło. Świat to kaprys Boga.
 On porzucił go jak dziecko zepsutą zabawkę.

Krzysztof Andrzej Jeżewski

Andrzej Książek

Jedna opcja

Symetria i harmonia.
 Proporcja i umiar.
 W świecie nadmiaru i niedosytu
 wydaje się anachronizmem.
 Niedosytu iskrzących się igrzysk rzymskich.
 Nadmiaru wrażeń wyobrażeń
 smaku wzroku słuchu i dotyku.
 Demokracji indoktrynacji jednej słusznej
 opcji i optyki.

Zazdrość zawiść gniew

Nieczystości umysłu.
 Spragnione kielichy kwiatów.
 Wiatr szeleści liśćmi
 które spadły z wiosennych drzew.

Legenda

Czym jest legenda w stosunku do rzeczywistego stanu
 rzeczy. Do stanu
 wody w rzece.
 Stopnia zanieczyszczenia powietrza dwutlenkiem węgla.

Jest to proceder wysoce niebezpieczny
 dla zbiorowej pamięci.

Jest to receptura niezbędna do wypieku
 chleba na igrzyska.
 Gdzie bogowie mieszają się z tłumem
 rzymian wiwatujących na cześć zwycięskiego
 wodza.

Człowiek przychodzi, odchodzi

Człowiek przychodzi uzbrojony
w oczekiwania wyobrażenia.
Po jakimś czasie odchodzi.
Po nim przychodzą inni.
Tak samo uzbrojeni.
I też odchodzą.
Z tym samym nastawieniem.
Z tą samą wadą
serca.

Na wzór obraz i podobieństwo

Obraz róży nie jest różą.
Nie pachnie.
Obraz człowieka nie jest człowiekiem.

Człowiek w pewnym momencie staje się robotem.
Myśli tak jak mu każą.
Robi tak jak mu każą.

Jest sterowany z bliska i daleka.
Na odległość najbliższej stacji telewizyjnej.
Miejscu położonego o tysiące kilometrów.

Paradoks

Rzeczy wydają się wielkie
gdy na nie patrzymy
przed ich posiadaniem.
Wydają się małe
gdy patrzymy na nie z góry
jaka powstała z przedmiotów
które posiadamy
nabywamy więcej coraz
więcej.

Koan

Jaka jest twoja pierwotna twarz przed
narodzeniem się twoich rodziców?

Jaka jest twoja prawdziwa twarz
przed nałożeniem kilkuset masek
które zakładasz w ciągu
całego swojego życia?

Demilitaryzacja

Fikcja jest wymyślonym nieprawdziwym
wydarzeniem.

Teoria naukowa jest fikcją.

Teoria Darwina.

Teoria Einsteina jest fikcją.

Jeśli nie jest sprawdzona do kilku zer
po przecinku.

Legendarny wokalista jest człowiekiem
który ma niecałe metr pięćdziesiąt wzrostu
i ani centymetra więcej.

Legenda jest fikcją.

Mit jest fikcją

Żywią się one pokarmem jak reklamą
i marketingiem na koszt
podatnika.

I tym podobne

To co jest
jest brakiem. Wybrakowanym egzemplarzem
o obniżonej cenie.
Poniklowanym do złudzenia przypominającym

dzban wypełniony po brzegi
którego zawartość może ugasić pragnienie.

Z braku czasu
łapiemy każdy moment który przynosi nam
w darze opatrność opatrnie rozumiana.
Bez znieczulenia przeprowadzamy skomplikowane operacje
interpretując wszystko dookoła
wygodnie siedząc w bujanym fotelu z fajką w zębach.
przed kominkiem uzurpującym ogień.
Widzimy i słyszymy to co chcemy widzieć i słyszeć.
Mimo włączonego światła otacza nas ciemność.
Mimo ciągłego porządkowania i układania
otacza nas chaos i bezwład.
A także wszystko mi wolno i wszystko mi jedno.

Wolność

Prawda was wyzwoli
spod tyranii własnego „ja”.

Pozbycie się siebie aby
być wolnym od własnych myśli
emocji.

Wyzwanie godne
człowieka
uwięzionego
przez coraz to nowe metody
pętania i monitorowania.

Andrzej Książek

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Twój szept słyszę z daleka...

Nie żałuj, niczego nie chcesz zmieniać.
Mówisz, myślami wracasz i że boli.
Twój szept słyszę z daleka,
wiem, jesteś, czekasz...

Na skrzydłach niósł nas wiatr,
na niebie marzeń gwiazdy utykał.
Jak z filmu niemego kadr,
czas spowolnił, zatrzymał.
Nasz miał być dzień, noc, brzask...
Falami ocean opływał ciała,
harf struny gorące napinał, lechtał.
Ja Słońce, Ty Drogę Mleczną widziałaś...

Szepczesz, że zegar miarowo odmierza czas,
że jest bez serca, że zimny jak lód...
Przecież wyszedłem na chwilę,
drogi nie skróć!
Że tęsknisz? Spójrz na mnie...

Nie wierzysz?
Ja jestem, ja wrócę...

Warszawa 18.06.2011

Jakże Cię kochać szalona...

Jakże Cię kochać szalona,
gdy nie chcesz już słuchać,
patrzysz, a nie widzisz,
wycofujesz się w siebie.
W ułudzie żeglujesz do rana
i milczysz zamknięta,
łzy ronisz, a nie czujesz żalu.
Mówisz, że winien jest czas.

Że co było nie wróci,
 że zmęczenie materiału,
 że za całokształt, nic nie ma już w nas...
 Jakże Cię kochać szalona?
 Gdy płomień przygasa,
 i próżno bez Ciebie czekać na wiatr?
 Ja słucham, mówię, ja widzę
 mam odejść? W pamięci wieczność cała,
 wiosna, lato, jesień, zima
 ja jeszcze poczekam...
 Niech spłynie on z Tatr!

06.12.2011

Ich dwoje...

Bez czucia, bez wiary,
 z nadziei wyrzuci.
 W codzienność szarą uciekają.
 W oczy nie patrzą, już nie umieją.
 Mijają. Do kłamstw się nie przyznają.

Z pozoru twardzi,
 uśmiechem zwodzą.
 W kryształę zbrojni.
 Pyszni, zuchwali.
 Złym słowem hojni.
 Najlepiej się znają.
 Nie rozumieją,
 ból sobie zadając.

W dzień ułudą oczy,
 usta karmelem karmią.
 Nocą nie śpią,
 jak duchy, jak mary,
 krążą, nawiedzają, cierpią,
 lecz przyznać się nie chcą.
 Nie ustąpią, bezgrzeszni,
 przy swoim trwają.

Światło księżycza od zbroi
odbija się blaskiem,
chłodem wieje, nie przenika,
ciepła nie daje, nie grzeje.
W lodu sopel
wszystko zamyka.

Już się nie lubią, nie kochają,
naprzeciw siebie z mieczem stawają.
W bełkocie słów, bez sensu
nic nie widzą, nic nie słyszą.
Ślepi. Głusi.
Pyrrusa zwycięstwo ogłaszając.
Okaleczeni rany pudrują.
Nie rozmawiają. Nie umieją.
Win przed sobą nie wyznają.
W dyplomy bogaci
Ox i Bridge, Stanford i Economics...
W ogrodach kwiaty bukietem strojne.
Markami przyodzian i trunków
z nadętymi logo w oczy kłują.
Smartfony, palmy, cale, daktyle,
gór szczyty, motyle.
Głowy w oparach obłoków
jeszcze nurzają.
Lecz serca z kamienia,
z papieru krojone.
Nie wiedzą, wiedzieć nie chcą,
że wszystko stracili.
Nie mają już siebie?
Nic już nie mają...?

Warszawa, 15.09.2012

Na szkle lub skale malowane...

Ze spiżowych bram wyziera pustka,
z gładkich skał nagość.
Ktoś donikąd uwodzi, zaprasza.
Nie trzeba biletu,
...wystarczy wykupić próżność
poświadczyć głupotą.
W drodze może przystanek nadzieja.
Niektórzy mają dość – wysiadają. Inni zostają.
Stacja końcowa – pęknięty balon, rozczarowanie.
Końcowy napis – przekleństwo, bluźnierstwo
na czole, na ekranie.

Z domów na szkle
budują zamki, wznoszą wieże.
Węże za słowa, za oczy żądze,
za uszy pochlebstwa i uniżenie.
Nosy Rysów, Alp sięgają.
Języki przewrotne uwiedzionym
wyrąbują drogowskazy.
Twarze od ucha do bram otchłani
uśmiechem zwodzą, czarują.
Oczy maślane, w ustach szmira
i złoto, rokity kuszenie.
Stoisz na Górze, rzec musisz słowo...
Rzucić się w dół?
Gdy w piersiach kamienie...?

Za linią brzegu gaje oliwne
kroplą rosy karmione,
poranną mgłą powite, opasane.
Wyglądasz przez okno.
Promienie słońca,
światłem ciemność rozpraszają,

nad nią górują. Znajdujesz.
Dziś niosą Cię skrzydła,
nawet jeśli jedno złamane.
Porzucasz lęki, kajdany zdejmujesz.
Wyruszasz w drogę, nabierasz odwagi
– Dla Ciebie to już nie jest podróż w Nieznane...

Warszawa, Boże Narodzenie 25.12.2019

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Jerzy Marciniak

wspominanie wspomnień

Paulinie Dąbrowny z Wrocławia

pochmurny dzień
nigdy się nie kończy
i nie zaczyna
jest i zmierzchem i barwami nocy
i snem
co świt z nadchodzącym rankiem w jedne barwy łączy

twoje dłonie
jasne i czyste niczym fortepianu klawisze
dźwięki
i słowa przez świerszcze nocami
grane
które po latach powracają powoli
w naszą dawną ciszę

i wspomnienia
o jaskółkach budzących mnie kiedyś z brzaskiem
wygasłych ogniskach
z których ostatni dym jeszcze się sący
trąbek myśliwych graniem
to
wszystko mnie i Ciebie łączy

i barwy nocy
które nad ranem zaczynają blednąć
i twój śmiech
którego nigdy nie mogłem osiągnąć

*na Dolnym Śląsku mieszka 2.964.342 osób
ale tylko Paulina D z Urzędu Marszałkowskiego
jest grzeczna dla mnie*

aktor
chcący wsiąść do pociągu w biegu
jego ostatnie kroki
zgrzyt i krzyk
cisza i mrok
to jak łódź w wichurze
nie mogąca dopłynąć do ostatniego brzegu

i białe mgły
które o brzasku zaczynają rzędnąć
i twoje spojrzenie
którego nigdy nie mogłem dosięgnąć

biała zima
szczekanie psów z dala
szron srebrzysty na trawie
i pierwszy trop samotnego zająca na śniegu
to wszystko
mnie i Ciebie na trwale scala

*we Wrocławiu mieszka 732 523 osób
lecz tylko Paulina D z Urzędu Marszałkowskiego
jest przyjazna dla mnie*

pamiętam
jeże grzebiące nory u schyłku jesieni
kwiaty maciejki
które przed zimą nie zdążyły zwiędnąć
puste drzewa w sadzie
i Twoją postać
której też nigdy nie mogłem dosięgnąć

*pisane na Dolnym Śląsku
o którejś godzinie któregoś roku*

Piotr Müldner-Nieckowski

Napis w obronie praw mieszkańca

Nie kombinuj jak koń pod górę,
trwały napis na szybie najlepiej zrobić
pisakiem niezmywalnym.
Potem będziesz się zastanawiać,
czy cię za to wyklną, czy wygumkują.

Będziesz się martwił,
że napis jest zbyt trwały.
Będziesz się z krzykiem budził w nocy,
że napis jest zbyt odważny
i rani twoich nieprzyjaciół,
którzy jednak mimo wszystko,
wbrew logice ochrony życia,
mogliby stać się przyjaciółmi.

Dziś, nie wiadomo dlaczego,
jeden z nich, który tak
strasznie pluł na ciebie,
podszedł i podał zdrewniałą rękę
z nadzieją, że może ożyje ciepłem,
choćby osowiałym, i zacznie odkrywać
zmysł dotyku, włączać kable nerwów,
a ty się uśmiechniesz.

Kula szpaków*Dla Justynki*

Nad nami przewróciła się ich pętla w kulę,
skrzydło chmury szpaków – czym to jest dla ciebie?
całe niebo zajęte i w punkcie znów się zbiera
ich gromada w napowietrznej więzi.

Nad tobą nie zabłądzi piórko ani jedno,

ani jedno mgnienie nie ujdzie zaskoczeniu,
bo to jest silnia sterów nanizanych w sieci,
tysięcy małych mózgów – kosmos orientacji
na mgły przewrotności, szwy tajemne sprytu.

A może i puls święta. A orzeł w górze czatuje.



Chmura szpaków. Fot. wg Wikimedia

Alicja Patey-Grabowska

Nienasycenie

Nienasycenie
choć jest się sytym

I ciągle głodnym
choć najedzonym

I wciąż spragnionym
choć ze źródła woda

Zdanie niezamknięte
choć zwieńczyła kropka

I cisza głośna
choć to niemożliwe
aby się stało
to co nie do stania

Poetka

To ona
ptaka wstrzymuje w locie
zapala w deszczu słońce
nasycę je smakiem
pomarańczy
przemienia w piłkę
dla zabawy chrząszczy

To pod jej piórem
wyrastają drzewa
rodzą się sarny
wyskakują rysie
Tygrys pazury
wbija w biały papier

a kleks jak kot
węszy zapach mysy

To jej łza
zamienia się w morze
pełne czarnych kutrów
pirackich okrętów

To w jej łzie
złota rybka kusi: –
 Za jedną rozpacz
 jeden wiersz

To ona
pani
papieru i pióra
władczyni świata
który co dzień stwarza
szara i cicha
ostatnia w kolejce
 i wcale nie pierwsza
 po szczęśliwy los

rok 2016

W oku cyklonu

Dla p. dr Tomasza Rożka

W oku cyklonu
cisza
Tylko na obrzeżach
chaos i zamęt

W oku cyklonu
słońce
Tylko na obrzeżach
czerń i śmierć

Czy jesteśmy

w oku cyklonu?
Nikt jeszcze nie wyszedł
z gardła czarnej dziury

Wydaje nam się
że nas nie dotyczy
zderzenie galaktyk

Tylko czasem
krzyczymy przez sen

Zawrócić czas

Obrócić czas
o sto osiemdziesiąt stopni
jak wskazówki zegara
o dwanaście godzin

Dopiero urodziliśmy się
Jesteśmy w kołyskach
a nasze uczucia
kołysze wiatr

I rzeka płynie
do swojego źródła
zamienia się w strumień
i wsiąka pod korzeń

Zawrócić czas
czy można?

rok 2019

Alicja Patey-Grabowska

Krzysztof Rudziński

Biała czapeczka

Beacie K.

Biała czapeczko, w dzień grudniowy
W smutnym kondukcie idziesz w dali.
I jak odchodzi dzień zimowy,
Tak Ty odchodzisz, coraz dalej.
Wiatrem skostniała, pod chmurami,
Idzie przede mną Twoja miłość.
I choć nas ludzie rozdzielili
Ja wiem, że w sercu, moją byłaś.
Wypatrywałem Ciebie stale,
Moją tęsknotą wzrok się mroczył...
To nikłaś w tłumie, gdzieś w oddali,
To znów cieszyłaś moje oczy.
Taką zostaniesz już na zawsze,
W kąciку serca uwięziona.
Biała czapeczko, w dzień grudniowy,
Choćby i wieki przeszły po nas.

Obcowanie

Wyrastam z nich – z nich dzień w drzewo
wyciętych w pień – kielkują listki.
Od wczoraj dziś do potomnego przenoszę ich
w gałązki istnień. – A drzewo z ziemią jest
po słowie, objętych w pól – ocala mowę,
odgina wstecz zły wiatr. Dojrzewa. Wzbiera w gmach,
wyrasta nad fundament stulistnym obcowaniem
w zmowy po biały ranek, w szeptu po całych dniach.
– I od nich umiem hasło i odzew – wiary jasność
dni okopanych w kwiatach. Desant babiego lata
zarosłych imion pnączem, wywiedzie się, wypłące,

rozpełźnie po ogrodzie z wiatrem – muzykę zrodzi.
 W niej moja jawa prędko pierzcha,
 jak sen i szukać muszę jawy
 z ich pni poległych kędzierzawych
 rosnących z próchna i z powietrza
 odebranego młodym płucom.
 – Jej ton wraz wabi i odrzuca.
 Łowi się chwilą bardzo małą
 urody wielkiej, co uchyla
 rąbek nieznanej tajemnicy –
 tatarski szlak zew krwi trop wilczy.
 Bywa – nie jest mi trudno dostrzec
 pamięć kształtów nieobecnych zarys,
 którzy nie są potrzebni dla oczu
 nie przydadzą się zmysłom na nic.
 Bywa – ciemność odchyłam zwolna
 i nadchodzą zdjęci z krzyża chłopcy,
 niosą lata szatańsko nieludzkie,
 niosą młodość uciętą jak głowę.
 Mój czas, w niej tak bezradny kroczy,
 gdzie tam kroczy, ledwo kuśtyka.
 – Już nie mogą w nim dłużej mieszkać,
 już nie mogą go stopą dotykać.
 Uciekają drzwiami kamienia,
 które znają poprzez śmierci kroki.
 I z ziemi wniebowzięci w lipy czarnoleskie,
 rosną w nich, w dni piękniejsze przyszłym pokoleniom.

Powiersze najustronniejsze

Wiersza szukał natchnienia motyl
 i samotna łąza po kryjomu.
 – Pora wzruszeń, bo pachną floksy
 przedwojennie – jak słowo honoru.
 Był jak ja i ten ogród znał
 mych rodziców i stare floksy;
 nie gustował w budlejach* – stąd omżyn*

mu nie bywał motylim krzewem*;
 więc pomijał go i pochwycony
 narkotycznym zapachem floksów
 spijał nektar – swój życia płomień
 prometejski górnego lotu.

I dla oczu w locie tym mniejszy,
 im się w wiersza rozjaśniał mowie
 (Paż królowej ostatni wierszy)
 w ostateczne poecie, po sobie,
 to powiersze najustronniejsze,
 w którym wiersze nieznane pod słońcem,
 wiersze, których nie sięgnął słowem,
 bo im ludzkie słowa za wątle –
 zapisane są w jedynym S ł o w i e.

Krzysztof Rudziński

* Budleja (omżyn lub motyli krzew) – krzew kwitnący wonnym kwieciem, do którego zlatują się masowo motyle – z wyjątkiem *pazia królowej*.

Krzysztof Saturnin Schreyer

Wielki wernisaż

Jedziemy! Za oknami światowa wystawa,
a jej twórca paletą ogromną nas bawi,
zielonymi wstęgami przesuwają się trawa,
tu i ówdzie przecinki jasnych brzoź postawił.

Zbyt wielką mamy szybkość, by dobrze rozpoznać
technikę malowania owsa albo zboża.
Zielone zagajniki różną biorą postać,
przycupnięte w dolinach lub rwąc się w przestworza.

Na niebie różnokształtne, abstrakcyjne chmury.
My bardzo się staramy dopatrzeć znaczenia
w jeziora złotych błyskach, we wzorach natury,
którą natchniony malarz czarodziejsko zmienia.

Nasz pociąg mknie przez życie, jakby przez wystawę –
oszołamia nas rozmach wielkiego artysty,
a my tylko z tą jedną, jedyną obawą,
by wzrok się nie wypaczył, by pozostał czysty,

aby życia tunele, groźne boczne tory
nie zepsuły przesłania ogromnego dzieła –
bo malarz także czernią swe dzieło zaściela.
My wspólnie chcemy w głębi dostrzegać kolory.

Jechać tak, jechać długo, w dzień, wieczór i rano,
trzymając się za ręce, patrząc sobie w oczy,
bo piękno, kiedy wspólne, barwami aż mroczy.
Nie chcę wiedzieć, gdzie czeka ostatni przystanek.

23–25 VI 2019

O jasnej stronie

Tak. Boli mnie wiele rzeczy,
jak wszystkich, a także ciebie.
Co mogę, pragnę naprawić
co mogę, pragnę uleczyć.

Nie piszę odkrywczo i z gniewem,
że po nas prochy i kości.
Nie mówię, że ból, że „niestety”,
bo to zdumienia młodości,
a nie starego poety.

Problemy inne mnie bawią,
nauka ma ich tysiące,
odkrycia śledzę z obawą
albo z nadzieją gorącą.

Na duszy swojej ekranie
jasne obrazy maluję,
daruję je zapłakanym,
a czarne – anihiluję.

Pragnę rozgrzewać, nie ziębić,
więc głoszę, że świat bogaty
choć umie ranić i gnębić,
śle także miłość i kwiaty.

Ich zapach trzeba zachować,
z odorem piekła wciąż walczyć,
katastrof nie celebrować,
po klęsce umieć zatańczyć!

Chcę wam jak Zorba pokazać,
choć tylko słowem, inaczej,
że sztuką jest opowiadać
o szczęściu, nie o rozpacz

3 VIII 2019

Modrzew w Radziejowicach

Smukłe, wyniosłe nad innymi drzewo,
z ażurową głową bezlistnych gałęzek
roztąńczonym wahadłem spogląda na niebo,
to na ziemię, gdzie bywa literacki związek.

My w salonie, bez czasu, poetka, poeta,
spoglądamy na nagie gałęzie jesienne;
na ścianach wielcy ludzie zakłęci w portrety,
zegar odmierza życie, krótkie i bezcenne.

Modrzew wyrósł nad inne drzewa dookoła,
gnąc swą koronę lekką, jeszcze nie złamaną,
mówi: – Kiedyś mnie zamkną w zdrowe belki dworu.
Niech po waszej miłości słowa pozostaną.

14 X 2018 – 26 VI 2019

Oboje

Pod skrzydłem, pod łabędzim
taje zdrętwiałe serce
oddech twój bliski, ciepły,
porusza włosów łany,
leżę, lecz w tęczę lecę...
Twe czary mnie urzekły
i jestem zakochany
z pamięcią, bez pamięci?

Twych palców duch przemyka
cieleśnie choć bez wagi
i biegną nuty drżące
po niewidocznej strunie
czułości cichej, nagiej.
I ciepłem falujące
te dwie się tulą do mnie
i słyszę szmer strumyka

południe, ojciec, matka
i łódka. Bezpieczeństwo
rozgrzana słońcem kładka
tatarak, oczy twoje
zielone, bez szaleństwa
w beczasie my oboje.

Jak trudno się oddzielić
jakby z ołowiu ciało
i słucham twego serca
wciąż mało ciebie, mało
jak się na wieki wcielić
ty we mnie, a ja w ciebie?
Nie wiesz? Ja także nie wiem.

Stoisko bukinisty

Jak dobrze iść Chmielną ręką w rękę z tobą,
przyglądając się ludziom i architekturze –
dachy, okna ozdobne i niebo nad głową.
Słońce błyszczy na murach, a więc oczy mrużę.

Idą dziewczyny w spodniach, nie wiem, czy się śmieją,
chłopcy niedbałym krokiem życie przemierzają,
albo kroczą z teczkami, z kariery nadzieją.
Czy może czasem jedni na drugich zerkają?

Chociaż światy w tym tłumie mieszają się różne,
płyną rzeką szeroką, prądem jednolitym.
A na brzegu stoiska. Tam nadzieje próżne,
że poezji i prozy wybór znakomity

zatrzyma choć na chwilę, przywabi, zachęci.
Tom geniusza co pisząc strawił młodość całą,
wiekowa mądrość mędrca, dramatu trzy części,
który niegdyś dyskusję wzbudził niebywałą –

wszystko wynik mozołu lub natchnienia chwili.

Teraz leżą jak głązy, a potok przepływa,
czas biegnie, słowa bledną, nikt głowy nie schyli,
tylko para poetów, chwilowo szczęśliwa,

bo idą, patrząc w przyszłość, serdecznie objęci.
Lecz po chwili ich dusze łapią myśli czarne,
bo od myśli i uczuć w głowach aż się kręci,
lecz pisać, po co, na co? Na marne, na marne!

27 VIII 2018

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Seipp

Jak udało mi się to spieprzyć?

**Próba analizy katastrofy wielkiej miłości
pomiędzy uczennicą i starym poetą
w odniesieniu do twórczości Kazimierza Wierzyńskiego¹**

I

- czy porzucenie może być konsekwencją nieumiejętności przeżywania miłości?
- czy moja miłość była efektem więzi międzyludzkiej czy wyobraźni?
- czy wizja Miłości Absolutnej pozwalała mi rekompensować lęk przed różnicą wieku i chroniła mnie przed konfrontacją z zagmatwaną prawdą o naszym związku?

II

- nie przeżywałem miłości – ja ją tworzyłem. Tworzywem nie była jednak rzeczywistość, lecz moje wyobrażenia. Moja miłość miała charakter imaginyjny i trwała dopóty, dopóki była poza rzeczywistością i jej prawami
- przeżywałem oczarowanie spowodowane rozpoznaniem własnego ja w drugiej osobie jak i rozpacz wywołaną miłosnym kryzysem przerywającym narcystyczną iluzję
- przeświadczeniu o wyjątkowości mojej miłości towarzyszyła ambiwalencja ewokowana poczuciem odosobnienia i bezsilności wobec uczucia, które nie chciało podporządkować się mnie, skoncentrowanemu na sobie

III

- na początku byłem oszołomiony, nie miałem pojęcia, jak powinienem się zachować w obliczu wstrząsu – ogromu tej nagłej miłości. Nic nie rozumiałem i chciałem w całości należeć do kochającej mnie dziewczyny
- akt całkowitego ofiarowania traktowałem jako warunek szczęśliwej miłości i miłości w ogóle. Ale taka orientacja wytworzyła też we mnie

¹ Wiersz zbudowany jest ze zdań wyjętych z artykułu Łukasza Wróblewskiego *W poszukiwaniu prawdy (o) miłości w „Pamiętniku miłości” Kazimierza Wierzyńskiego* opublikowanego w „Zeszytach Naukowych Towarzystwa Doktorantów Uniwersytetu Jagiellońskiego”, numer specjalny 7 (1/2016), za zgodą autora.

przeświadczenie, że może nie będę w stanie sprostać gloryfikowanemu uczuciu

– uważałem się za słabego, żyjącego dzięki energii jakiej dostarczała mi młodość maturzystki. Jej zakochane spojrzenie sprawiło, że sednem miłości stała się nie relacja interpersonalna, a niepojmowalne uczucie zależności, które wzmagало pragnienie nowego życia. Zyskałem emocjonalny komfort, który – jak się okaże – nie wytrzyma próby rzeczywistości

IV

– istotą mojej miłości stała się Akcja Artystyczna. Z jednej strony intensyfikowała uczucie, z drugiej obnażała jego kruchość, wykluczała bowiem żywą relację. Pisanie powieści „Ostatnia miłość. Romans pornograficzny dla młodzieży i rodziców” było mistyfikacją rzeczywistości.

Moja miłość stała się literacką kreacją, formą ucieczki przed światem, a w końcu tej rzeczywistości karykaturą

– zachowywałem się tak, jakby wspólne pisanie książki, a nie bezpośredni kontakt bliskich sobie ludzi miało zapewnić trwałość naszej miłości

– jeżeli „miłość jest kodem komunikacji”, to w moim przypadku komunikacja nie uwzględniała uczuć partnerki i sprowadzała się głównie do pielęgnowania własnego afektu

– moja miłość nie była owocem więzi łączącej dwoje ludzi, lecz projekcją Jasnie Pana Artysty, który chciał nie tyle kochać, ile przede wszystkim być kochanym – jego uczucie zakładało niesymetryczną relację, w której zasada wzajemności ustępowała woli narzucania siebie innym i nie zostawiała miejsca na ekspresję „ja” partnerki

– ukochana była wyłącznie instrumentem do kultywowania moich uczuć, a nie obiektem, który darzy się prawdziwą miłością i troską

– nie akceptowałem tęsknoty dziewczyny za związkiem jako rodziną, którego pragnienie było w niej obecne

V

– mijały lata, przyszedł czas rewizji uczucia: uświadamiałem sobie coraz wyraźniej iluzoryczność miłości, której zawierzyłem

– zamiast przeżywać miłość, pragnąłem rozczytać drażącą mnie niepewność, dociekałem, dlaczego w ogóle kocham

– miłość i lęk stały się nierozłączne, wzajemnie się napędzały – to było jak pogoń za ukochaną, której nie mogłem zrozumieć

– źródłem zagrożenia dla budowania trwałej relacji wcale nie była jej młodość, ale ja sam: nie potrafiłem udźwignąć na swych barkach miłości, która była coraz bardziej realna

– będąc niezdolnym do wzięcia odpowiedzialności za związek, dokonałem ikonizacji: dziewczyna stała się ideą, muzą, obrazem mającym uwiarygodnić miłość jakiej pragnąłem

– kiedy porzucałem fantazmat, w którym tkwiłem, moja miłość jawiła się jako afekt destruktywny

– sytuacja egzystencjalna, w jakiej się znalazłem, przybrała formę rachunku z samym sobą, ślepo wierzącym w miłość idealną

– prawda o mojej miłości objawiła się w sposób brutalny – uświadomiłem sobie fakt, iż tak naprawdę nie doświadczam miłości, którą opiewam

– dziewczyna żyła przy mnie samotna

VI

– zadałem sobie niewyobrażalny trud, by pokochać naprawdę

– usiłowałem wcielić się w sytuację ukochanej; po raz pierwszy w życiu zrozumieć uczucia kogoś innego, wyzwalać się w ten sposób z afektywnego egocentryzmu

– nie umiałem jednak wynagrodzić jej żalu za czułością zwyczajną, codzienną, której nie dane jej było przy mnie zaznać

– obydwójce w końcu uświadomiliśmy sobie obnażoną prawdę o naszej miłości: to uczucie narodzone z samotności i do samotności sprowadzone

– nie byliśmy już w stanie odbudować tego, co zaprzepaściłem: empatycznej relacji, zdolnej do generowania miłości

– fiasko swojego uczucia zrozumiałem dopiero w obliczu tego, co rzeczywiste, a nie wyobrażone

– zobaczenie dziewczyny takiej, jaką jest, a nie takiej, jaką chciałym, żeby była, konfrontacja z miłością uczłowieczoną doprowadziła mnie do dramatycznej psychomachii: to, co ludzkie i śmiertelne, przekraczało moje siły, pogrążyło mnie w coraz głębszej rozpacz

– moja ucieczka przed miłością była ucieczką przed prawdą o mojej miłości – nie byłem w stanie jej zaakceptować

VII

– postanowiłem zaprzestać dociekań nad prawdą o miłości i uznać, że miłość sama w sobie jest prawdą warunkującą szczęście

- wyimaginowałem sobie, że miłość jest naszym celem, który należy kultywować i uznać za fundament istnienia

- miłość miała stać się w ten sposób czymś pozapodmiotowym, niezależnym od naszych działań; zewnętrzną instancją, uczuciem samoistnym, będącym „wyrokiem i przykazaniem”

- ukochana próbowała demaskować moje szaleństwo, konfrontować mnie z miłością odczarowaną, przekonywać, że miłość to wysiłek, trud i praca, jaką należy wspólnie wykonać, by osiągnąć spełnienie

- ja wciąż wierzyłem w miłość łaknącą nieskończoności, spoglądałem tęsknie za utopią wiecznej szczęśliwości

- nie chciałem słuchać o miłości operującej w rejonie przyziemnym, nawet jeżeli przyjmowała to, co napotykała w świecie księżycowym; o akceptacji stworzonej w jej kondycji przemijającej

VIII

- źródła kryzysu, jaki nas dotknął, należy upatrywać w komunikacyjnym impasie. Nie dzieliliśmy już ze sobą smutków i nękających nas problemów – wyraźnie oddaliliśmy się od siebie. Zamiast zwracać się ku sobie, zamykaliśmy się we własnych światach

- wciąż kreśląc utopijną wizję rzeczywistości rządzonej przez prawo miłości, wykreowałem świat, który nazwałem „dobrym” – jak narcyz, który ulega ideologii doskonałego afektu, lub Bóg, który opatrzył swoje dzieło adnotacją „i to było dobre”

- z bezprzykładną pewnością siebie traktowałem naszą miłość niczym warunek oddychania, co do którego nie można mieć żadnych wątpliwości

- dopadła nas aporia komunikowania i poznawania: ukochana wracała do mnie, ale była już nieobecna. Ja wciąż wierzyłem w miłość *per se*, będąc przekonany o jej wszechmocy

- myśląc, że działam w imię miłości nieświadomie działałem przeciw niej – ztraciłem rozumienie specyfiki tego wyjątkowego uczucia

- mówiliśmy monologami obcych sobie głosów, które choć pragną miłości, nie są w stanie wcielić jej w życie – dwoje uczestników bezskutecznej pogoni za marzeniem, które stało się niczym więcej, jak tylko karmiącą się iluzją szamotaniną

IX

– nie mogąc doświadczyć bliskości uznałem miłość za magiczną rzeczywistość wymykającą się prawom *ratio*: z powodu nadwątlenia afektywnej więzi, godziłem się na traktowanie miłości jako tajemnicy

– miłość kojarzyłem z nieskończonością – tym, co nigdy nie przemija i nadaje sens ludzkiej egzystencji

– prawideł takiej miłości nie mieliśmy szans odkryć – jeżeli miała być tym, co wyznacza *continuum* ludzkiego istnienia, jednostka stanowiła jedynie medium dla ponadludzkiego afektu

– moje kompulsywne myślenie zrównało się z bezgranicznym oddaniem

– ofiarowałem siebie miłości, ponieważ wierzyłem, że w ten sposób zapewnię jej trwanie, ale bycie w rękach tajemniczej siły, która nie dawała mi do siebie dostępu, uniemożliwiło mi zaistnienie jako partnera i powiernika

– ucieczka przed samym sobą ku miłości urastającej do rangi zewnętrznej instancji zarządzającej moim życiem była też ucieczką przed starością – jedyną alternatywą dla mnie było umieranie

– najpierw jednak umarło w nas pragnienie ratowania związku przeżywającego kryzys – pragnienie, które pozwoliłoby odbudować miłosną relację między dwojgiem ludzi połączonych niegdyś gorącym uczuciem

– nasza miłość stała się „przypomnieniem odległego słońca”, przeciwstawionym „obrzędowi łagodnej śmierci i spokojowi konania”

X

– prawda o naszej miłości leży w obcości implikowanej tym uczuciem
– nasza miłość nie tylko zrodziła się z samotności, ale i do niej się sprowadzała

– to nie była komunia dusz – u jej źródeł leżało przejęcie samym sobą i troska o własne uczucia, które w miłości szukały dla siebie uprawomocnienia

1 grudnia 2019, 213 dni po 1 maja

Jerzy Seipp

Jerzy Śleszyński

Olga i inni

*Olga strasznie chciała żyć cicho jak myszka,
ale impertynencja świata sprawiła, że było inaczej.*
Miroslav David

Dla tych co się boją w skrytości (bo nie mają ducha)
bo mają coś za uszami
że autobus może skrócić gwałtownie w ich stronę

motto dla tych zawsze odważnych cudzym kosztem
zawsze skorych do piętnowania
dla markowanych jurków i jurkowatych marków

twarz w rozmytej szarości
w długim czarnym korytarzu na którego końcu jest tylko
prymitywnie pobielona ściana

kilkanaście przekreśleń i wersji
rozwleczonego nawiązywania do błędów wychowania
małego Franza i dużego Franza

to jednak wyróżnienie 24 lata i prosto na szafot
za wszystko za wszystkich
bo jedna/jeden to dla masy zawsze znaczy bardzo mało

czytam i rozumiem „jesteśmy poza prawem,
nikt o tym nie wie,
a jednak każdy nas według tej miary traktuje”

Chłód

Jerzyków i jaskółek już nie ma
odleciały
do lepszych krajów
z nami zostają
sroki wrony i gawrony

sroki jak skrzyżowanie sępa z archeopteryksem
codzienna policja zaglądnąca chciwie do okien
wścibskie forpoczty ostatecznej utraty prywatności

wrony ze spokojną bezczelnością i złodziejskim sprytem
otworzą każdą torbę wyrwą kęs i odfruną na pobliską gałąź
sam widziałem tropiły i zadziobały gołębia spokoju

gawrony jak ponury chór żałobników śpiewający kra-jowi
ich białe dzioby są od dawna czarne od czarnej roboty
grzebią i zagrzebią i pogrzebią wszystkie nasze nadzieje

kiedyś może za 8 lat lub więcej
jerzyki i jaskółki przylecą
żeby cieszyć oczy urodą szybkością i finezją
a teraz strzeż się bo z nami zostają
sroki wrony i gawrony

Janusz Andrzejczak

Witrażyki

Tobi wzbudzał podziw, respekt, a nawet strach. Te jego przeczucia, ta jego orientacja w terenie, to prawie zawsze trafne przepowiadanie pogody!

– Nie, to nie jest człowiek – szeptali między sobą.

Poruszali się w dzikim terenie z mapą, ale nie zawsze wszystko się w niej zgadzało, więc aby mieć pewność bezpiecznego powrotu, zostawiali za sobą znaki: skrzyżowane suszki drzew, gałęzie, wytoczony kamień, a czasami nawet zawiązane na gałęziach wstążki. Korzystanie z GPS zgodnie uważali za wstyd. Żadnej elektroniki! Zresztą i tak – w chaszczach, kniejach i bezdrożach, zasięg Internetu był często zerowy.

Iść z Tobim nie było łatwo. Ni stąd, ni zowąd, nagle schodził z trasy i znikał na dłuższą chwilę w lesie. Już wszyscy przyzwyczaili się do tego jego dziwactwa, więc nie nawoływali go, nie szukali; wiedzieli, że za niedługo zobaczą go przed sobą.

Razu pewnego szli i szli, gdy ich towarzysz swoim zwyczajem zniknął w lesie. Byli zmęczeni, więc przystanęli. Jeden z nich nie usiadł z resztą, tylko wszedł w las. W nim niespodziewanie zobaczył przyjaciela. Ujrzał go dotykającego pni drzew, czule głaszczącego liście i igliwie, patrzącego wzwyż i kucającego. Dotykał mchu, opuszkami palców muskał grzyby, szyszki, kosmyki traw, krzewinki, płatki złuszczonej kory. Jeden z większych, ten z sosnowej kory, podniósł z runa i skierował pod światło. W jego dwóch palcach płatek nagle ożył. Trzymał w nich precudny witrażyk, a żywe od niego światło zaczęło wędrować po całym cieple Tobiego.

Innym razem inny już towarzysz wędrowki ujrzał go mocującego się z wybujałą, chudą brzoźką, zgietą przez wiatr ku ziemi. Wyprostował ją, zaczepiając o koronę mocnego, sąsiedniego drzewka. Z uratowanej brzożki złuszczył się strzęp białej kory i osiadł na jego ramieniu. I znów, jak wtedy, wziął go delikatnie w dwa palce i zwrócił ku słońcu. Tylko, że słońca nie było. Niebem, przetaczały się ciężkie chmury przeddeszczu i ani jeden słoneczny promień nie miał najmniejszych szans na przebicie się ku ziemi. Ale cóż to! Jakby ktoś chmury rozchylił na tyle tylko, by mógł się wydostać jeden, jedyny promień, by rozświetlić marny strzęp brzożowej kory! Wydostał się, przeniknął i spłynął srebrnym światłem na twarz Tobiego.

Te zdarzenia obudziły w jego kompanach niedyskretną ciekawość. Już za każdym prawie razem, gdy ich kolega znikał w chaszczach, ktoś bezszelstnie szedł za nim.

Któryś widział Tobiego wkładającego rękę do dziupli, wyjmującego z niej garść próchna i podrzucającego je w górę. Lecąc rozproszyło się w fosforyzujące roje połyskujących, leśnych drobinek. Wszystkie te tysiące migających drobiazgów osiadło na Tobim. Strząsał je z każdym krokiem powrotu do przyjaciół.

– Kilka kilometrów od nas mocno sieje deszcz. Idzie w naszym kierunku – czasami mawiał.

Jeszcze zdążyli z założeniem kapturów, jeszcze zdołali ukryć się pod wielkim, rozłożystym drzewem albo pod daszkiem myśliwskiej ambony i – jak zacznie padać, lać! Jakby tam, na górze, ktoś kurek z morzem odkręcił!

Siadał ptak na niskiej gałęzi. Rozprostowywał skrzydełka. Jeden z promieni upatrzył sobie barwne skrzydła ptaka, przeniknął przez nie i barwna przeźroczystość ptasiego witrażyka padała na twarz Tobiego.

To samo było ze skrzydełkami motyla, ze śniegowym płatkim, z wiosennymi, jesiennymi liśćmi.

Innym razem słońce już zaszło za lasem i z każdą chwilą robiło się ciemniej, ciemniej, ciemniej. Wszystkie słoneczne promienie znalazły się już po tamtej stronie. Drzewa gaśły, wtapiały się w ciemność, a ciemność wtapiała się w drzewa. Tylko jednej, jedynej sosny nie wchłonęła ciemność. Świeciła jak gromnica: od złota, poprzez pomarańcze, do coraz to ciemniejszych czerwieni aż po brązy. Gdy osiągnęła ten najciemniejszy, wtopiła się w noc. Ale widział to tylko Tobi. Gdy zwrócił im na to uwagę, tylko spojrzeli na siebie wymownie.

Raz wyszli na leśną polanę. Na wzgórzu rósł ogromny świerk, a pod nim spoczywał wielki, omszony głaz. Wszyscy pokładli się po cieniejszej stronie, tylko Tobi usiadł osobno, tyłem do skrytego za chmurami słońca. Oparł się o kamień. Odpoczywali po długim marszu. Wiązka słonecznych promieni nagle oświeciła jego i głaz, a wszechkolorowe jaszczurki światła, rozbiegły się po nim i kamieniu.

– Zbieramy się! – krzyknął Tobi.

– Znów coś wymyśliłeś – odpowiedział jeden z nich.

Gdy z niechęcią wstali, gdy odeszli kilkadziesiąt kroków, błyskawica rozdarła świerk na pół.

Minął rok i znów spotkali się latem.

I znów, wędrowali przed siebie.

Całą drogę towarzyszył im prastary, sosnowo-świerkowy bór. Opity ostatnimi opadami mech zachwycał nierzeczywistymi odcieniami zieleni.

Zbliżał się zmierzch.

– Gdzieś tu jest woda, jakieś małe, leśne jezioro – szepnął Tobi.

Zeszli po urwistym stoku w dół.

Było to jedno z tych leśnych oczek, w których cisza jest wodą, pochyloną ku niej brzoza, sosna, jest bezgłośnie lecącym ptakiem, pierścieniem torfowego mchu – na wpół pływającego, na wpół tworzącego brzeg.

Usiadł Tobi blisko wody na powalonym, zamoszonym drzewie, a jego przyjaciele poszli wzdłuż brzegu dalej. Był sam. Patrzył przed siebie. Pomarańczowy krąg słońca zapadał się w las, promieniując coraz czerwieniami smugami.

Gasło światło, a wraz z nim wszystko, co istnieje dla dnia. Zrobiło się prawie ciemno.

Nagle świetlisty promień wbił się jak oszczep się w jedyny martwy już listek suchego krzewu uczepionego mokrej poduchy mchu. Promień podświetlił go na kolor krwistej czerwieni i powstały z tego witrażyk padł na twarz Tobiego.

I wówczas nie wiadomo skąd pojawił się Ten, który umie chodzić po wodzie.

Ten, który jest każdym światłem i każdym jego pojedynczym promieniem.

Ten, który sprawia witraże i witrażyki.

Dla wszystkich.

Tylko trzeba czuć i patrzeć.

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Beška

Duchy rzeki Pregel

(fragmenty)

Stanisław Berg dałby wiele za małą filiżankę czarnej kawy. W ciągu nocy, która właśnie przeszła do historii, spał może z kwadrans. I to nie w łóżku, ale na jakimś cuchnącym worku, o którego zawartości nawet bał się pomyśleć. Stało się to zresztą przypadkiem; po prostu przyłożył głowę do twardej ściany i na kilka chwil stracił świadomość. Mogli go wtedy pokroić na plasterki.

Nie żałował jednak Berg straconej nocy, nie żałował ani jednej chwili. Miał bowiem złoczyńcę. Vladas Smetona przyznał się do winy. I to do o wiele gorszych rzeczy, niż Stach podejrzewał. Nie spodziewał się, że włoży do cebrzyka z zimną wodą głowę człowieka, który mógł mieć na sumieniu Evę Peters, potrzyma przez chwil parę, aż wiszące ciało zacznie lekko drzeć, a wyjmie... No właśnie.

Za pięć szóstą rano wysiadł z dorożki przed gmachem Prezydium policji.

– Niech pan poczeka – rzucił przez ramię do fiakra.

– Nigdzie mi się nie spieszy – odrzekł wozak, by ciszej dodać: – Szczególnie z takim pakunkiem...

Stach wszedł do środka i skierował kroki w stronę okienka, za którym dyżurował policjant. Widział go po raz pierwszy.

– Dzień dobry – przywitał się, odchrząknąwszy.

Wcześniej wiele razy wyobrażał sobie tę chwilę, zastanawiał się, jak powinna wyglądać. Układał w duchu kolejne zdania, które wypowie, by zostać szybko zrozumianym. I bezbłędnie. Tak, wiedział, że mogą go wziąć za wariata. W pogotowiu trzymał więc licencję prywatnego detektywa. Zastanawiał się też, czy nie poprosić od razu o wezwanie kogoś wyższego stopniem, oficera, może nawet samego inspektora Wincklera, byłego przełożonego Schatzkiego. To, co miał do przekazania, nie było wszak ani skargą na pogryzienie przez agresywnego psa, ani doniesieniem na sąsiada, który hałasuje po nocach, ani też zgłoszeniem zaginięcia bliskiej osoby.

Dyżurny policjant nie zdążył odpowiedzieć na pozdrowienie, bowiem rozdzwonił się telefon. Mundurowy, zapewne też półprzytomny po nocce,

odgiął tubkę, coś mruknął, pociągnął nosem, a następnie przez dłuższą chwilę słuchał, co ma do powiedzenia osoba po drugiej stronie.

– Taaa. – Stanisław Berg potarł piekące oczy.

Jeszcze raz przywołał w duchu chwilę, kiedy usłyszał *confiteor*. Nie, nie przyśniło mu się to. Vladas Smetona nie tylko sprzedawał jedwab z Francji, Włoch i dalekich Chin, wciskał babom w okolicznych wsiach i miasteczkach perkal i bawełnę. Vladas Smetona dostrzegł również źródło zarobku w tych, których ciała okrywały sprzedawane przez niego tkaniny. Stary to był proceder, stary jak świat...

Vladas Smetona handlował żywym towarem.

Zauroczone przystojnym i obrotnym kupcem młode kobiety, które poznawał w miasteczkach prowincji, wyjeżdżały z nim, porzucając dotychczasowe życie, bliskich i codzienne obowiązki. Nie wiadomo, co im naobiecycywał ani ile ich było. Wyciągnięcie tego ze Smetony będzie już zadaniem tutejszych śledczych, nie Berga. Pewne było też, że za kratki trafi więcej osób, które stręczyły młode, nieświadome niczego dziewczyny. Na niektórych członków szajki trzeba będzie poczekać. Statki, na których pływają, zawiną jednak prędzej czy później do tutejszego portu. W ten sposób bowiem, drogą morską, kobiety opuszczały Königsberg.

Dokąd docierały? Vladas Smetona kłął się na wszystkie świętości, że tego już nie wie. I że jego rola kończyła się, kiedy otumaniona od alkoholu i opiatów dziewczyna prowadzona była po trapie na statek. Czy była cennym towarem? Stach nie posiadał takiej wiedzy, nigdy wcześniej nie spotkał się z tematem handlu kobietami.

No i pozostała jeszcze najważniejsza sprawa. Sprawa Evy Peters. Dlaczego zginęła? Czy zdołała przejrzeć prawdziwe zamiary człowieka, któremu zaufała i dla którego porzuciła wcześniejsze życie? Jeśli tak, to Vladas zabił ją, żeby nie doniosła na niego policji. Logiczne. A może stało się to przypadkiem? I gdzie? Nad Zamkowym Stawem, a może na jednym ze statków, a potem ciało zatopiono gdzie indziej, aby odciągnąć uwagę od portu...

– Tak, tak. Rozumiem. Zaraz wyślemy ludzi – mówił tymczasem do tubki policjant; na początku jeszcze rzucał w stronę oczekującego interesanta spojrzenia pod tytułem „nie poradzę, panie kochany, nie rozdwoję się”, ale potem poświęcił już całą uwagę rozmowie.

Stanisław Berg odszedł kilka kroków od dyżurki. Westybul był o tej porze niemal pusty, jedynie z górnych pięter dochodziły jakieś głosy. Zbliżył się do okienka, które wychodziło na ulicę. Wtedy serce zatrzymało mu się w piersiach. Dorożka, którą przywiózł tu związanego jak baleron złoczyńcę,

odjeżdżała. Można było wręcz powiedzieć, że uciekała. Wozak stał bowiem na koźle, okładał zad konia batem, wykrzykiwał, a przede wszystkim co raz oglądał się przez ramię.

– Zabiję cię! – sapnęła Stach, rzucając się w stronę drzwi wyjściowych.

Zaraz za progiem omal nie potknął się o leżący na ziemi kształt. To był Smetona. Wyglądało na to, że dorożkarz po prostu nie wytrzymał napięcia i postanowił pozbyć się kłopotu, nawet za cenę utraty pieniędzy za kurs i kilkuminutowy postój. Nad leżącym pochylali się już dwaj umundurowani policjanci, którzy widać dopiero dotarli do swej siedziby. W pewnej chwili ich spojrzenia skupiły się na Bergu. Ten w ułamku sekundy zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Smetona miał jeszcze mokre włosy po niedawnej i niechcianej kąpeli. Torturze. Na szczęście miał też w gębie knebel, choć w każdej chwili któryś z mundurowych mógł mu go wyjąć. A potem sięgnąć po szablę...

– Nazywam się Berg, jestem prywatnym detektywem. Ująłem tego człowieka. Przyznał się do zbrodni – wyrzucił z siebie z szybkością maszyny do szycia.

Na szczęście to, plus okazanie dokumentów, wystarczyło. I po chwili we trzech zawlekli związanego Smetonę do środka niczym rybacy z mierzei okazałego suma. W tej samej chwili po schodach zszedł sam inspektor Franz Winckler. Berg czuł, że jest blisko sukcesu.

– Nazywam się... – zaczął, ale zaraz przerwał.

Były szef Schatzkiego zdawał się bowiem nie widzieć tego, co się dzieje. Podeszedł szybkim krokiem do dyżurnego, który na jego widok poderwał się z siedzenia.

– Musimy zebrać ludzi! – wyrzucili z siebie te same słowa, dokładnie w tym samym momencie.

– Już pan wie? – zdziwił się Winckler. – Przecież dopiero co do mnie dzwoniono.

– Ja też miałem przed chwilą zgłoszenie, panie inspektorze – wyjaśnił dyżurny.

– O ukradzionym z kostnicy cielem.

– Jakiem ciele, do kurwy nędzy?

– Żony Webera.

– Nie. Wiem za to o kolejnym trupie znalezionym w wodzie.

Ostatnie zdanie spowodowało, że pod Bergiem ugięły się nogi. Gdzieś w oddali rozległ się huk. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to zatrzęsnięto drzwi celi w kazamatach tego ponurego gmachu. Wreszcie spojrzał na leżącego u jego stóp Smetonę. W tej samej chwili zauważył go Winckler.

– Kim jesteście? – zapytał.

Cały kontenans, który nie opuszczał Stacha od kilku godzin, ulotnił się w ciągu jednej chwili. W pewnym momencie pomyślał nawet, że może lepiej by było, aby to on leżał teraz na zimnej posadzce, skrzepowany jak wieprz, z kneblem w gębie.

Ale stary policjant nie powtórzył pytania. W ogóle chyba stracił zainteresowanie dziwną parą nieznanym. W jednej chwili wokół nich zaroilo się bowiem od ludzi. Z góry zbiegali policjanci w mundurach i jacyś mężczyźni w przyciasnych marynarkach i melonikach, ani chybi tajniacy. Podobni osobnicy wtargnęli do środka z ulicy. Słychać było tupanie buciorów i pokrzykiwania. Brzęczały szable. Ktoś wydawał komendy, co przypominało szczekanie psa. Winckler w powietrzu podpisywał jakieś papiery, które mu podsuwano, mówił półgłosem do mężczyzn stojących przed nim na chwilę. Całe zamieszanie nie trwało nawet minuty.

W pewnej chwili inspektor spojrzał pod nogi, gdzie wciąż leżał, niczym myśliwskie trofeum, Vladas Smetona. On, w przeciwieństwie do odstrzelonego jelenia czy dzika, żył jeszcze, choć kilka godzin wcześniej niewiele brakowało, a Berg nie opuściłby tego cebrzyka z wodą. I wcale nie przez niewyspanie.

– Do celi z nim – zakomenderował i żeby wszystko było jasne, wskazał na handlarza.

Następnie posłał Stachowi pokrzepiające spojrzenie i rzekł:

– Pogadamy później, mój panie. Teraz, jak pan widzi, mamy tu niezłą kipieli.

Berg skinął głową. I tak nie śmiałyby w tej chwili pytać tego człowieka, czy Roch Ciupa, złodziej chleba, jest mu naprawdę niezbędny.

Wieść, że pod Mostem Drewnianym, położonym na wschód od Knipawy, zauważono jakoby topielicę, szybko rozniosła się po okolicy. Kto żywy, nie był w tym momencie akurat zajęty przy warsztacie ani nie męczył go kac po wczorajszym, kierował kroki nad rzekę, by przekonać się na własne oczy, czy to prawda. Nie straszny był nikomu ani chłód, ani nie przeszkadzała wczesna pora. Być może nawet poczyniono w tym temacie kilka zakładów. Ludzie, którzy kilkanaście minut wcześniej zebrali się tłumnie w Prezydium policji, mieli więc zajęcia aż nadto.

– Nie pchać się! Krok w tył, bo pójdziecie do kozy! – powtarzali niezmordowanie.

Ale prośby i groźby działały krótko. Każdy chciał zobaczyć, co dzieje się niżej, w cieniu mostu. Zdążyć ujrzeć ten moment, kiedy na jedną

z dwóch łódek, które znajdowały się na wodzie, siedzący w nich mężczyźni wciągną ciało. I czy będzie nagie, co najbardziej chyba interesowało zgromadzonych w kilku grupkach uczniów pobliskiego gimnazjum realnego, ubranych w granatowe mundurki i okrągłe czapki.

Oddzielną grupkę stanowili osobnicy, których charakteryzowały... znudzone miny. Jakby nic na tym świecie nie było już w stanie ich zdziwić, poruszyć czy nawet zachwycić. Trzymali w rękach notatniki i coś pisali. Wymieniali ze sobą uwagi. Ktoś się nawet zaśmiał. Obok ustawiono na trójnogu aparat fotograficzny; młody mężczyzna w kapeluszu zsuniętym na tył głowy grzebał w drewnianym pudełku. Było snadź jasne, że jutro mieszkańcy miasta dowiedzą się o wszystkim z miejscowych gazet. A może nawet doniesie o znalezisku któraś z popołudniówek.

– Rozejść się, ale już! Nie będę dwa razy powtarzał! – gardłował Schulz, który właśnie przybył na miejsce zdarzenia i dalej zaprowadzać swoje porządki; w ostatnim czasie bardzo brakowało mu tego zajęcia.

I rzeczywiście, kilka osób, które go widać znały i wiedziały, do czego jest zdolny, jęło się cofać rakiem. Znaleźli się nawet i tacy, którzy zdecydowali się w ogóle odejść.

Bo i czy rzeka Pregel, pradawna Vatrulia, ciągle nie pochłaniała nowych istnień ludzkich? Raz był to zapijaczony marynarz, który nie zdołał wrócić na swój statek, kiedy indziej ktoś, kto nie chciał oddać długu zaciągniętego u nieodpowiednich ludzi, a może tylko nie zrobił tego na czas. Nikt już nawet nie liczył martwych kotów i psów.

Rad z siły perswazji, jaką miał, Schulz wkroczył na most, na którym wstrzymano ruch, i wychylił się przez balustradę. Na bulwarze stali ludzie, których największym marzeniem było teraz nie zobaczyć, jak pakują trupa na łódkę, ale by znany z nadgorliwości stróż porządku... wychylił się za bardzo i runął do wody zakutym łbem do przodu. I najlepiej, żeby na jaki kamień trafił. Ech, byłoby co opowiadać wśród znajomych. Może nawet przy wigilijnym stole!

– I co pan o tym sądzi? – Schulz usłyszał nad sobą głos Klausa Tyla.

Na palcach jednej ręki można było policzyć wypadki, kiedy ci dwaj zamienili ze sobą więcej niż jedno zdanie czy grzecznościowy zwrot. Schulz miał Tyla za wieśniaka, który nie ma pojęcia o wielkim mieście, a przeniósł się tutaj najpewniej dzięki protekcji. Z kolei Tyl, mimo że pracował krótko, zdążył już usłyszeć to i owo na temat tępego służbisty o ciężkiej ręce. Teraz jednak wszystko to było nieważne, wyglądało bowiem na to, że będą musieli razem pracować. Przynajmniej przez chwilę.

– Na moje to samobójstwo – rzekł Schulz. – Porzucona kobieta zorientowała się, że jest w ciąży. Wolała śmierć niż spędzić płód, zapomnieć o kochanku i zacząć życie od nowa. Znam ja wiele takich przypadków.

– Ummm – mruknął Klaus.

Schulz wziął to za zachętę i dalej snuł swe teorie.

– Rzuciła się do wody, może nawet na wysokości Sackheim, a nurt poniosł ciało aż tutaj. Mogło się zatrzymać na izbicach – wskazał wystające z wody drewniane konstrukcje, których zadaniem była ochrona mostu przed krą – pamiętam nawet jeden taki przypadek. Topielec wyglądał, jakby go... ukrzyżowano. Słowo daje!

Tyl nijak tego nie skomentował.

– A pan co uważa? – Schulz spojrzał zezem na nowego.

– Że to kolejna ofiara szaleńca, który utopił Evę Peters w Zamkowym Stawie – odparł bez namysłu Tyl, oblizując wargi.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Czuję to.

Ja za to czuję cebulę – pomyślał o Schulzu, krzywiąc się.

– Ja słyszałem, że to też było samobójstwo – rzekł po chwili.

– Jeszcze nad tym pracujemy.

Przez chwilę milczeli. Policjanci na łódkach nadal walczyli z nurtem rzeki. Nie było widać zwłok. Może wysliznęły się spod przęsła i popłynęły dalej?

– Kto ją w ogóle znalazł? – zapytał Schulz.

– Rybak, który wcześniej rano płynął na morze – odrzekł Tyl. – W pierwszej chwili coś mu tylko błysnęło. Coś dużego i czarno-białego. Myślał nawet, że to jakiś spora ryba, ale w ostatniej chwili dostrzegł ludzką głowę. Rozpoznał, że to kobieta.

– Ciekawym, jak mu się to udało w tak krótkim czasie... – mruknął z przekąsem Schulz, ale nowy puścił tę uwagę mimo uszu.

– Zatrzymał się na chwilę w porcie, gdzie powiedział o swoich obawach, a pracownicy portu powiadomili nas. Myślę, że za chwilę będziemy wiedzieć więcej – dokończył.

Słowa Klausa Tyla potwierdziły nawoływania, które dobiegły spod mostu. Policjanci jak na komendę wychyliłi się przez balustradę. A potem, również w tej samej chwili, spojrzeli po sobie. Każdy rad był w tym momencie zobaczyć głupią minę drugiego. Przegranego, choć przecie o nic się nie zakładali. Tym razem jednak można było bez wątpienia mówić o remisie.

Krzysztof Beśka

Tamara Bołdak-Janowska

Szczęście

Rozmowa położnicza Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka

BeJot: Tolo, porozmawiamy o szczęściu?

Tolo: A masz punkt zaczepienia?

BeJot: Mam. Krótką myśl Sokratesa: „Szczęściem się jest”. I jeszcze jedną jego: „Szczęście jest przyjemnością, wolną od wyrzutów sumienia”. Ale przede wszystkim tę pierwszą, to znaczy wyłącznie pierwszą. Ta pierwsza oszołomiła mnie, bo w niej zawiera się wszystko. Wielu myślicieli wiele mówiło o szczęściu, a jednak ta krótka myśl Sokratesa zawiera wszystko. Stan szczęścia. Nie będziemy się odwoływać do tych, którzy szeroko komentowali tę pierwszą myśl Sokratesa, rozdrabniali ją, i dodawali od siebie definicje szczęścia. Do nikogo innego nie będziemy się odwoływać. Możemy samodzielnie? Tylko z Sokratesem?

Tolo: Skoro uważasz, że ta krótka myśl Sokratesa zawiera wszystko.

BeJot: Wszystko. Stan. Mój i sądzę, że i twój. Od razu wykluczamy stan szczęścia dusiciela, seryjnego mordercy, kapo obu płci w Auschwitz. Bo i takim szczęściem ludzie bywali są i będą, ale my nie chcemy takiego szczęścia takich ludzi. I wykluczamy fakt, że popkultura rozmyła tę myśl filozoficzną po forach internetowych w reklamach, i w tym rozmyciu reklamowi towarowi spece wołają o bycie szczęściem z powodu zakupu ich szamponu, który w ich reklamie sztucznie włosy puszy, aż spuchną jak tona gęsiego puchu. Trzymamy się pierwotnej głębi Sokratesa. Daje słowo honoru, że nie jesteśmy seryjnymi dusicielami i nie będziemy.

Tolo: Ale kiedy to on powiedział. Wieki temu. Od tamtego czasu szczęście – użyję wytartego zwrotu – jeżeli je kto miał, i szczęście jako termin rozniesiono już w samej filozofii na kawałki, detale, atomy, a atomy rozszczepiono w stu traktatach i tysiącach przykładów, i po Sokratesowym błysku znowu poruszamy się, my współcześni, po obrzeżach istoty, posługując się w chwilach nadzwyczajnych słowem „totalny”, „mega”, „pałér” i okrzykiem „łał”, zamykając to wszystko jeszcze modnym słowem „szok”.

BeJot: Ależ nie o tym. Nie słuchasz mnie? Chodzi mi o stan. O te chwile, kiedy czujesz: jesteś szczęściem. Czują tak twoje stopy, paznokcie, włosy. Od stóp do głów jesteś szczęściem. Częściowo masz rację, że filozofowie wytarli to, ale twoja racja przede wszystkim dotyczy tej drugiej

myśli Sokratesa. Tutaj musiały narastać reakcje, uściślenia. I my przecież uściślamy: wykluczamy szczęście seryjnego dusiciela w akcji. On to robi bez wyrzutów sumienia. Gdybyśmy bezrefleksyjnie, bezkrytycznie uznali, że chwila bez wyrzutów sumienia jest stanem szczęścia, to musielibyśmy uznać szczęście seryjnego dusiciela w akcji. I innych podobnych typów. Zrelatywizowalibyśmy temat. Wyrzucilibyśmy pojęcie-czucie szczęścia na zewnątrz i stwierdzilibyśmy głupekowato: no bo każdy ma prawo do szczęścia. Nie pamiętasz z dzieciństwa czy młodości stanu szczęścia?

Tolo: Coś pamiętam. Raz wiosną buzowała świeża zieleń i poczułem się prawie na dotyk okrażony przyrodą. Poczułem jej oddech. Oddech zielonej bryły, zbiorowy, w każdym jej punkcie. I byłem wewnątrz niej. Miałem siedemnaście lat. I po raz pierwszy doznałem wspólności pulsującego życia. Innym razem obudziłem się i jakby to powiedzieć: wszystko żyło i było na swoim miejscu, wróbel i kura, i wiatr przybył z daleka, i poczułem coś większego od radości. Bez powodu. Poczułem samo ogromne życie. Może to było stanem szczęścia.

BeJot: A ja pamiętam: jadę z matką pociągiem z Narejek do Białegostoku. Jest piękny spokojny letni dzień. Za oknem płyną obłoki. Małe, puchate, białe. Płynie niebo. Płynie pociąg, choć ze swym twardym głośnym rytmem tamtej parowej maszyny, z dymem, z hałasem żelaza o żelazo. I nagle doznaję lekkości. Płynie niebo i ja płynę. Przestaję słyszeć rytm pociągu. Niebo zagłusza je swoją ciszą. Ono płynie jednostajnie i szybko, bo pociąg mknie i je porzuca i porzuca. Mam trzynaście lat. Płynę! Jestem niebem. Jestem lekka. Błogość. Bez jedynej myśli. Szczęście. Nie czuję ciała. Nie mam go. Jestem w górze. W płynącej i gładko porzucanej przez pociąg górze, ale to porzucanie zwiększa objętość nieba, bo ja wiem-czuję, że ono jest i jest, z tyłu i przodu. Doznaję nagiego bytu czy też samej jaźni. Nie jestem odrębna od płynącego ogromnego pogodnego nieba. Ono płynie szczęśliwie, jeśli tak można powiedzieć; szczęśliwie po swojemu, mnożąc kształty obłoków – są tam skrzydlate pierzyny, brudne od dołu, ryby, filety rybne, co już gdzieś opisałam, że na przykład smuga za samolotem to ten filet, i są tam gęsi z ogromnym wolem i dziobem jak fajka, twarze z nosem jak plujący kartofel, zbutwiałe zderzaki, to znaczy butwiejące w oczach, stoły o trzech nogach, kwiaty, które rosną poziomo, kładą się po tych stołach, i to wszystko jest mną. Ono płynie w oknie pociągu, ale ja nie czuję tych ram, płynąc wraz z nim i w nim. Płynę bezobłocznie wewnętrzną energią nieba. To była chwila szczęścia z wczesnej młodości. Mała chwila. Stan. Niemy. Nawet mniej niż chwila. Bezcielesność. To się nazywa eudajmonia.

Tolo: Właśnie, to chwila, i mniej niż chwila, a nie stan permanentny. We śnie unoszę się w powietrzu, trzymam się parasola. Swobodnie żegluję pomiędzy piętrami przy zupełnym braku strachu, że w dole jest twarda ziemia. Sądzę, że świadomość „twardej ziemi” blokuje nam dostęp, że tak powiem, do szczęścia, bo nawet w chwilach uniesienia człowiekowi błąka się gdzieś w tyle głowy całe nagie twarde tło – to, że człowiek jest śmiertelny, i to, że cała reszta wisi na cienkich nitkach.

BeJot: Ty chcesz rozszerzać sprawę szczęścia, podczas gdy ja ją zawężam. Dla mnie myśl Sokratesa „Szczęściem się jest” oznacza stan bardzo chwilowy, ale zarazem oszałamiającą pełnię. Dla mnie to bardzo osobista chwila, a ty ją rozszerzasz natychmiast i opierasz o straszną rzeczywistość. Mówię o czymś innym. Sam przypomniałeś to inne, ten inny stan z młodości. Całkowite wyjęcie z czasu i ciała.

Tolo: Blisko szczęścia to może to: robię rzeźbę. Zewnętrzna skorupa drzewa. Wnętrze zbutwiało i co z niego zostało, to wybrałem dłutem. Wybijam w tym półkolistym drewnie wnęki, otwory, gotyckie, prostokątne, okrągłe, i umieszczam w nich całe dzieciństwo: laleczki, marionetki, stojące, siedzące, wiszące na huśtawce. Jest i wnęka z teatrykiem, i piórko, i twój rysunek z twojej *Utopii*, jak wiesz – *Stopy Boga*. Sama go wykonałaś dla mnie: błękit, a na samej górze stopy, właściwie niecałe, połówki stóp z domysłem: tu jest cała osoba, która jest już w niebie, tylko widzimy palce stóp i trochę reszty. Całość spinają słowa D O M, i cytat z wiersza Wordswortha „Szczęściem było budzić się każdego ranka”. Dom stoi stabilnie, sięga powyżej kolan. Podczas budowania tego domu, kiedy już zwyraźniała koncepcja całości, narastało poczucie ciepła, niewinności, bezpieczeństwa. To chyba było poczucie okołoszczęściowe, że tak dziecięco powiem.

BeJot: Ja odwrotnie: budzę się rano z myślą „znowu!” do strasznych spraw, i to z takich snów, w których cała jestem szczęściem, ale o tym potem. Ciągłe mówisz o szczątkowym szczęściu, o omawialnym i ze słowem „chyba”. A ja o tym, że się nie czujemy, że bezcieleśni, że skóra, paznokcie, włosy czują moment szczęścia i one znikają. „Szczęściem się jest”. W tej myśli zawiera się krótkość i pełnia. I rzadkość tego stanu. Raz się tego doświadczy, dwa razy w życiu, ale całością naszego organizmu i bez naszej woli. Cali jesteśmy szczęściem. Jeśli tego doświadczymy choć raz w życiu, to możemy tę sprawę podjąć. Podejmowanie sprawy szczęścia? Tak! Twórczo. Siadasz na pierwszej dostępnej ławce i zawieszasz się, podejmując sprawę szczęścia, kiedyś doświadczonego. Piszesz potem wiersz na przykład, bo i tego

wiersza już doświadczasz na tej dostępnej ławce. Przeczytaj mi swój wiersz z tomu *Istota*, o, ten.

Tolo: Myślisz, że tym wierszem podejmuję stare szczęście? No to usłyszmy:

Żyję.

I mam beczynny scyzoryk.

I pamiętam perłowe paznokcie konwalii.

I fioletowe kamienie kąkoli.

I maki potańczone.

I zboże, wydęte ku człowiekowi i bliskiej ścieżce

jak brzuch w falującym fartuchu

pod falującą piersią.

Czyż nie zmienił się w światowy obowiązek

ten stary udział

w niestrasznych sprawach?

BeJot: Czyż nie podejmujesz tu sprawy starego szczęścia? Kiedyś widziałeś to wszystko jak coś kojącego? Przynajmniej elementy przyrody. Nie? O tym, o takim podejmowaniu szczęścia pisał Julian Tuwim w wierszu *Zapach szczęścia*: „I wszystko to w ognistej pamięci dziś błyska”. I jak Tuwim, czujesz świeży zapach kawy, parzonej pół wieku temu.

Tolo: Tak. To chyba to. Jednak ostatnim zdaniem z przytoczonego przez ciebie wiersza znowu czuję twardość rzeczywistości namacalnej, otaczającej groźnie. Z tym nie mogę zerwać.

BeJot: Ależ nie zrywamy z tym w poezji. Chodzi o podjęcie starego szczęścia wszak. Podejmujesz tę sprawę – pamiętasz ją. I czasami na nowo podobnie czujesz to, chociaż raz, chociaż przez moment. Sam napisałeś w *Istocie*:

Dziś, płynąc na wznak,

wirowałem po niebie.

Szczęście czasami nic nie kosztuje.

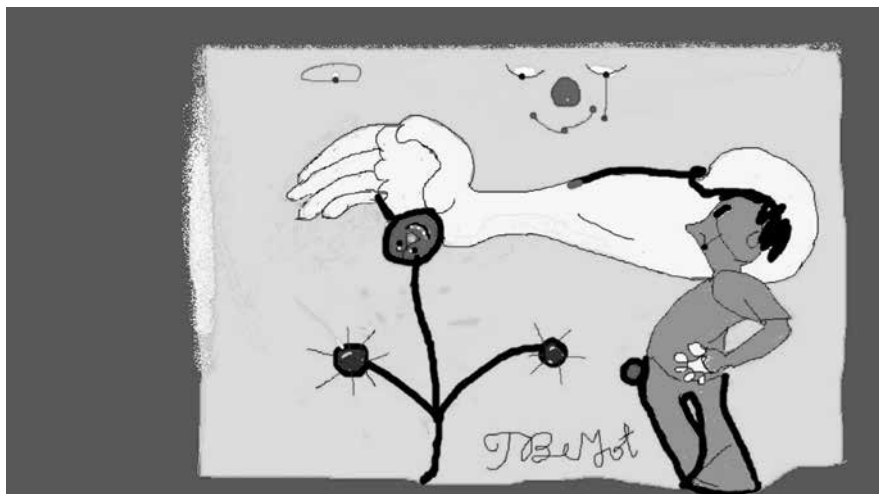
I wiesz, co. Ostatnią frazę można zapisać bez słowa „czasami”. Bo nie kupisz szczęścia, choć możesz coś wreszcie kupić z myślą: będę szczęśliwy. Dopowiedzmy coś innego do tego krótkiego wiersza: mowa w nim o kosztach niefinansowych. Ulga w cierpieniu fizycznym jest szczęściem, nawet

chwilowa, okupiona wydatkami na leki, owszem, ale i uprzednim cierpieniem. Sam organizm na chwilę przestaje boleć. Są takie chwile. Ale znowu wykraczamy poza myśl Sokratesa w twardy real, ciało czujemy, starość czujemy, niedobre czasy czujemy, los uchodźców czujemy. Znowu jedynie blisko szczęścia jesteśmy. A nie o to chodzi mi tu i teraz. „Szczęściem się jest” – to już pełna definicja szczęścia. Doznanie egzystencjalne. Egzystencja, odarta z okoliczności jako powodu. Jeśli tylko wyjdziemy z egzystencji do powodów, tracimy myśl Sokratesa. A jeśli będziemy podtrzymywać poczucie lekkości, bezcielesności narkotykami, to jesteśmy bałwankami. Mózg kurczy nam się nieodwracalnie. To nie jest podejmowanie szczęścia, to zgoda na własną ruinę. Podejmowanie na siłę tego, co samoistne. To tak, jakbyśmy obcęgami codziennie po trochu wysuwali sobie zęby z dziąseł, żeby były dłuższe, bo nadeszła moda na długie zęby, robione własnoręcznie właśnie obcęgami. Szczęście, które mam na myśli, nie jest ani zachodnie, ani wschodnie. Filozofowie robią coś takiego: teraz zajmiemy się zachodnim szczęściem, i komentują, co kto, kiedy i gdzie powiedział o szczęściu zachodnim. A ja wiem, że to nie jest zachodnie. No i nie wschodnie. To nie jest osiągalne we wschodniej medytacji jako zamiar: pobędę sobie w szczęściu, pomedytuję, doznam szczęścia bezcielesności. I już wszystko wiem. A ja wiem, że nasi znajomi, wtajemniczeni w nauki Wschodu, jak być szczęściem, wpłatali się w jakieś szemrane interesy, na zasadzie: jestem lepszy, bo wygrywam, forszę robię, forszę mam, a ty jesteś głupi, bo nie chcesz robić wraz ze mną forsy, forsy.

Tolo: Szczęściem jest fragment rozmowy Małego Księcia z lisem na pustyni. Mnie tamte stare słowa niezmiennie wzruszają. Jakby człowiek przecierał szybę w zakurzonej codzienności rozproszenia, zwątpienia w jakikolwiek sens. To oczyszczająca kąpiel i epifania, jakbym słuchał sonaty Bacha *Erbarne Dich* (Zmiłuj się nad nami). Lis: „Gdy będziesz miał przyjść na przykład o czwartej po południu, już o trzeciej zacznę odczuwać radość. Im bardziej czas będzie się posuwał naprzód, tym będę szczęśliwszy. O czwartej będę podniecony i zaniepokojony: poznam cenę szczęścia”.

BeJot: A widzisz. Ja też odczuwam szczęście przy tych słowach, a także przy wierszach wybitnych poetów, jeśli takie do mnie trafiają. Myślę: jakie to szczęście coś takiego przeczytać. Szczęścieję. Chyba o to chodzi, o szczęście. Użyłam neologizmów. Lubię je tworzyć.

Tolo: Zawężając pojęcie szczęścia w ujęciu Sokratesowym, które jako takie najszerszym jest, bo czystym stanem, nie mogę odpędzić od siebie obrazoburczej myśli, że naszym pierwszym, że Adamowi i Ewie w raj



właśnie go brakowało, skoro pobiegli próbować owocu, czy przypadkiem nie jest słodszy od ich rajskiego stanu, a więc i sam raj takim już rajem nie był. Sokrates wymagał więcej. Z tym rajem to żart i nie żart. Jak to ujął Dostojewski: „Ludzie są nieszczęśliwi, bo nie wiedzą, że są szczęśliwi”. Nie-dokładnie cytuję, ale z tym samym sensem. Pewnego razu sam doznałem uniesienia religijnego – obecności Chrystusa. Jeśli można tak rzec – przewiało mnie czy też prześwieciło Chrystusem. To stało się podczas ortodoksyjnej liturgii na Wielkanoc. To trwało chwilę i było podobne do twego stanu z pociągu, kiedy jedno byłeś z niebem i piórami, tfu, obłokami. Biblia mówi: „popaść w zachwycenie”, jednak nie definiuje, jak to zrobić.

BeJot: Coś ty. Sokrates nie wymagał więcej w tym krótkim zdaniu, tylko uchwycił sam stan bycia szczęściem. Nie bycie szczęśliwym, tylko szczęściem. Opowiem ci jeszcze jeden mój stan szczęścia: wszystko było z idealnego drewna, zarazem tworzącego niebo i ziemię. Drewno było płynne, czy też idealnie elastyczne. Tylko ludzie byli jak ludzie, ale obok nie mieli zwierząt ani ptaków. W niebie z elastycznego drewna kołysało się słońce, prześwitując, wysoko i nisko. I jedynie przez te prześwit dobiegały ptasie i zwierzęce głosy. Człowiek był całkowicie bezpieczny. Nie potrzebował ogrzewania. Panowała jednostajna temperatura, około dwudziestu stopni. Godzina była taka, jaką człowiek pomyślał – ściśle osobista. Jedna myśl była zakazana: pragnienie czyjejś śmierci, a taka myśl stawiała się natychmiast. Jak tylko ktoś zapragnął czyjejś śmierci, to ten ktoś zaraz

umierał. Na początku tego świata taka myśl pojawiała się co chwila i przy życiu została tylko grupa ludzi. No i pojawił się ten zakaz. Drewniane chaty chodziły na spacer wraz z człowiekiem – malały do psich rozmiarów i dreptały za człowiekiem przy pięcie. Kiedy się wracało, chata znowu stała na miejscu. Drewniane pojazdy miały naturalny hamulec: toczyły się zawsze z łagodnych wzgórz, a potem był ten hamulec – miało się łagodnie pod górkę. Hamulec zależał od myśli kierowcy: teraz hamuję, a jazda od myśli: teraz jadę. I drogi były w te łagodne fałdy. Za garaż służyła dłoń i myśl: teraz do garażu. Pojazd zmieniał się w ziarnko grochu, które wskakiwało do dłoni, a dłoń umieszczała je w kieszeni. Potem, kiedy człowiek chciał dokądś jechać, musiał położyć to ziarnko w wybranym punkcie. Pojazd znowu był pojazdem. Nie wszystko mogło być kierowane myślą. Trzeba było drobnych codziennych gestów, aby coś, jak ten pojazd, pojawiała się w swej naturalnej wielkości i w danym miejscu. Nikt nie wiedział, czy poza tym drewnianym światem żyją jacyś ludzie. Nikt tego nie dociekał, bo każdy był szczęśliwy, żyjąc w takiej puszcze. Nikt nie miał ani przyjaciół, ani nieprzyjaciół. Każdy czuł się jednią. Istotą było: wyczuwanie się wzajemne. Mało co było widać w tej puszczy. Tylko tyle, ile było trzeba. Ramię osoby bliskiej. Rękę dziecka.

Tolo: Co ty opowiadasz? Sen czy bajkę?

BeJot: Nieważne. Opowiedziałam szczęście bycia jaźnią.

Tekst i rysunek Tamara Bołdak-Janowska

Krzysztof Choiński

Nowe życie 1919

(fragment powieści „Polski los”)

Nominacja na zastępcę dyrektora okręgowego spadła na Bronisława prawie natychmiast po niespodziewanej śmierci Szretera. Następca Zygmunta zjawił się dwa dni później i przywiózł ze sobą pismo, wzywające inspektora Korowskiego do Kielc. Odprowadziwszy zatem zmarłego kolegę na miejsce wiecznego spoczynku, w towarzystwie księdza i dwóch dozorców, po zmówieniu modlitwy i zapłaceniu grabarzom, Bronisław zaczął pakować swój mizerny dobytek. Zaledwie jednak złożył w walizce zmianę bielizny, przypomniał sobie, że trzeba jeszcze zadecydować o losie rzeczy nieboszczyka. Nowy naczelnik nie zdradzał chęci uczestniczenia w smutnym obrządku, pochłonięty kontrolą dokumentów i lustracją budynku Korowski zabrał się zatem sam do przeglądania papierów w nadziei, że znajdzie adres żony Zygmunta. W końcu natrafił na świstek papieru z nabazgraną notatką „Przemyśl, ulica Sobieskiego 17”, bez nazwiska. Postanowił zaryzykować: napisał krótki list z kondolencjami i z prośbą o przyjazd, nadał go poleconym, po czym tego samego dnia wyjechał. Telepiąc się w bryczce o nadszarpniętych resorach, rozmyślał z żalem o kolejach losu bojowca, skazańca, zesłańca i uciekiniera, niezłomnego – jak on sam – zwolennika Komendanta; Zygmunta zepchnięto na boczny tor właśnie za to, że ani na chwilę nie zmienił przekonań.

Podczas gdy Korowscy budowali mozolnie swoje nowe życie, spadały na nich od czasu do czasu wieści „ze świata”. Pewnego dnia gruchnęło po mieście, że w stolicy dokonano zamachu stanu. Rozgorączkowani plotkarze galopowali tam i z powrotem, zatrzymując każdego, kto chciał czy nie chciał i zasypując rozmówców „pewnymi” informacjami, pochodzącymi jakoby z pierwszej ręki (czyjej?). Mali gazeciarze w za dużych czapkach zsuniętych na tył głowy wypadali na ulicę, powiewając mokrymi jeszcze arkuszami druku i darli się na całe gardło:

– Doda!... Nadzywczaaa!... Rząd się przewrócił w Warszawie! Komu, komu, bo idę do domu! Kupujcie, bo zabraknie!

Na pierwszej stronie dodatku widniał napis: „Zamach księcia Sapiehy! Pułkownik Januszajtis objął dowództwo nad wojskiem!”. W kawiarniach zażywni jegomoście w garniturach wymieniali uwagi, wzmacniając ich sens wybałuszaniem oczu:

- Ten Moraczewski to, panie, bolszewik!
- A Daszyński lepszy? Oni wszyscy po jednym pieniądzu!
- No, ale teraz będzie wreszcie porządek.

Przed ratuszem zgromadził się tłumek gapiów, ponieważ jednak nikt do nich nie wyszedł, a warta miała srogie miny, rozeszli się pełni rozczarowania.

Skwaszony dyrektor powiedział z rezygnacją:

- Cholera, teraz zaczną nas wyrzucać, bo to przecie endecja.
- Iii! – tu Bronisław machnął ręką. – Za chwilę będzie po wszystkim, tylko bałaganu narobili.

W głębi duszy nie był jednak pewien celności swojej diagnozy i z ulgą przyjął następny dodatek, anonswany przez gazeciarzy:

- Zamach stanu odwołany! Naczelnik Państwa zrobił porządek! Kupujcie ostatnie egzemplarze!

O przebiegu wydarzeń dowiedzieli się więcej dopiero po dwóch dniach, kiedy przyjechał Wasiuk; zmierzał do ekspozytury żandarmerii, ale po drodze ze stacji wpadł do Dyrekcji Więziennej. Był pełen animuszu, na kołnierzu miał dwie gwiazdki, tryskały z niego energia i optymizm.

- Taż powiedzieli mi, że ty tu urzędolisz, więc chciałem ciebi choć na chwila zobaczyć! – wysapał w kołnierz Bronisławowi, dusząc go w niedźwiedzim uścisku. – Przepadłeś jak kamień w woda, dopiero niedawno ja si dowiedział, gdzie stacjonuisz.

- Siadaj. – Korowski przysunął mu krzesło. – Może zajrzysz potem do nas?

- Oj, nie! – akcent lwowski znikł raptownie. – Mam pociąg za półtorej godziny, a rozkaz wyjazdu tylko na dziś. Opowiadaj, jak to z tobą było. Jak się czuje małżonka? A synek?

- Poczekaj, poczekaj, wszystko po kolei.

Korowski opowiedział pokrótce, co doprowadziło go do wstąpienia w szeregi dozorców więziennych, przy czym w miarę jak mówił, cała ta historia wydawała mu się coraz bardziej dziwaczna.

- Jak to w moim życiu, ostatecznie o wszystkim zdecydował przypadek – zakończył. – A ty, widzę, awansowałaś. Co tam w Warszawie?

- Zaraz powiem, tylko... Czemuś ty się tak dał wypchnąć ze służby? – spytał Wasiuk z żalem.

- Pan rotmistrz dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jeżeli nie napiszę podania o przeniesienie, to wydadzą mnie policji niemieckiej. A w Inspektoracie mieli już wszystko przygotowane.

Wasiuk pokręcił głową.

– A niech to! Mnie, jak pamiętasz, wysłali do Siedlec, a gdy wróciłem, ciebie już nie było. I wszyscy nabrali wody w usta. Zresztą z naszych mało kto pozostał. Witelskiego przenieśli do MSWojsk i nie szło się do niego dostać, żeby chociaż zasięgnąć języka.

– Było, minęło. Nie warto gadać po próżnicy. A co z tym zamachem?

Emil ryknął takim śmiechem, że aż sekretarka zajrzała dyskretnie z sąsiedniego pokoju, ale wycofała się pod surowym spojrzeniem szefa.

– To była operetka, albo wodewil, jak wolisz. Ogłupili rozkazami trochę ludzi, aresztowali tego i owego. Opanowali Komendę Miasta, nasz eks-szef zasiadł za biurkiem i dawaj urzędować. – Wasiuk spoważniał. – Żarty żartami, ale mogło się to obrócić w coś ponurego. Thugutt mówi, że kiedy go zamknęli, to słyszał, że mają go zastrzelić. W końcu doktor zdołał wszystko odkręcić, a jak Komendant wrócił, to tylko wpadł do gabinetu i wrzasnął: „Co to za pierdoły? Oddać broń! Jesteście aresztowani!”. I było po zamachu.

Pożegnali się serdecznie, mieli pisać do siebie od czas do czasu, ale wszystko – jak zwykle – zapadło w dziurę dobrych chęci. Rzecz ciekawa, nikt nigdy nie potwierdził prawdziwości owej groteskowej scenki, która miała rozegrać się w Komendzie Miasta.

Tymczasem życie przysgniało Korowskich codziennymi troskami i kłopotami. Pensja Bronisława, jak i pozostałych pracowników, była niewielka, bo – jak mawiał z filozoficznym uśmiechem – dostosowana do możliwości państwa, które nie miało nic, a musiało stworzyć coś z niczego. Toteż nie skarżyli się, choć musieli oglądać każdy grosz z obu stron, żeby jakoś przetrwać od pierwszego do pierwszego. Tylko ta ciasnota w izdebce, mieszczącej się na parterze drewnianego domku! Z pomocą przyszedł intendent Dyrekcji, który wyszukał dla nich lokum w kamieniczce znajomego znajomych, jak to zwykle bywa w prowincjonalnych miastach. Wyśokość czynszu była znośna, więc zgodzili się od razu.

Mizerny dobytek Bronisławostwa przewieźli na miejsce trzech więźniowie, pilnowani przez wąsatego dozorcę uzbrojonego w karabin. Platforma zaprzężona w potężne perszerony wystarczała całkowicie, by pomieścić dwa żelazne łóżka, drewniane łóżeczko dziecięce, komódkę z nadłamaną nogą, pościel, trochę naczyń stołowych – ot i wszystko, co zdołali zgromadzić dzięki „okazjom”.

Właściciel kamieniczki był jakiś dziwny.

– Witam, witam moich kochanych lokatorów! – wołał, kłaniając się nisko i zacierając ręce. – Proszę, bardzo proszę! Pokój wygodny, widny, piec świeżo wylepiony!

Umykał ze spojrzeniem tak skutecznie, że Maria nie zdołała ani razu zajrzeć mu prosto w oczy. Dostrzegła tylko, że są nieco mętne, wodniście niebieskie i mają zewnętrzne kąciki opuszczone w dół.

– Jak będzie z paleniem w piecu? – spytał niecierpliwie Bronisław, rzucając okiem na wyciągnięty z kieszeni zegarek.

– Aaa, proszę pana dyrektora, to już Scholcia co rano czyści ruszt i nałoży drewna, a potem rozpali tak, że państwo wstaną na gotowe. Będzie ciepłutko, jak w uchu.

– Kto taki? – spytała nieco zdezorientowana Maria.

– To, proszę łaski pani dyrektorowej, nasza służąca. Dali jej Scholastyka na chrzcie świętym, więc my na nią tak zdrobniale wołamy! – i właściciel zachichotał.

Wyglądało na to, że w pełni zdaje sobie sprawę z groteskowego charakteru imienia, ale Maria nie miała ochoty na dalsze drażnienie tematu. Popatrzyła po brudnych ścianach, stwierdziła nieświeży wygląd stor okiennych i westchnęła. Czy kiedykolwiek dorobią się własnych firanek i zasłon?

– Nie martw się, staruszek – szepnął Bronisław, cmokając ją w policzek. – To tylko tymczasem. Będzie lepiej.

Nie zrobiła mu tym razem wymówki o tę „staruszkę”, pokiwała głową, pogładziła go po ramieniu i postawiła Władzia na podłodze. Chłopczyk rozejrzał się z zaciekawieniem.

– Widzisz, syneczku, będziemy tu mieszkać – powiedziała, czując, że łzy napływają jej do oczu.

– Eśkać? – spytał w swoim załączkowym języku.

Nie przejął się wcale zmianą miejsca. Siedział grzecznie w starym fotelu, który zastali w pokoju, i pogodnie obserwował rozstawianie sprzętów na wyłowiałej od szorowania podłodze.

(...)

W jakieś dziesięć dni po przeprowadzce zbudziły Marię w nocy natrętne hałasy. Ktoś z łomotem grzebał w piecu, jakby wygarniał popiół. Pomyślała na pół przytomnie, że Scholcia trochę przesadza, bo godzina musi być bardzo wczesna. Przykryła głowę jaśkiem i starała się zasnąć, ale zgrzyt szufelki i uderzenia pogrzebacza nie ustawały. Nagle oprzytomniała: przecież musi być głucha noc, skoro z ulicy nie dobiega tupot nóg ludzi zmierzających do pracy, czy do kolejki po chleb, a w korytarzu nie słychać szurania pantofli matki gospodarza. Co to właściwie jest, co się dzieje? Usiadła wyprostowana i w tej samej chwili hałasy ustały. Mimo ciemności mogła stwierdzić, że w pokoju nie ma nikogo obcego. Bronisław chrapał na sąsiednim łóżku, od

strony łóżeczka dziecinnego dochodził spokojny oddech śpiącego Władzia. Nasłuchiwała przez dłuższą chwilę. Chyba jej się to przyśniło? Nic. Opadła na poduszkę, skarciła samą siebie za mylenie snu i jawy, po czym naciągnęła kołdrę na policzek i zaczęła znowu zapadać w niebyt. W tej samej chwili łomot zabrzmiął ponownie, jakby ze wzmożoną furią.

Wyciągnęła rękę i po omacku chwyciła męża za ramię.

– Bronek! Broneczku! Obudź się!

– Mmm – wymamrotał nieprzytomnie.

– Czy ty nic nie słyszysz? Tu się dzieje coś dziwnego.

Bronisław milczał przez długą chwilę. W pokoju znowu panowała cisza.

– No co? – spytał już mniej więcej przytomnie.

– Ktoś strasznie hałasuje. Jakby grzebał w piecu.

– Może to Scholcia?

– Coś ty! W środku nocy?

Bronisław sięgnął na komódkę i mruczając gniewnie pod nosem trzasnął zapalką. Na tarczy pocziwej omegi była trzecia dziesięć.

– Marysiu, coś ci się przyśniło – powiedział, opadając na poduszkę. – Śpij, moje dziecko.

– No to zaraz zobaczysz! – fuknęła mściwie.

Teraz nie było już mowy o zaśnięciu. Leżała z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w ciemność. Bronisław zaczął znowu oddychać równo i głęboko, potem zachrapał. Władzio przewrócił się na drugi bok, gaworząc coś przez sen. W końcu i ona sama zaczęła tracić kontakt z rzeczywistością; była w ogrodzie u rodziców, przez zielen krzaków bzu przeglądało sierpniowe słońce, a ona musiała przygotować składną analizę „Ojca zadżumionych”... I wtedy w piecu rozpętało się istne piekło. Brzmiało to tak, jak by ktoś chciał rozwalić palenisko od środka, tłukąc z całych sił metalowym przedmiotem o ścianki i ruszt.

– Co tam się dzieje, do jasnej cholery?! – krzyknął zbudzony brutalnie Bronisław.

Hałasy nie ustawały. Wyskoczył z łóżka i kłapiąc bosymi stopami przebiegł przez pokój, po czym jednym szarpnięciem otworzył żeliwne drzwiczki. Wsadził rękę do środka, pogrzebał palcami w stosie popiołu i powoli zamknął piec.

Wróciwszy, nie położył się. Usiadł na łóżku i sięgnął po papierosy.

– Na litość boską, dziecko śpi!

Przez chwilę obracał pudełko w palcach.

– To rzeczywiście coś dziwnego. – rzekł szeptem. – Śpij, ja poczekam.

Do uszu Marii dobiegł szcęk repetowanego pistoletu. Nie mogła już zasnąć, czuwali chyba z godzinę, ale nic więcej się nie wydarzyło. Bronisław zdrzemnął się nad ranem, po czym ubrał się i wyszedł bez śniadania. W drzwiach minął Scholastykę, która stała z kubelkiem i pogrzebaczem w rękę; popatrzyła na niego jakby z obawą.

Co ciekawe, Władzio przespał noc smacznie i nie zbudził się ani na chwilę. Czyżby mieli halucynacje? Ale oboje równocześnie?

Bronisława nie było, jak zwykle, przez cały dzień, tym razem nie mógł nawet przyjść na obiad, bo zwała się jakaś inspekcja z Warszawy („Jeszcze stołków dobrze nie ustawili, a już urzędolą jak za cara”, skomentował złośliwie dyrektor). Maria musiała pójść po teściową, a po obiedzie odprowadzić ją do domu. Nie narzekała na te przymusowe kursy po mieście, bo Władzio miał przy okazji porządny spacer, a babka mogła nacieszyć się widokiem wnuka. Zresztą okazywała zadowolenie w dość specyficzny sposób: a to poprawiała coś przy wózku, a to podwinęła kocyk, nigdy jednak nie pogłaskała malca po główce, ani nie uśmiechnęła się do niego.

Przy kolacji Bronisław siedział zamyślony, trochę opowiadał o dygnitarskiej wizycie, w końcu wstał i włożył pistolet pod poduszkę, a potem umieścił pod ręką świecę i zapalki.

– Broneczku, czy jesteś pewien, że nam się to nie... No, że to nie było jakieś złudzenie? – spytała Maria w ciemności.

– Zobaczymy.

Po dłuższym czasie jednak zasnęli, ale w środku nocy zbudził ich znówu taki sam hałas. Bronisław zerwał się na równe nogi, wyrwał broń spod poduszki i podbiegł do pieca, a Maria zapaliła świecę. Tym razem łomot ustał dopiero kilkanaście sekund po otwarciu drzwiczek. Godzina była identyczna, jak poprzedniej nocy. Zajrzeli razem do paleniska – nic.

– Jesteśmy po prostu śmieszni – zakonkludował Bronisław, siadając na łóżku. – Co mi przyszło do głowy z tym pistoletem? Chyba ktoś nam płata głupie figle.

– Może przez przewód kominowy słyszać coś, co dzieje się w którymś z sąsiednich pokoi? – rozważała Maria. – I to jest po prostu zwykłe zjawisko akustyczne.

Bronisław wzruszył ramionami. Nie zgasili świecy, czuwali do rana, ale nic już się nie wydarzyło.

Przed wyjściem do pracy Korowski zapukał do drzwi gospodarza, przybrawszy swoją najbardziej urzędową minę. Maria przysłuchiwała się rozmowie, stojąc na progu ich pokoju, a przez uchylone drzwi kuchni

widać było, że Scholcia, krzątająca się przy rozpalaniu ognia, nastawia pilnie ucha.

– Co to za hałasy? – spytał Bronisław surowo.

– Jakie hałasy? – odrzekł właściciel głupawym tonem, wbijając wzrok w podłogę.

– No, no! Obaj wiemy, jakie! Spać nam nie dają, ktoś grzebie w piecu, a jak zapalić światło, nikogo nie ma. Czy to ma być jakiś dowcip?

Gospodarz złapał się za głowę.

– To ja już powiem. Bardzo państwa przepraszam, myślałem, że to się skończyło i dlatego nie uprzedziłem. Boże, Boże, co tu robić! Takie straty! Nikt miejscowy nie chce u mnie tej izby wynająć, a teraz rozejdzie się znowu... W zeszłym roku tam się jeden taki zastrzelił, ja nawet nie wiem, kto to był!

Korowski złagodniał.

– I co? – pytał z wyraźnym zaciekawieniem. – To tak od razu się zaczęło? A dlaczego palnął sobie w łeb?

– Nie wiem, nie wiem! Nikt nie wie, jak się nazywał, nawet policja, bo nie miał dokumentów. Ot, przyszedł pod wieczór, powiedział, że właśnie przyjechał i potrzebuje pokoju. A ja, głupi, wpuściłem go!

– No, trudno, panie Gawelski, skąd pan miał wiedzieć? – pocieszył go Bronisław. – Niech mi pan tylko powie, kiedy to było?

– Gdzieś tak na wiosnę, w maju... Czy pod koniec kwietnia?

– Dobra, muszę lecieć. Potem pogadamy.

I Korowski wypadł z domu klusem, poprawiając pas i sięgając po zegarek.

Maria nie mogła wyjść ze zdumienia: skąd u Bronka tyle wyrozumiałości?

Gospodarz patrzył na nią ze łzami w oczach.

– Ja panią jeszcze raz przepraszam. Naprawdę myślałem, że to już minęło.

– Może on nie chce, żeby tu ktoś mieszkał po nim? – zastanawiała się Maria. – A my, sam pan rozumie... Dziecko... No i mąż jest zapracowany, musi się wyspać.

– Wiem, wiem, rozumiem, tylko co ja teraz zrobię?! – jęknął nieszczęsny Gawelski.

O pogadaniu nie było więcej mowy. Bronisław wrócił wcześniej niż zwykle, z tragarzami i platformą, po czym w pół godziny załadowano graty na wóz i przenieśli się do niewielkiego domku, stojącego o wiele bliżej Dyrekcji.

Marię najbardziej zaskoczyła reakcja teściowej. Usłyszawszy o powodach przeprowadzki, pani Halina powiedziała:

- No pewnie, przecież wszyscy wiedzą.
- To czemu mama nam nie powiedziała?
- Myślałam, że wiecie.

Raz jeszcze okazało się, że matka Bronka to osoba o przedziwnym usposobieniu.

Krzysztof Choiński

Jacek Ingłot

List do Prezydenta

Szanowny Panie Prezydencie RP!

Zwracam się do Pana Prezydenta jako do ostatniej deski ratunku, z tej racji że dookoła otaczają mnie sami wrogowie i nikomu nie mogę ufać. Jestem przekonany, iż jedynie w Pańskie ręce, jako Pierwszego Obywatela Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, mogę złożyć moją tajemnicę.

Od wielu lat, nie bacząc na trudności, pracuję w mojej piwnicy nad kilkoma bardzo ważnymi wynalazkami. Moim zdaniem są na tyle ważne dla przyszłości Polski, naszej Ojczyzny, że powinien się Pan o nich dowiedzieć. Odkryłem oto następujące wynalazki:

a) katalizator energetyczny, umożliwiający przemienienie dowolnej ilości wody w wysokokaloryczne paliwo, znacznie wydajniejsze od benzyny. Dzięki mojemu katalizatorowi będzie można raz na zawsze rozwiązać nasze problemy z paliwem, a Polska stanie się krajem bogatszym od Kuwejtu. Opracowana przeze mnie metoda jest skuteczna i tania, dzięki niej można zamienić na paliwo nawet znajdujące się poza klasyfikacją ścieki przemysłowe, jest też ekologicznie bezpieczna – moje paliwo spala się całkowicie, nie wydzielając żadnych ubocznych produktów. Zyski z mojego wynalazku oceniam na dwieście miliardów dolarów;

b) odkryłem tajemnicę napędu UFO – oto statki regularnie odwiedzających nas przybyszów z kosmosu są napędzane przy pomocy silnika grawitacyjnego. Udało mi się pojąć zasadę jego działania i zbudować w piwnicy prototyp. Dzięki memu odkryciu Polska będzie mogła wybudować flotę statków kosmicznych, zdolnych do skolonizowania innych planet. Prowadzenie w przestrzeni kosmicznej da naszemu krajowi dostęp do wielu cennych minerałów (które bezużytecznie krążą tam w postaci meteorytów), przy obróbce których będzie można zatrudnić miliony bezrobotnych. Będzie się też można łatwo pozbyć z Polski przestępców pospolitych, ruskich gangsterów i biznesmenów-złodziei, wysyłając ich do marsjańskich kolonii karnych. Wynalazek ten wyceniam na dwieście miliardów dolarów;

c) odkryłem też nowy rodzaj promieniowania, który od swego nazwiska nazwałem promieniami DD – promienie te odpowiednio skupione w wiązce potrafią ciąć każdy materiał i są o wiele skuteczniejsze od lasera. Mają przy tym bardzo wielki zasięg. Uważam, że moje promienie, zastosowane w przemyśle, zrewolucjonizowałyby wytwarzanie wielu przedmiotów, zaś Wojsko Polskie, uzbrojone w promienniki DD, zyskałoby przewagę nad każdym przeciwnikiem, ponieważ odkryte przeze mnie promienie tną czołgówą stal jak masło. Dzięki temu nie potrzebowalibyśmy wstępować do NATO – przeciwnie, to NATO chciałoby wstąpić do nas (niestety, przepadło). Wartość moich promieni wyceniam na sto miliardów dolarów.

Panie Prezydencie, jest Pan moją ostatnią nadzieją. Wierzę, że Pan, Prawdziwy Patriotą, którego szacunek dla dokonań Marszałka jest powszechnie znany, nie opuści mnie w potrzebie. Biurokraci z Urzędu Patentowego zbywają mnie, a złożoną dokumentacją techniczną uszczelniają okna. Na domiar złego o moich wynalazkach dowiedziały się tajne służby niekoniecznie przyjaznych nam państw. Mój dom we dnie i w nocy jest poddany nieustannej obserwacji. Miesiąc temu w otworze kanalizacyjnym na mojej ulicy zamieszkało dwóch ubranych w kufajki obywateli byłego Związku Sowieckiego, którzy nawet specjalnie nie ukrywają, że są agentami byłego KGB. Na rogu jeden człowiek otworzył bar, w którym podają dziewczęta z gołymi cyckami, niby te panienki topless – dla mnie to oczywiste, iż są to wysłanniczki zgnięłego Zachodu, najpewniej agentki z CIA. A od zeszłego zaś tygodnia co rano przed moim domem spaceruje pewien starszy obywatel w pelerynie, z parasolem i z owczarkiem alzackim u nogi. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to agent brytyjskiej Intelidżent Serwis, zapewne pracujący też dla służb z byłego NRF-u.

Panie Prezydencie, jeśli mi Pan nie pomoże, to wszystkie moje wynalazki wpadną w ręce tych niegodziwych ludzi, a tym samym to, co miało uczynić z naszej biednej Ojczyzny światowe, a nawet kosmiczne mocarstwo, wzbogaci obce, niekoniecznie nam przychylne narody. Praca mego życia przepadnie na zawsze, nie mówiąc o oszczędnościach, które wydałem na przeprowadzenie niezbędnych prób i eksperymentów.

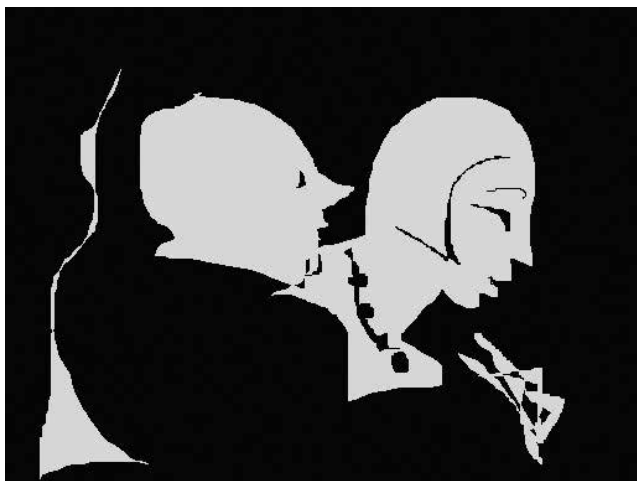
Mam nadzieję, Panie Prezydencie, że nie zostawi Pan swego genialnego rodaka w potrzebie i wyda odpowiednim służbom polecenie, aby

zabezpieczyły moje wynalazki. I proszę o pośpiech, bowiem agenci byłego KGB rozkopali już pół ulicy i są na wysokości mojej posesji, a przedsiębiorca od topless otworzył w sąsiedztwie drugi bar z panienkami. Panie Prezydencie, godzina czynu wybiła! Niech Pan pokaże tym niekoniecznie nam przyjaznym obcokrajowcom, ile znaczy potęga Rzeczypospolitej!

Łączę wyrazy szacunku

Eustachy Dąb-Dębczyński,
emeryt, wnuk legionisty cudem ocalałego spod Rokitny

© Jacek Inglot



Łoża. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Hanna Kowalewska**Okna z widokiem na Weronę***(fragmenty)***I. Słońce w kominie**

Ile razy patrzyłam przez to okno, babko? Pewnie setki. Patrzyłam i nie widziałam wszystkiego. Werandę, róże, łąkę, psy buszujące w trawie, zmierzch nad miasteczkiem, klucz wiolinowy bezwiednie wydeptany w śniegu przez zamyślonego Pawła, głogi, kwitnące wiśnie przy parkanie, sroki na balustradzie werandy – to tak. A tamtego nie, jakby było poza zasięgiem mego wzroku. Ale przecież nie było.

Kiedy to do mnie dotarło? Zaczęło się od słów Marty Józwiak. Choć początek tego nie zapowiadał. Ot, takie sobie gadanie przy wieszaniu firan. Jedno z wielu zdań rzuconych mimochodem.

– Słońce zachodzi za komin tej ruiny, co jest przy drodze do miasteczka. Myślałam, że tylko z mego okna to widać, ale stąd też. Chwilę tkwi w takim miejscu nieba, jakby za moment miało do tego komina wpaść. Aż dreszcz mnie przechodzi. O! Prawie się opiera o szerniałe cegły... – Marta mocno wychyliła się po ostatnią żabkę, ale nie przestała gadać. – A wokół taki jakiś brudny fiolet. Czemu nie różowy, jak trzeba? Albo pomarańczowy! – Na szczęście wróciła do poprzedniej pozycji i przestałam się bać, że zleci razem z twoją najładniejszą firaną, babko. – W inne miesiące zachodzi normalnie, a gdy tylko zaczyna się luty, to znowu pcha się do komina. Jakby chciało przypomnieć o tamtym.

– O tamtym? – podchwyciłam zaintrygowana.

Marta drgnęła przestraszona, jak gdyby nagle dotarło do niej, że dzieli się tym wszystkim z nieodpowiednią osobą.

– A! Tak mi się tylko powiedziało. – Szarpnęła firanę, potem przesunęła ją na poprzednie miejsce. – Dzień niespokojny, to człowiek sam nie wie, co plecie. Wiatr z diabłem tańczy od samego rana. Chmury niby poprzeganiał, a i tak jakoś dziwnie na niebie, ciemnawo, jakby się coś rozwłóczyło czy rozlało – rzuciła tonem usprawiedliwienia, a potem złożyła drabinę i ruszyła ku drzwiom, choć wcześniej planowała jeszcze przetrzeć żyrandol.

Wyjrzałam przez okno i popatrzyłam na wszystkie odcienie fioletu w górze. Było tak, jak mówiła Józwiakowa, trochę złowieszczo. Czerwone słońce wiszące tuż nad kominem ruinki doskonale do tych barw pasowało.

Wiedziałam jednak, że nie to poruszyło Martę. Coś się tam kiedyś wydarzyło. To zresztą było oczywiste, jeśli owo miejsce obróciło się w ruinę zarośniętą chwastami i bluszczem. Tylko dlaczego ja o tym czymś nic nie wiedziałam? Komin sterczał na małym wzniesieniu przy drodze do Lilowa. W lecie nie można go było zobaczyć z okien Zawrocia, bo widok zasłaniała zielen. Teraz gdy drzewa były pozbawione liści, jego czubek widać było doskonale. To zresztą nie miało znaczenia. Tyle razy tamtędy przechodziłam, nawet kiedyś oglądałam z bliska resztki ścian i komina, ale nigdy nikt nie zapytałam, co tam się stało. Czy to nie dziwne? Przecież to miejsce też należało do mnie. Powinnam wiedzieć, co odziedziczyłam razem z Zawrociem.

Józwiakowa była taka spłoszona, że dałam jej na razie spokój. Ale wiesz, babko, że nie na długo! Dziś czy jutro wyciągnę od niej to, co miała do powiedzenia. Bo coś miała! Język ją świerzbiał, żeby się tym ze mną podzielić. I tylko jakaś obawa czy zakaz nie pozwalały jej mówić.

Jakkolwiek było, miałam nadzieję, że mimo dziwnych słów Marty i nieprzyjemnego fioletu rozsnutego nad kominem, przede mną jest do odkrycia fajna tajemnica – intrygująca, lekka, taka, która wciąga, ale nie przygnębia.

(...)

Przypomniała mi się opowieść Józwiakowej.

– Wiesz coś o tej ruinie, która jest przy drodze do Lilowa?

Ewę zdziwiło moje pytanie:

– Masz na myśli Weronę?

– Weronę?! – teraz ja się zdumiałam. – Mówisz o tym miejscu ze sterczącym kominem?

– Owszem, tym przy zarośniętym jezioru.

– To chyba raczej staw.

– Teraz już właściwie tak. Ale to w rzeczywistości pozostałość po jednym jezioru. Twoja babka ponoć pozwoliła, by zarosło.

– Nie za wiele przypisujesz mojej babce? Jeziora nie zarastają ot tak sobie, przez czyjąś wolę.

Ewę rozbawiło moje oburzenie.

– Powtarzam, co słyszałam. Ktoś pewnie wie, jak było naprawdę. Do mnie dotarło jeszcze to, że jezioro miało kształt podkowy, dlatego nazywano je Podkówką. Istniał przesąd, że jak się panna w nim wykąpie, to szybciej i szczęśliwiej wyjdzie za mąż. Babcia mi to opowiadała. Ta ze wsi obok Jezielska, więc to musiała być fama krążąca po całej okolicy. Babcia mówiła też, że wybierały się nad to jezioro we trzy. Jej i przyjaciółce udało się pożyczyć rowery, a trzeciej nie. I ta trzecia została porzucona przed ołtarzem. Kawaler się nie zjawił. Uciekł do Ameryki. A tu panna z brzuchem.

– To nie wiem, jak dziewczyny z Lilowa i okolic mogły pozwolić, by Podkówka zarosła.

– Też nie wiem – zaśmiała się Ewa.

– I dlatego Werona?

– Właściwie Mała Werona. Przed wojną to był pensjonat. Trochę chyba szemrany. No wiesz, nikt nie sprawdzał, czy para naprawdę jest małżeństwem.

– Cudowne właściwości jeziora pewnie były w ofercie razem z podwojnymi łózkami. Ktoś to nieźle wymyślił.

– Być może, choć wolę bajkę babci Tusi. Zamykała ją puenta, że zła kobieta odcięła najpierw dopływ wody, potem przejęła to miejsce i tak skończyła się miłość w całej okolicy. Nie muszę ci chyba wyjaśniać, że ta zła kobieta, wręcz czarownica, to twoja babka.

– Ciekawe, czy to prawda?

– Nawet bardzo ciekawe.

– A pożar? – zapytałam, coraz bardziej zaintrygowana.

– To dużo późniejsza historia. Werona spłonęła kilka lat temu.

– Pamiętasz ten dom?

– Owszem. Był trochę dziwny. Z jednej strony wyższy. To była niemal wieża. Wiem, że mnie fascynowała. Komin, który częściowo się zachował, był właśnie w tej wyższej części. Pamiętam, jak się nieprzyjemnie zdziwiłam, gdy zobaczyłam, że zostały zgliszczka. Usiłowałam się dowiedzieć od Emili, co się stało, a ona burknęła tylko, żebym się zamknęła. Zamknij się, mały tłusciuchu! Tak to brzmiało. Potrafiła dopiec. Inna sprawa, że nie znosiła Werony. Paweł zapraszał tam czasami znajomych, a ona nigdy. Jakby to miejsce nie należało do Zawrocia. Ale ja o tym mało wiem, bo przecież ten dom spłonął, gdy miałam z siedemnaście lat i bywałam tu rzadko. Stare czasy. Z Pawłem zaprzyjaźniłam się tak naprawdę dużo później, gdy byłam na studiach w Warszawie.

– Kurczę, tyle jeszcze nie wiem o Zawrociu i okolicy. Dopiero się tego miejsca uczę.

Podeszłam do okna, popchnęłam już i tak odsłoniętą firanę i popatrzyłam na rozlewające się powoli różowości, choć słońce było jeszcze daleko od komina. Ewa stanęła obok mnie.

– Filmowa sceneria – mruknęła. – W lecie nie widać tej ruinki. Liście wszystko zasłaniają.

– Nie wiesz, kiedy babka Aleksandra przejęła Weronę? – zapytałam.

– Nie. Na pewno na długo przed pożarem. W Lilowie i Kapiskach zastanawiano się, czy twoja babka dostała pieniądze z ubezpieczenia. Ludzie dotąd nie wiedzą, czy tak się stało. Jesteś pewnie jedyną osobą, oprócz oczywiście Pawła, która może to sprawdzić. W domu pewnie przetrwały jakieś dokumenty.

– Nie trafiłam na nie. Ale też ich nie szukałam.

– Dużo było plotek na temat pożaru i powiem ci, że to powracające szeptanki. Może właśnie dlatego, że to się nigdy nie wyjaśniło. Tajemnice ludzi pociągają. Jeśli w dodatku znika takie miejsce, Werona z wieżyczką i cudownym jeziorkiem w kształcie podkowy, to nie ma co się dziwić, że zainteresowanie nim nie przemija.

– Za jakąś godzinę słońce wpadnie do komina – rzuciłam. Zdziwiona Ewa podniosła do góry brwi.

– Wpadnie! – mruknęłam. – Wczoraj wpadło.

(...)

Ruszyłam potem do Zawrocia, myśląc po drodze o tym, co opowiedziała mi pani Basia, gdy po obsłudze pary wróciła do mnie i swego ledwie napoczętego sernika.

– Lodowe soboty w Zawrociu! – uśmiechnęła się tajemniczo.

– Przypomniały mi się, gdy wrzucałam kostki lodu do coli dla tych młodych. Zima za oknem, a oni się chłodzą. Chyba zakochanie ich tak rozpało. – Spojrzała z odrobiną dezaprobaty w kąt, gdzie para namiętnie się całowała. Potem przesunęła krzesło tak, by ich nie oglądać. – Za moich czasów to było nie do pomyślenia. A! – machnęła ręką. – Niech robią, co chcą.

Pominęłam to milczeniem.

– Lodowe soboty? – zainteresowałam się za to.

– No właśnie! Opowiadałam pani o lodziarni, a o tym zupełnie zapomniałam. Nic dziwnego, minęło tyle lat. A to dzięki lodowym sobotom byłam trzy razy w Zawrociu! – oznajmiła niemal z triumfem.

Usiłowałam wygrzebać z pamięci coś na ich temat, ale nawet jeśli o nich pisałaś, babko, musiały to być jedynie wzmianki, na które nie zwróciłam uwagi.

– Cóż to takiego? – zapytałam.

– Tak nazywaliśmy te soboty w naszym domu. Co roku pod koniec maja pani babka urządzała coś w rodzaju majówki dla dzieci z miasteczka. Oczywiście nie wszystkich. Było zawsze trochę koleżanek i kolegów Emili i Pawła oraz wszystkie dzieci lekarzy, z którymi współpracował pani dziadek. Oprócz tego zapraszane były trzy czy cztery rodziny, z którymi zadawała się pani babka. Bo rodzice też oczywiście byli na tym popołudniowym pikniku. Takie zawrociańskie powitanie lata! Pani babka umiała stworzyć atmosferę i zadbać o gości. I chyba zamawiała pogodę w samym niebie, bo ani razu nie spadł deszcz na tych jej lodowych sobotach. Tak przynajmniej twierdzili rodzice, dla których co roku było to najważniejsze wydarzenie. I wyróżnienie! Tylko oni dostarczali lody do Zawrocia. To było jak coroczne wystawienie certyfikatu jakości – zaśmiała się. – Jak się pani babka spóźniała z zamówieniem, zaczynali się martwić. Ale zamówienie w końcu przychodziło. Najpierw dzwoniła pani Milska, a potem Józwiak dogadywał już osobiście szczegóły. To nie było trudne. Zawsze były lody śmietankowe, czekoladowe, cytrynowe i lody niespodzianka. Niespodziankę przygotowywali sami rodzice. Pani babka się do tego nie wtrącała. Ustalenia dotyczyły innych rzeczy, na przykład ilości, ceny czy czasu przywiezienia lodów. Wszystko szło jak w zegarku, aż do pewnej fatalnej soboty. Moja matka dotąd twierdzi, że wraz z tamtą sobotą nastąpił koniec dotychczasowego świata. Los lodziarni został przypieczętowany.

– Moja babka chyba nie złożyła zamówienia u konkurencji?

– Nie. Wszystko odbyło się jak co roku. Zrobiliśmy lody, Józwiak dał znać, kiedy się ich spodziewa w Zawrociu, zawieźliśmy je na czas. Goście też dopisali, choć to już w większości nie były dzieci, bo powyrastały. Pan Paweł już prawie dorosły był, Emila z piętnaście lat miała. Ich znajomi byli w podobnym wieku. Ale maluchów i podstawówkowych dzieci też sporo się płątało po Zawrociu.

– To co się stało? – usiłowałam przyspieszyć choć trochę opowieść pani Basi. Na próżno.

– Niby nic, a wszystko – pani Basia nie zmierzała do konkretów. – Ale co dokładnie, nie wiem. Wszyscy zapragnęli lodów, jak tylko przyjechaliśmy. Dzień był wyjątkowo upalny. Zawsze przywoziliśmy dodatkowe łyżki do nakładania gałek i Paweł nam pomagał, gdy zrobił się tłum przy naszej prowizorycznej ladzie. Do tego żarty, przepychanki, jak to z dzieciarnią i nastolatkami. I nagle koniec. Pamiętam, jak nam śmiech zamarł na wargach, gdy pani cioteczna siostra przewróciła pojemnik, z którego wybierał lodowe porcje Paweł. I jak zaczęła krzyczeć. Słowa też pamiętam: „Jak możesz się śmiać? Jak możesz się śmiać, gdy wiesz, co się zdarzyło?!”. – Pani Basia patrzyła na mnie znacząco, a jednocześnie czujnie, jakbym mogła jej wyjaśnić przyczynę tego krzyku. Widocznie uznała, że nic nie wiem, bo po chwili wróciła do swojej opowieści. – Niewiele osób zwróciło uwagę na te słowa, ponieważ pojemnik upadł na stopę Pawła, a Emila, widząc to, roztrąciła kilka najbliższych osób i pobiegła w stronę domu. Stopą Pawła musiał się zająć pani dziadek. To był ciężki, metalowy baniak. Chyba pękła jakaś kość. Paweł był półprzytomny z bólu i blady jak lody śmietankowe, które jeszcze przed chwilą nakładał. – Pani Basia lubowała się w szczegółach. – Na przyjęciu był też ortopeda, ale i tak trzeba było jechać do szpitala. Nikt nie wiedział, jak się zachować. Wszyscy nagle stracili apetyt i zaczęli się żegnać, choć pani babka usiłowała jakoś uratować ten piknik. Nigdy potem już nie urządziła lodowej soboty. Lodziarnia też zaczęła podupadać, jakby bez tych majówek nie była potrzebna w miasteczku. To nie wina pani babki – pani Basia zerknęła na dom Emili. Przez jej twarz przeleciał cień, ale nie odważyła się skrytykować mojej krewnej. – Niefortunne zdarzenie. Jakby ktoś szczęście przestraszył. Ale co, jak, dlaczego? Tyle wiem, co i nic, choć patrzyłam na to wraz z innymi. Po kilkunastu latach nie jestem mądrzejsza niż wtedy. Jedno tylko powiem, ona krzyczała tak, że krew krzepła w żyłach. Lodów nie potrzebowaliśmy, bo każdemu zrobiło się zimno i bez nich.

Mnie zrobiło się zimno przez tę opowieść. Pani Basia musiała nie tylko oglądać horrory, z czego mi się kiedyś zwierzyła, ale też je czytać, stąd pewnie się wziął jej obrazowy, cokolwiek podkreślony styl. Teraz zamilkła na dobre, czekając, co powiem. Zastanawiałam się, jak z tego wybrnąć. Choć paliła mnie ciekawość, postanowiłam zbagatelizować jej opowieść.

– Nastolatki – mruknęłam. – Trudny wiek.

Pani Basia była rozczarowana moją reakcją.

– To nie to. Ale jak nie wiem co, to nie będę drażyła tematu, którego może sobie pani nie życzy. Raz jeden coś się tak ułało na oczach wszystkich.

Widać i tam, za bramą Zawrocia, w miejscu, które w maju, gdy kwitną drzewa, wygląda jak kawałek raju, też były jakieś problemy. Najładniejsze nawet miejsce przed tym nie chroni.

(...)

Po takich wieściach można było już tylko sięgnąć po czekoladę, by się trochę pocieszyć. Bogna, niestety, zjadła ostatnią z pychotek, które przywieźliśmy z Warszawy. Trzeba było jechać do sklepu.

Okazało się, że wybrałam kiepski czas na tę wyprawę. Bynajmniej nie z powodu pogody.

Czytałam właśnie etykietę piątej już czekolady, by znaleźć taką, która ma najmniej cukru, a najwięcej kakao, gdy cóż... w zasięgu wzroku pojawiła się Emila. Jakbym przywołała ją myślami. Kilka wrednych zdań w głowie, i proszę! Jest! Cała w czerniach jak Paweł, z tymi swoimi krótkimi włosami, sterczącymi tak, jakby na jej głowie wyrosły czułki, które miały jej zagwarantować lepszy widok na świat. Nic z tego. Za późno zarejestrowały moją obecność w sklepie i stanęłyśmy jak wryte po dwóch stronach ciągu półek, w odległości, która nie pozwalała udawać, że się nie widzimy. To się zaraz nasłucham! – pomyślałam i zmobilizowałam wszystkie wewnętrzne siły, które pozwalały zachować kamienną twarz i niewzruszony spokój.

Niepotrzebnie. Emila zamiast kilku parszywych fraz posłała mi spojrzenie, które mnie zdziwiło i wytrąciło z równowagi bardziej, niż gdybym usłyszała najgorsze bluźnierstwa. Po prostu mnie zamurowało. Nic dziwnego – najpierw zobaczyłam niechęć, co było normalne, ale potem na jej twarz wpłynęła podkówka, jakby Emila czuła się skrzywdzona czy rozżalona. I z taką wykrzywioną twarzą zakręciła się na pięcie i zniknęła za półkami, a potem w drzwiach sklepu. A ja stałam z wyciągniętą ręką, bo zamierzałam odłożyć czekoladę. Ale nie odłożyłam. Żadna ilość cukru nie mogła mi zaszkodzić po takim spotkaniu. Tylko czy ja dobrze to widziałam? I czy dobrze słyszałam? Może chociaż coś burknęła pod nosem? Nie! Jednak nie. Nie da się niczego powiedzieć z tak wygiętymi ustami.

(...)

Piana nie była aż tak całkiem zwykła. Pachniała delikatnie, pomarańczowo i świeżo. Wylegiwaliśmy się w niej chyba z pół godziny. Paweł dolewał ciepłej wody, choć starał się, by temperatura kąpieli była umiarkowana,

żeby nie zaszkodzić dziecku. Potem brał się do mycia kolejnej części mego ciała.

W międzyczasie udało mi się wyciągnąć trochę informacji o tym, z czym zmagał się w Paryżu.

– Kwadrans opowieści, Maty, a potem zajmimy się sobą – zastrzegł się Paweł. – Chcę odpocząć od tego, co za mną. Zgoda?

– Zgoda. To jak się mają sprawy w Paryżu?

– Byle jak. Właściwie ulżyło mi, że Wiktoria znowu jest w szpitalu – przyznał, namydlając moje lewe kolano. – Ma tam przynajmniej dobrą opiekę, a ja nie czuję się już z tym sam.

– A jej gosposia?

– No właśnie! Ten jej były już narzeczony z piekła rodem zmienił nawet gosposię. Otoczył Wiktorię swoimi ludźmi. Nie miała szans, by się obronić. Tylko przypadkiem jego plan nie wypalił. Rosa, poprzednia gosposia, nie chciała teraz wrócić. Musiałabyś widzieć tę jej podniesioną do góry brodę. Najbardziej ją zraniło to, że to Lukas ją zwolnił. „Nawet nie umiała spojrzeć mi w oczy!” Powtarzała to do znudzenia. I domagała się przeprosin. A Wiktoria oświadczyła, że woli umrzeć w samotności, niż przeproszać gosposię.

– I co?

– Kursowałem między nimi ze cztery razy. Błagałem, by Rosa zmieniła zdanie. Aż w końcu wymusiłem na Wiktorii napisanie kartki z wiadomością: „Wracaj, jesteś mi potrzebna”. I to, o dziwo, zadziałało. Obyło się bez przeprosin. Rosa nawet uznała, że to coś więcej. Wiktoria przyznała, że ona, Rosa, jest nie do zastąpienia! I właściwie to prawda. Tyle że gosposia może zacząć pracę dopiero od poniedziałku, bo ma inne zobowiązania. Na szczęście mniej płatne!

– A Klub Siedmiu? Jego członkinie nie zainteresowały się, dlaczego Wiktoria się nie odzywa?

– Nie ma już Klubu Siedmiu. Lukas zrobił wszystko, by Wiktoria została z nim sam na sam. Sprytny facet, to trzeba mu przyznać. W parę miesięcy z towarzyskiej, otoczonej przyjaciółmi kobiety zrobił uzależnioną od niego samotnicę.

– Ale coś przegapił, jeśli jego plan się posypał.

– Podsluchana niechcący rozmowa. Musiałabyś znać mieszkanie Wiktorii. To część wąskiej kamienicy. Na dole jest kameralna kawiarenka, a wszystko, co wyżej, należy do Wiktorii. To stary budynek. Ma swoje tajemnice, o których Lukas nie wiedział, choćby taką, że w łazience przy

sypialni słysząc głosy z innego piętra. Siedziała w wannie, jak my teraz, i słyszała, jak on rozmawia przez telefon ze swoim synem. Głupia wpadka. Pocałował ją, gdy już siedziała w pianie, a potem poszedł ustalać ostatnie szczegóły przejęcia wszystkiego tuż po ślubie, by spłacić jakieś długi. Myślał, że w nieużywanym gościnnym pokoiku jest dostatecznie daleko od niej, bezpieczny. Potem zamawiał przez telefon kwiaty, piękne storczyki, by dalej mydlić jej oczy. Miała na tyle rozumu w głowie, że skończyła kąpiel, wysuszyła włosy, ułożyła je nawet, ubrała się wygodniej niż zwykle, założyła solidne buty, wzięła z kuchni tłuczek i dopiero potem postanowiła go zabić.

– Ciągłe nie rozumiem, jak przyjaciółki z Klubu Siedmiu mogły ją tak opuścić.

– Wątpliwe, bym się dowiedział, jak to było. Pamiętaj, że Wiktoria nie chce o tym mówić. O Lukasiu musiała mi powiedzieć, bo w grę wchodziła policja i defraudacja. On oskarża ją o napaść, a ona jego. Pozew kontra pozew. I drugi pozew przeciwko jego synowi. Byłem przy rozmowie z adwokatem. Coś dopowiedziała Rosa. A gdy pytałem o przyjaciółki, to Wiktoria tylko machała ręką, a czasami dwiema, żebym dał jej spokój.

– Żadna nie dzwoniła?

– Nie.

– Dziwne. Na jesieni przyspieszyła podróż, bo jedna z kobiet z Klubu Siedmiu miała jakieś rodzinne problemy. Chyba matka jej umarła. Wiktoria pośpieszyła na wezwanie. A teraz nie może na żadną liczyć?

– Nie wiem, czy nie może. Na razie pewne jest tylko to, że Klub Siedmiu nie działa.

– Dobrze, że przynajmniej Rosa wróci.

– Tak. To wiele ułatwi. Wiktorii nie można spuszczać z oczu. Chodzenie z nią do toalety czy pod prysznic to nie jest to, o czym bym marzył.

– Jest aż tak słaba?

Paweł od razu poczuł, że zabrnął w opowieściach za daleko.

– Trochę. Choć to raczej psychiczne. Krajobraz po traumie. Chyba pierwszy raz w życiu ktoś ją tak zawiódł. W dodatku zmasakrował jej twarz. Ktoś, komu bezgranicznie zaufała.

– Zmasakrował?

– Tak mi się powiedziało. Kończymy, Maty. Wiktoria ciężko znosi sytuację, w której jest zdana na moją łaskę i obnażona w swych słabościach. Prosiła, bym powiedział ci tak mało, jak tylko mi się uda. – Kolejny raz używał tego argumentu. – Inna sprawa, że nie chcę o tym wszystkim myśleć

przez te trzy dni, które udało mi się ukraść teraz losowi. Tylko my i nic więcej, co powiesz na taki plan?

– To, co mnie się ostatnio przydarzyło, też zostawiamy?

– A, to co innego. Nie musimy... – Wziął się do namydlania mego prawego kolana. Zapewniam cię, babko, że twój wnuk znał się na namydlaniu. Przesuwał swoimi długimi palcami pianę na udo, rozprowadzał ją delikatnie.

– Opowiadaj – szepnął i zaczął całować moje ucho w miejscu, gdzie był wpięty kolczyk przywieziony dla mnie z Paryża.

– Rozpraszasz mnie.

– Raczej ty mnie. W całym swoim życiu nie widziałem ładniejszych kolan. Uszko też śliczne. Jak tu się skupić? No nie wiem...

Paweł uwodził mnie, choć już dawno byłam uwiedziona.

Hanna Kowalewska



Hanna Kowalewska
Okna z widokiem na Weronę
Oprawa twarda
Wydawnictwo Literackie
Kraków 2019
Stron 648
ISBN 978-83-0806-962-2

Piotr Müldner-Nieckowski

Z cyklu „Jednym zdaniem”

Su come acquistare in grandi negozi

(O sposobach kupowania w dużych sklepach)

Stałem i czekałem, moja żona taka jest, że albo mam za nią nosić torby, albo kiedy używa wózka, mam czekać, i to by było wszystko, jeśli chodzi o zakupy, bo ja nigdy nie zastanawiam się nad tym, co mam kupić, podchodzę do wieszaka, sprawdzam, czy dane spodnie mają mój rozmiar pośladkowo-płciowy albo czy dana szafa wymiarami pasuje do wnęki w przedpokoju i kształtem do walizek, kupuję jedno, drugie i trzecie i mam, a ona chodzi, chodzi i wychodzi ze sklepu, to znaczy mam na myśli to, że najpierw wychodzi z nerwów, a potem ze sklepu i dalej chodzi, chodzi, aż wraca i kupuje zamiast szafy mydło w proszku, a zamiast butów szklanki do koktajli, z tym że jest to wynik niezwykle skomplikowanych procesów decyzyjnych, których psychologia naukowa do dziś absolutnie nawet nie tknęła, co dopiero mówić o analizie konkretnych przypadków, ponieważ kobiety wcale nie chcą wiedzieć, dlaczego robią to tak a tak i nie inaczej, tak jak z tym codziennym czekaniem, aż powiem, że ją kocham, a pragnę zauważyć, że większość psychologów to, akurat tak się składa, są to psycholożki, i ewentualny postęp w wiedzy o rozwiązywaniu problemów takich jak zakup na przykład krzesła wcale ich nie interesuje, bo moim zdaniem prawdopodobnie musiałyby się wściec na samą myśl, że zainteresowanie czymś takim jest co najmniej podejrzanym, tym bardziej że one same tak dziwacznie kupują, wszystkie co do jednej, natomiast faceci, tacy jak ja, a nawet i wielu innych, nie muszą nic robić, ani chodzić w kółko, ani zastanawiać się, czy lepszy jest kolor zielony, czy niebieski, a nawet pamiętam, że w instytucie mojej żony, bo oprócz tego, że mamy sklep, ona robi badania, no i w tej jaskini wiedzy, kiedy jakiś facet postanowił zbadać pewien typ rozstrzygania spraw, to został wyrzucony z roboty przez panią profesor dyrektora na skutek donosów pań adiunktek-doktorek na adiunktów-doktorków, takich jakim ja kiedyś byłem, zanim zmądrzałem i wziąłem się do przyzwoitego handlu, dzięki któremu teraz ludzie mnie szanują, a nie

imitowania eksperymentów, tak jakby były ekskrementami, bo handluje tylko czymś świeżym, radosnym i pachnącym, toteż one donosiły, że gość nie umie się oderwać od rzeczywistości i roztrząsa to, co wszyscy wiedzą, wszyscy to znaczy one, i na tym sprawa się zakończyła, a mam poważne podejrzenie, że facet jest geniuszem, tylko one się na jego możliwościach poznały i go załatwiły odmownie, tak że wyjechał do Ameryki i ślad po nim zaginął, w tej Ameryce rzecz jasna, bo my nic już o nim od paru lat nie wiemy, bo może jest wielki od spraw technicznych, w spodniach i bez spodni, lecz dość mikry od zagadnień apetycznych, więc gdy był już grudniowy wieczór, bo cały powyższy wstęp dałem tu po to, aby doprowadzić moją króciutką opowieść do tego czasu właśnie, że stałem oto w rozkroku na parkingu, znajdującego się obok wielkiego sklepu, między moim z żoną samochodem a drugim, znacznie większym od naszego, i patrzyłem w ciemne niebo, zastanawiając się nad tym, jak długo moja żona w tym wielkim sklepie będzie kupowała kostkę masła, a także dlaczego ilekroć ona coś kupuje, ja próbuję rozwiązać zagadkę dziwnego decydowania się kobiet na zakup tej kostki a nie innej, kiedy można bez szkody dla zdrowia i kieszeni wziąć z półki pierwszą z brzegu, co jest tak wielką oczywistością, że rozważając tę kwestię można wpaść w szal, doznać gwałtownego przyspieszenia bicia serca i co za tym idzie naglej produkcji nadmiaru dwutlenku węgla na skutek przyspieszonego oddychania, nie mówiąc o gwałtownym, nerwowym produkowaniu moczu i wypełnianiu się pęcherza, ale to nic, stałem sobie między tymi samochodami z rękami w kieszeniach, gdy nagle tuż przed moimi oczami pojawiła się wykrzywiona (ale w głębi owego wykrzywienia nawet ładna, że aż mnie w dole brzucha ukłuło, o wypukłych, delikatnych wargach, wielkich oczach i lśniących białą ząbkach) twarz kobiety z głową obciążoną blond włosami i włosianym czubem owiniętym w zieloną gazę ze złotą sprzączką, która wrzasnęła z oburzeniem: „Jakim prawem publicznie oddaje pan mocz na parkingu! Szambo pan tu robi?!”, ale ja wcale nie oddawałem moczu, stałem z rękami w kieszeniach i nawet nie bawiłem się kulkami w bilard, tylko przecież rozmyślałem o meandrach decydowania, gdy ona znowu coś krzyknęła, ale tak niegrzecznie i z tak świętym oburzeniem, że musiałem zrobić krok do przodu i zaskoczony odpowiedziałem: „A co ja według pani oddaję?, ale jak pani chce, to mogę oddać, tylko ile?”, a ona na to: „Co za cham!”, „Niech pani się przyjrzy” – powiedziałem spokojnie i sięgnąłem do sprzączki paska spodni, ale ona, lekko się jednak mimo wszystko ociągając, jednak odeszła, „Co, już nie interesuje pani mój interes?” – dodałem, a ona: „Co mnie

interesuje, to moje”, z tym że prawdę mówiąc przytknęło mnie to posądzenie o lanie na placu, a zanim się zorientowałem i ułożyłem w głowie adekwatną odpowiedź, ona odeszła, wsiadła do swojego mercedesa i z piskiem opon odjechała, ale nie w stronę ulicy, tylko naokoło pawilonu, tak jakoś zastanawiająco, i kiedy zniknęła za rogiem, wróciłem do swoich rozważań o damskiej technice dokonywania zakupów, gdy nagle zrozumiałem, że tak naprawdę to zaczyna mnie gniesć w pęcherzu i rzeczywiście powinienem się rozejrzeć za jakąś toaletą, a że żadnej w zasięgu mojego wzroku nie było, rozpiąłem spodnie i mocnym strumieniem odlałem się między prawe tylne koło samochodu sąsiadującego a lewe tylne koło mojej toyoty, co ze względu na mrok wieczorny było dla klientów sklepu zupełnie niewidoczne i totalnie obojętne (mieli to w tylnej części ciała, czyli w głębi otworu dupnego), no chyba że znowu podglądała mnie jakaś kolejna podejrzliwa baba, ale przecież zawsze mógłbym jej udowodnić, że do niczego nie doszło, wystarczyło trzymać ręce w kieszeniach, gdyż do wykonania czynności, o której mowa, wcale nie są potrzebne, jeśli tylko odpowiedni narząd jest odpowiednio nastawiony do świata handlu, ale wyobrażam sobie, co by powiedziała ta osobka, gdybym zapytał ją: „Szuka Pani Toalety?, pytam przez duże P i duże T, nie mówiąc o S, no to jak?, odpowie Pani?” i zacząłbym konwersować, żeby przetrwać czas poświęcany przez żonę na kupowanie masła, a ona by mi odpowiedziała..., nic by mi nie odpowiedziała, bo właśnie podjechał mercedes, wyskoczyła ona i pyta, jakimś takim ściśniętym, niskim głosem: „To gdzie tu, kurwa, jest ta toaleta?”, więc odpowiadam: „Jaka, kurwa, toaleta? Do czego Pani jakaś toaleta?”, a ona na to: „Myślałam, że jak pan tak luzacko stoisz, to żeś się pan już odlał”, no to ja: „Ale ja się nie odlewałem przed, tylko po”, wtedy ona: „Po czym?”, „Po rozmowie”, „Aha”, skwitowała i wskoczyła do auta, po czym tak nim śmignęła, jak to mercedesem, że w jednej chwili znikła w ciemności, bo tam rzeczywiście nie było toalety, tylko trzeba było się po prostu rozejrzeć po terenie i sobie wygodę załatwić, no, ale ja już byłem po, więc sobie stałem i nagle słyszę... co ja słyszę, delikatny pomruk diesla, silnika takiego żywcem od mercedesa, i słucham, słucham, skąd ten dźwięk mnie próbuje zainteresować, i po chwili się orientuję, że to słodkie, dieslowskie ukochane burczenie dochodzi z tyłu, a ja zamiast się obejrzeć, stoję jak ten idiota przodem do drzwi pawilonu, którędy moja żona ma wyjść z zakupami, więc momentalnie się odwracam i co widzę, jakaś kobieta znajduje się dokładnie między prawym tylnym kołem samochodu sąsiadującego, była to renówka, a lewym tylnym kołem, i była to moja toyota, wstaje z kucek, ściąga kolana

i się odwraca, żeby odejść do mercedesa, ale ja mam refleks i się rozdarłem: „Na moje koło Pani robi, przez duże P, proszę Pani, jak to tak?”, a ona chrapliwie, niskim głosem jak po francuskiej robocie: „Kobiecie się uwag nie robi, ty chamulcu!”, ja zaś na to: „Ja robię? Co Pani? A Pani to skąd jest, bo u nas to się tak nie robi, Pani gdzie mieszka, że się Pani przez duże P najpierw załatwia na moje koło, a potem jeszcze tak na mnie rozdziera?”, „A ja na Królewskiej jedenaście, proszę pana, pierwsze piętro, drugie drzwi po prawo, ty palancie”, i w ogóle nie poprawiała stroju, bo wszystko miała niestety w porządku, sukienka, błyszczące buciki, zielono we włosach, tak jakby na koło nic absolutnie nie robiła, zastanawiałem się, jak dalek zagadać, gdy ona nagle: „O, mój małżonek idzie, pan go zapozna, miło nam będzie” i dodała: „albo i nie”, i rzeczywiście w naszą stronę zasuwał gościu trochę niski, trochę gruby, ale jak nic facet, jeszcze nie mogłem wiedzieć, czy ma jaja, ale wąsy miał, podchodzi, mówi jak ma na imię, ale tak, żebym nie zrozumiał, no to ja jeszcze bełkotliwiej: „Fajny ten mercedes”, a on do mnie: „Zakupy porobił?”, to znaczy, czy ja porobiłem, „Jeszcze nie”, odpowiedziałem, więc on: „No to niech porobi”, a tymczasem ona: „To on”, i wtedy zrozumiałem, że to są ci ludzie, których niedawno temu nie zakwalifikowałem na darmową wycieczkę do Kenii w nagrodę za zakupy emalio- wanych garnków w moim sklepie, bo prawdę mówiąc nie jestem idiotą i nikogo nie zakwalifikowałem, gdyż nikt nie spełniał precyzyjnie przeze mnie wymyślonych warunków regulaminu, i wtedy szczęśliwie moja ukochana żona z trzema kostkami masła w ręku, jak słoneczko zza chmury, wyszła z pawilonu i ruszyła w moją stronę, na co ta kobita: „Idzie ta małpa”, a on, ten z tym bełkotliwym imieniem, nagle jak nie złapie jej za kudły, nie wepchnie do merceda, wskoczy za kierownicę, jak nie da gazu, jak nie zawyje dieslem i nie zniknie w ciemnościach!, o cholera!, w jednej sekundzie, nie wiem, czego się bali, chyba mojej beczelności, a może pomyśleli, że ten konkurs w moim sklepie z artykułami gospodarstwa domowego, w skrócie AGD, to przykrywką czegoś znacznie mocniejszego, najpewniej tajnego, żeby złapać na nich haka, i ja się tu przed pawilonem dwadzieścia cztery na siedem w tygodniu nie przypadkiem znalazłem, udając, że szukam szale- tu, wtedy ja najspokojniej w świecie odebrałem od żony jej zakup i rze- kłem: „Tego się nie spodziewałem, nie przyszło mi do głowy, że naprawdę kupisz masło, więc w nagrodę proponuję, abyśmy sylwestra spędzili w Rzy- mie”, a ona: „Bo co?”, a ja: „Perché ti amo, dolcezza”, no i pocałowała mnie w same usta, po czym odparła: „Ja ciebie też, ale – dodała – ten facet to pies z komendy w Brwinowie, ty na niego uważaj, bo to menda, a ona też

stamtąd, policyjna, wiesz: wesz, a niby księgowa, w środę garnki u nas kupowali i nasza Wandzia powiedziała, kto zacz, bo ona przecież mieszka na Królewskiej i to są oni”, no i postali my jeszcze chwilę przed pawilonem, żeby tamci mieli czas się solidnie oddalić, wrzuciłem masło do bagażnika, a co, w rękach miałem trzymać?, i pojechali my do chałupy w dość – jak na dwudziesty pierwszy wiek – ciężkim nastroju, najpierw żeby skoczyć do kompa, założyć nowe konto w innym banku i poprzemnieść trochę kasy, tak na wszelki wypadek, per ogni evenienza.

Piotr Müldner-Nieckowski



Owocna twórczość i Muza. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Wiesława Oramus

Jasełka

Dwie, nawet trzy wolne ławki, a on usiadł właśnie na tej, obok niej. Uśmiechnął się nawet, chociaż, czy naprawdę do niej, czy zauważył ją? Założył nogę na nogę, znieruchomiał, po chwili zaczął poruszać stopą. Z butów ściekała breja, ta rzadka breja, błota i psiego łajna spływającego ze skarpy w czasie topnienia śniegu, wlewająca się na chodniki całej ulicy. Nie zauważył ich, nie ominął, był ponad to, a buty, buty, oczyszczenie ich z łajna – pewnie będzie to problem dla kogoś innego?

Wbił wzrok w drzwi i okna budynku, oświetlone korytarze, poruszające się postaci – chyba sprzątaczek i recepcjonistek przygotowujących się do pracy.

W tej grze światła i mroku wyglądały trochę nierealistycznie – jak postaci z teatryku cieni.

To na nie patrzy, do nich się uśmiechał. Składał ręce jak widz gotów do bicia braw.

A wczoraj widziała go w murach innego budynku. W sali obwieszanej portretami jego poprzedników, zasłużonych jak on, choć już nieżyjących. Siedział w pierwszym rzędzie na jednym z tych pięknych krzeseł obitych miękkim czerwonym welurem, pośród innych, tak samo zasłużonych, na których czekają już tak samo piękne nekrologi, słowo o..., wspomnienia; wyliczanka zasług i cech ludzkich godnych ludzi i miejsca, w którym byli i będą. No i pędzel malarza.

Usiadła w ostatnim rzędzie, na plastikowym krześle, pewnie przyniesionym z bufetu.

Oczy wszystkich skierowane były na scenę, bo tam był powód ich zgromadzenia się w tej sali, a na scenie rozgrywał się spektakl walki dobra ze złem. Jasełka.

Aniołki wyszły z mroku, zaśniły ich złote i srebrne włosy, korony, szaty, piórka.

Wyszły z mroku, biegły w stronę światła, Przyciągały wzrok, wzbudzały zachwyt, szczególnie widzów z pierwszego rzędu.

Każdy najpiękniejszy i najmańdrzejszy. Każdy rusza skrzydełkami tak samo, chociaż każdy najpiękniej. Dla rodziców, dziadków i pradiadków.

Takie to już są te prawa natury, polityki i psychologii.
 Byle nie wypowiadać ich głośno. Inni powinni to dostrzec.

On też patrzył na scenę urzeczony widokiem aniołkowatych popisów.

On pośród wielu innych, tak samo wpatrzonych, tak samo starych, brzydkich, a tym bardziej wzbudzających podziw zazdrość. Bo trwają przecież, otoczeni wianuszkami... szczęściami... wnuków i prawnuków. Przyszłości, trwania. I dumy.

On pośród swoich, tych którzy kiedyś na innych scenach organizowali walkę dobra ze złem. I zawsze zwyciężali. A za taki jak ten spektakl mogli podciąć komuś skrzydła, złamać karierę, kręgosłup, życie.

Bo takie to były czasy. Miały być wspaniałe. Dla wszystkich. No, może dla wszystkich dążących do dobra i piękna. Ono było, gdzieś było, na jakichś scenach rozgrywała się ta walka o nie, w różnych spektaklach. Bo to też takie czasy były. Wcale nie śmieszne. Powtarzają to tak często. Nie tylko oglądając jasełka.

Nie oni przegrali.

Oni są tu! Najważniejsi w poprzedniej epoce, teraz znów ważni w tym spektaklu.

A ważni są znowu w tym spektaklu, chociaż inaczej niż w poprzedniej epoce.

To od nich zależało wiele.

To oni pierwsi zrozumieli prawa historii.

To oni zwijali jedne chorągwie, odkładali do szaf, zapominali.

Nakazywali rozwijanie nowych.

Stawali na czele.

Wiedzieli, co to tłum, jego prawa.

Niepamięć pomagała, więc ją stworzyli.

Teraz też niepamięć nie została usunięta.

Niepamięć jest w spojrzeniach, unikaniu spojrzeń.

Żeby ktoś kogoś potem nie oskarżył.

Bo jest też niepamięć oskarżeń, rozliczeń.

Niepamięć kto kogo.

I dlaczego.

A teraz cóż w końcu się liczy? Są jasełka, mogą być jasełka, może zwyciężyć światło nad mrokiem.

Aniołki są na scenie. Aniołki walczą o dobro, są po dobrej stronie, na właściwym miejscu na scenie.

Jakieś pragnienia, jakieś marzenia budzą, uczucia dobre wyzwalają, nadzieję na niepamięć jakichś innych scen, tańców, spektakli. Dla wszystkich. Nie tylko dla aniołków, chociaż dla nich przede wszystkim.

Wnuczęta się wtedy mocniej przytula, łzy pokapują

Dobre łzy.

Dobre łzy schyłku i początku nadziei na to dobre; o co walczą.

Aniołki skrzydła mają wielkie, czasami większe niż ich kruche jeszcze figury.

Pragnienie miłości budzą.

Anielskości.

A jeszcze... czasu to wymaga i uważnego spojrzenia rozpoznanie w ich rysach podobieństwa do tych starych, brzydkich, pomarszczonych, wzruszonych pięknem twarzy tych widzów z pierwszego rzędu. Scen wymagających ujawnienia rysów osobistych, rozpoznania kształtu ust, podbródka, stopy, uśmiechu, grymasu złości...

Żeby rozpoznać potęgę genów.

Nawet w trzecim pokoleniu.

Żeby rozpoznać z czyjej puli genowej te aniołki.

Moc dziedziczenia, również społecznego.

Wszyscy widzą, nawet po minach tych starych, brzydkich, kto został wyznaczony do odgrywania Aniołka.

Aniołki pokonały Zło. Jak zawsze.

Aniołki jak zawsze były po dobrej stronie, na dobrej stronie sceny.

Na scenie, pod napisem głoszącym walkę o zwycięstwo dobra.

Warto być aniołkiem.

Warto zwyciężać. Zwłaszcza pod takimi hasłami.

Warto, a więc opłaca się.

Opłaca się, to warto.

Warto tworzyć swoje jasełka – na krzesłach w pierwszym rzędzie.

Patrzyła na to wszystko wczoraj, tak ironicznie komentowała w myślach, tak, zaciskała zęby. Tak dojrzewało w niej to postanowienie – podejdę, powiem to głośno, tak ironicznie, z diabolicznym śmiechem i zapytam, tu, w tej przestrzeni, jedynej w jakiej są dostępni, zapytam – dlaczego to zrobił, dlaczego to zrobili, ale... po spektaklu, tych najważniejszych, tych dziadków i pradiadków zwyciężających zło aniołków otoczył tłum – rodzina, krewni, byli podwładni. Gratulacjom nie było końca!

Powiem mu teraz, zapytam wprost... – postanowiła.
Wstała, ominęła jego oblepione breją buty, stanęła przed nim.
– Dlaczego? Dlaczego pan to zrobił? – zapytała.
Uśmiechał się, uśmiechał się! Złożył ręce jak do oklasków!

– Przepraszam panią – usłyszała kobiecy głos, poczuła dotknięcie na ramieniu – ale dziadek bez aparatu nic nie słyszy. I znowu udało mu się uciec. Pilnujemy go, ale....

Wiesława Oramus



Słuch. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jacek Pankiewicz**Kosmos – do remontu!**

Życie nijakie – czy potrafisz się do tego przyznać?
przed sobą, przed kimś drugim, przed Bogiem wreszcie?
czy też żyć, nie pytając, czy On w ogóle jest!
...gdy twoje istnienie – bezzasadne, a ty – kompletna redukcja projektu!
i jeszcze efektu żądasz? nagrody za takie istnienie?!

1

Niegdyś, na Serwitucie moim, żyłem sobie nieźle, jak najlepiej; a miało się wtedy lat pięć, sześć, siedem, aż do dziewięciu; liczyłem tylko na siebie i na własną postawę.

Lecz Serwitutu dawno już nie ma;
ojczyzna twoja tu, chłopciu! niby już jest!
masz tylko żyć! tak mówią;
żyj podług zasad – i raz a dobrze!
żyć – to najpilniejsza pilnota z wszelkiego twojego pilneństwa!
popatrz jak tam potrafią żyć inni!
jak pan Takashi Asahina dyryguje „Eroiką”! on ma 92 lata, a gra jak
czuje – w pełnym diapazonie swoich uczuć!
więc i ty, jakotakolatek, gdziekolwiek jesteś – poza skorupę własną
wyjdź, otwórz się na pozostałą część świata!!

2

A czy pamiętasz inną, dawną twarz? tego Mocarza, trzynastolatka?
i popatrz na dzisiejszą – czy ta z dziś jeszcze pamięta tamtą?
czy nie rozproszyła zbyt wiele z tamtych, godności swej dawnej nie
uszczipiła?

Idziesz sobie ulicą, albo ścieżką przez las,
przed tobą mrówka pomyka – czy jej nie zdepczesz, nie uszkodzisz?
Pamiętam, byłem kiedyś w chorobie ciężkiej, bardzo ciężkiej, a pomocy
znikąd! pomoc mi wtedy jeszcze mógłby – może minister jaki? on wszakże
sługa z powołania!
i poprosiłem Ministra,
ale minister złego ministra udał, i tyle.
W Przyrodzie jednak Istoty Żywe, wszelkie! zachowują się inaczej!

Widziałem raz jak na pustyni młode lwiątko się pasą;
 one spały sobie jeszcze, pomiędzy głazami, kiedy podjechał samochód
 z ludźmi; wtedy one, z ducha czujne, choć i leniwe, wyszły z kryjówki,
 i oddaliły się na zmyłę, w kierunku nieznanym, niby już ich nie ma! Gdy
 po kwadransie wróciły, samochód z ludźmi stał ciągle; lecz i nowy pojawił
 się przybysz, od tamtych słabszy. To był żółw, więc otoczyły go, każde lekko
 trąciło go pyskiem, lecz żółw jak to żółw, udał nieobecność, on kamień!
 Dwa lwiątko odwróciły się i odeszły; trzecie na wszelki wypadek pacnęło
 tamtego łapą z góry, ale żółw nie żółw, udał że śpi. I wszystkie trzy poszły
 do swoich kamieni, spać dalej.

3

Widziałem ludzi remontujących blok, mój blok mieszkalny na Biela-
 nach. Tak sprytnie uwijali się po ścianach, jak nie ludzie, jak jaskółki może.

Ja sam też wędrowałem nieraz po górach i gdy byłem zmęczony, głod-
 ny, chciałem dalej iść, lecz stanął mi pośrodku drogi łoś, i nie puszcza.
 Może czekał na innego łośia, a może na mnie. I patrzył, co zrobię. Pewnie
 też był głodny, i jako miejscowy, poniekąd gospodarz tutaj, ani myślał mnie
 przepuścić.

Wyciągnąłem z plecaka jabłko, ugryzłem, pomachałem w jego stronę;

– I co, tak będziesz stał?

nie odpowiada; ugryzłem drugi kęs,

– chcesz? to możemy się podzielić!

i zamachałem, ale on nic, jakby tylko lubił się przypatrywać;

...aż w końcu ruszył w moją stronę. Zbliżył się, z wahaniem. Ja też niby
 drzewo nieruchomo stoję. Ot, może jabłoń.

On wziął i wyłuskał mi z ręki tę resztkę jabłka. Palców nie ruszając.
 A chrapki miał nawet i delikatniejsze niż puszek ludzkiej kochanki, nie
 zawsze tak ludzkiej.

I postaliśmy tak obok siebie, nie pytając o nic; już i wiedzieliśmy o sobie
 znacznie więcej, niż przedtem wiedzieliśmy;

i tak bywa, tak w życiu właśnie jest.

Jeśli masz oczy szeroko otwarte. A uszy czujne. Czegoś się może i na-
 uczysz.

I będzie tak jak to umięją ci ludzie na moim osiedlu, co remontują blok.
 Po rusztowaniach niby kozy skaczą, a może i jaskółki. A oprzyrządowa-
 nie musi być mocno przyklejone do ścian, i wszystko służy czemuś, jak
 to na świecie!

Zatem potrzebny jest w tym i tutejszym świecie konieczny porządek; w naszym i tym szerszym; mniejsze przyporządkowane ma służyć większemu. Bo ono tak jest wszędzie, i w wielkim Kosmosie.

4

Przypominam sobie ze zdjęcia, tego co miałem trzynaście lat, byłem wtedy niby Mocarz.

A i dziś, kto na nie popatrzy, powie, no, to musiał być Mocarz!

Bo ja właściwie nigdy, aż do lat dziewięćdziesiątych, nie uważałem, że jest inaczej! bo nie jestem poszkodowany przez los.

Kiedy miałem trzydzieści lat, byłem już, jak to się mówi, w sile wieku – napisałem powieść, pierwszą powieść, którą niedługo potem zniszczyłem. A dałem jej tytuł: „Zaproszenia i bariery”, i do dziś on aktualny. Przedstawiłem tam naturę świata: który do wszystkiego mnie zaprasza, a kiedy już się zbliżę – nie chce mnie do niczego dopuścić! Więc i zniszczyłem powieść, bo chciałem się zbliżyć.

I tak jest do dziś. Świat nasz, niby otwarty wszędzie, dla każdego, lecz swoich barier nie da nikomu przekroczyć.

A żyć przecie trzeba!

Liczyłem na to, że szczyt moich możliwości jeszcze nadejdzie.

Żyłem wtedy skromnie, dochodów nie miałem, żyłem bardzo tanio; wydawałem na siebie dziennie 10 zł; na śniadanie zupa w barze mlecznym za 1.80, na kolację najtańszy, jaki tylko można było w Delikatesach dostać, kotlet rybny, też za 1.80; na obiad...

wynajmowałem kawalerkę na Zapiecku, w centrum Starego Miasta; i to był mój najszczęśliwszy okres życia!

rano wychodziłem sobie na spacer, do Rzeki, i do mojej Kłody; wróciwszy zapisywałem wrażenia;

a jak już przyszła noc – nie zamykałem drzwi na klucz, może Jakaś będzie jeszcze przechodzić tędy i mnie odwiedzi! o jej towarzystwo bowiem za dnia nie zdążyłem się postarać.

I zdarzało się, że z ciemni dobiegały mnie jakieś pogwarki, szepty,

– a wy tu kto?

– a my nic! tylko u twoich nóg poleżymy sobie; ty śpij, nie przeszkadzaj sobie!

Z pewnością nie była to jeszcze Jakaś; ale ktoś przybył, zwyczaj może się poszerzy. A ogóle wtedy na Starym Mieście niczego człowiek się nie

obawiał; nic złego nie zdarzało się w dzielnicy, dopiero co po Powstaniu odbudowanej. I trwało tak przez lata całe. Aż kiedyś...

dostałem pracę, i była to posada sekretarza redakcji w tygodniku „Stolica” –

tam też trzymałem drzwi otwarte dla wszystkich z miasta; o biurach przepustek nikt wtedy nie myślał; zdarzały się, ale tylko na milicji.

I do mnie na pięterko można było wstąpić, bez umawiania się; ludzie przynosili jakieś tam teksty, dobre czy złe, ja czytałem, omawiałem, czasem coś wydrukowałem, często były to wspomnienia z Powstania; w tym trybie niektórzy znajdowali drogę do innych, ktoś odkrył w sobie własny styl czasem, zdolności; a pewien napoleonida przyniósł zapisany cały zeszyt z literą „N”, i też chciał to wydrukować; nauczyłem go skracać, i tak on, drogą redukcji, został później krytykiem literackim; a kiedy mnie „ze względów ideologicznych” wyrzucono z Redakcji, już nie poznawał na ulicy;

i cóż, musieli kogoś wyrzucić dla przykładu.

Ciężko rozchorowałem się wtedy. Trafiłem do specjalistycznego szpitala, lecz tam leczono mnie na zapalenie stawów, bo wtedy było modne, a ja miałem ciężkie ataki podagry:

„to jakaś choroba angielskich lordów! u nas? a gdzie! to niemożliwe!”

i z gorliwości o mało nie ucięto mi nogi, gdyż tak spuchła, że nie dawało się wytrzymać bólu!

5

Mój debiut książkowy, opóźniony z licznych powodów, wypadł dopiero po zmianie systemu, w okresie przełomu. I to od razu w PIW-ie. Nie przez to, że byłem tak beczelnie odważny i dumny z siebie, lecz że musiałem w pierw z maszynopisem obieć wszystkie inne wydawnictwa w kraju, gdzie zwyzywano mnie szpetnie, i tyle! lżono, że piszę „tak jakoś inaczej!”

Już zresztą i sam tytuł odstręczał, „Franciszek Schubert idzie do czubków!” do czubków wysyłało odszczepieńców ideologicznych, „ale tylko w Sojuzie!”

u nas dopiero to się zaczynało;

a ja jeszcze zakładałem, że ponieważ „po tej naszej stronie jest tak jakoś, to po tamtej stronie może być inaczej, czyli zwyczajnie!” dla równowagi...

I kiedy w PIW-ie książka wyszła, cały nakład, 5 tysięcy egzemplarzy, sprzedał się w trzy dni, z jedyne go punktu na Foksal, bo „Składnicę Księgarską” akurat zlikwidowano.

Ale i moja choroba, tak niechlujnie zaniedbana, nie pozwalała mi świętować.

Pojechałem do sanatorium gdzieś na Śląsku, tam z dworca zabrała mnie łaskawie jakaś betoniarka, bo taksówki z postoju zabrali przede mną lepiej chodzący.

I dotarłem się do pawilonu. Zakwaterowałem się,
a po kwadransie puk-puk!

– ach, to chyba pan?

jakiś sąsiad mnie rozpoznał, z pokoju obok:

– o panu akurat to w Dzienniku Telewizyjnym mówili, na pierwszym miejscu wiadomość zaraz była! że taki to a taki napisał książkę bardzo ważną, i że ona jest o nas jakby, nas wszystkich!

Tak ucieszyłem się, bo skoro tak, to okazuje się, że świat i po tej stronie jest inny, dziwnie normalny!! więc trzeba to uczcić!

Zjechaliśmy windą do Piekiełka w piwnicy, tam dostaliśmy stół przy parkiecie; orkiestra grała, a jak tylko ryknęli, to ja – zerwałem się i wyskoczyłem na parkiet, i choć podłamani, zatańczyłem boogie-woogie solo! dla całej publiki chętnie, jak i dla siebie! Braw nie dostałem, widocznie do prawdziwych artystów ludzie się tam jeszcze nie przyzwyczaili,

– tyń to dzisiaj od rana się upił, a ino skacze!

Niezdługo, jakieś parę dni potem, po Warszawie rozbiegła się wieść, że Dyrektora PIW-u, pana Michała Kabatę zwolniono. Nie pasował im do nowej nomenklatury. Przez dziesięć lat potem, a i więcej – nie dało się jakoś usłyszeć, by znaleźli na jego miejsce innego takiego, co by się na literaturze znał! I tak jest do dziś. Ta wiedza widać jest wciąż jeszcze bardzo tajemna. Czy i na uniwersytetach?

Ale wszyscy wokół tę ziemię depczą, bo tak się przyzwyczaili, spadają na nią jak ten kurz.

6

Chciałem być kiedyś jak ten „Budowniczy Solness”!

stawiać domy, a nawet czasem i pokomenderować innym: „Wyżej podnieście strop, cieśle!” czasem krzyknąć.

A tu w powietrzu dzielnie tylko ci remontujący blok wiszą; i widać, że są w postawie twórczej. Trzeba uszanować i zachować to, co powstało przez innych, a i samemu umieć to robić!! Jesteśmy wszak jak ta odrobina piasku, pośród innych drobin, ziarnko do ziarnka...

kogo komunizm nie zniszczył, hitleryzm nie zgładził – ten jeszcze i dziś
 przeżyć się stara;
 w kapitalizmie ilość zer bardzo się liczy;
 a mniej sumienie, sprawiedliwość,

7

Pół wieku temu napisałem krótki utwór, prozodium pt. „Chaos i opieka”.

Streszczał on sytuację tamtą – ale i tę, która wciąż trwa!
 i była tam rada, jak zmieniać składniki –
 by jeszcze wciąż żyć chciało się i było warto.
 Lecz ludzkie działania uzurpatorskie psują ten świat coraz intensywniej.
 To, co tu piszę, to nie dla ciemężycieli!
 piszę dla siebie raczej, z usprawiedliwienia,
 i dla kogoś, kto jest wciąż świadkiem, a może być i kimś więcej!
 Niech się tylko – sam odezwie!

8

I widzę, jak zza chmurki spogląda On,
 ma przed sobą całą listę nazwisk, nie kończącą się, długą,
 na niej dziennikarze, niby i poeci,
 politycy *in corpore* ustawieni przez swych sekretarzy,
 wszystkie media, z czasów przeszłych, przyszłych –
 już niezależne od rządzących, niepodlegające nawet i niezależności
 własnej –

i ty tam jesteś, Kotku, podejrzyj sobie!

Jak to podśluchałem kiedyś:

„... kiedy przyjdzie do remontu, to i komu zlecić mam rzecz całą?
 do kogo się zwrócę ja, Bóg?

na Ziemi ludzie się nie sprawdzili, duży tam wciąż Chaos, troszczą się
 o siebie tylko, Opieki nad innymi brak! miłości, zrozumienia...”

– a, do tych Robotników się zwróc, Panie! oni przy moim bloku się
 sprawdzają!! oni i Wszechświat mogliby wyremontować najlepiej!!!

30 grudnia 2019

Jacek Pankiewicz

Maria Jolanta Piasecka

Zesłana

Pamięci Matki

Zwykle piła niewiele wbrew zaleceniom lekarzy i zarazem w opozycji do internetowych porad zalewających jej komputer mailowymi pocztami zdrowia. Jeśli już miała pragnienie, wybierała herbatę earl grey lub kawę gotowaną w tygielku z kardamonem. Nie lubiła zwłaszcza zimnej wody. Ta powściągliwość w nawadnianiu organizmu okazała się bardzo przydatna w nowej, dorywczej pracy, którą otrzymała niespodziewanie lub może przez pomyłkę. Kiedyś kogoś zastępowała, ktoś ją potem komuś polecił, a była w wieku, kiedy o posadę coraz trudniej, tym bardziej o pracę we własnym zawodzie i taką, którą się lubi. Tyle tylko, że niektórzy znajomi krzywili się na wieść o tak zwanej umowie śmieciowej w korporacji. Będziesz pół korpolutkiem – komentowali.

Tego pechowego dnia, choć paradoksalnie, pod ważnym względem wyjątkowego, przed wyjściem z domu do pracy wypiła sporo: kilka kubków wrzątku z imbirem, cytryną i miodem. Miała wysuszone śluzówki, jak to bywa przy katarze i w stanie podgorączkowym. Choć firma, do której zmierzała, zaopatrzona była w kuchnię i kantynę z ekspresem do wszelkiego rodzaju kaw nazywanych z włoska, z szufladami herbat czarnych i zielonych, nie mogła, jako poniekąd obca osoba liczyć na poczęstunek, a jedynie na zimną wodę z baniaka. Więc gdy wysiadła z tramwaju, kupiła soki marchewkowy i grejpfrutowy. Wypiła je duszkiem przy zbiegu ulic Muranowskiej i Andersa. Stała na chwilę przed Pomnikiem Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, zwanym krótko pomnikiem sybiraków. Zatrzymała wzrok na platformie z krzyżami, symbolizującej wagon deportacyjny i policzyła, jak już wielokrotnie jej się zdarzało, wszystkie czterdzieści jeden podkładów kolejowych z wypisanymi nazwami pół bitewnych i miejsc kaźni.

Gdy po podaniu imienia i nazwiska oraz nazwy firmy przepuszczono ją przez bramkę, a potem przez szklane drzwi, nic jeszcze nie zapowiadało kłopotów. Wjechała windą na dwunaste piętro, podeszła do kolejnych drzwi, zadzwoniła i znalazła się w środku. Pierwsze dwie godziny pracy

w ciepłym, przestronnym pokoju z nowoczesnymi meblami, minęły bez niepokojących sygnałów. Jednak pod koniec trzeciej godziny surowe rządy przejął pęcherz, bowiem jej nerki zdążyły już przefiltrować domową wodę z imbirem i dwie butelki soku.

Mimo, że w szklanym gmachu znajdowały się toalety, nie wszyscy mogli z nich korzystać. Obowiązywał tu podział na równych i równiejszych. Czułe kamery rejestrowały korzystających w potrzebie z intymnych kądek i potrafiły odróżnić jednych od drugich. Systemy obserwacji gotowe były wszcząć alarm. Tak więc obcy przekraczający próg budynku zmuszeni byli we własnym interesie zachować powściągliwość w picciu, by nie narazić się na wstyd i upokorzenie. Nikt tego nie chciał, ona, rzecz jasna, także.

Na szczęście trzecia godzina była tego dnia ostatnią godziną jej pracy, a zarazem cielesnej tortury. Wyszła z pokoju, otworzono przed nią drzwi i zaprowadzono do windy. Zjechała z dwunastego piętra na dół, przeszła przez bramkę i znalazła się poza obiektem. Wokół niestety rozciągała się toaletowa pustka. Żadnej kawiarni, restauracji, baru. Nic prócz niebieskiej, plastikowej budki, czyli kibelka o wdzięcznej nazwie *toi toi* i mniej wdzięcznym zapachu. Nieskorzystanie z niego skończyłoby się dla niej katastrofą. Z kibelka właśnie wyszedł policjant i udał się do stojącego nieopodal radiowozu. Droga wolna.

Otworzyła plastikowe drzwiczki. Zatykając nos stanęła twarzą w twarz, jeśli tak godzi się nazwać wielkie oko toaletowego tronu, z klęską żywiołową. Spieniony żółty płyn osiągnął górną granicę bezpieczeństwa czyli poziom deski. Ów stan alarmowy odzwierciedlał poniekąd stan terminalny jej pęcherza. Nie było odwrotu.

Wracała do domu jak zwykle ponad godzinę, tramwajem, pociągiem, w końcu samochodem, owładnięta pragnieniem, by zrzucić z siebie i wyprać odzież przesączoną odorem, by pod prysznicem i w wannie zmyć wszelki fetor w formie gazowej i ciekłej, który przywarł do jej ciała.

Zrelaksowana, leżąc w kąpieli z ulubionym zapachem „dark kiss”, odtwarzała w pamięci wydarzenia minionego dnia. Gdy stanął jej przed oczami pomnik sybiraków, nagle w wyobraźni ujrzała zatrważające sceny i jej myśli przestroiliły się całkowicie. Pobiegły ku tym, którzy nie mieli szansy, żeby pozbyć się ludzkiego i niehumanoidalnego odoru – w złowieszczych zawirowaniach historii. Nie mieli wody. Nie mieli odzieży na zmianę. Nie mieli toalety. Byli stłoczeni w bydlęcym wagonie z dziurą w podłodze, wokół której zamarzały wspólne ekskrementy.

Myślała o nieżyjącej matce i dwóch ciotkach, które w styczniu 1945 roku tak właśnie transportowano na północ, do łagru Siewiernaja Griwa. Miały nieco ponad dwadzieścia lat. Wracały szosą z pracy do domu. Nie wiedziały, że sąsiedzi uznali je za obce i wciągnęli na trefną listę. Podjechał samochód, zaproponowano im podwózkę. Na stacji czekały już bydłące wagony pełne ludzi.

Maria Jolanta Piasecka

Zofia Posmysz

Przyjaźń

(część II noweli filmowej z tomu „Jeszcze słyszać gwizd parowozu”)

1.

Do podmiejskich pociągów znów włączono wagony z napisem „dla młodzieży szkolnej”. Na pomostach – żeńskim i męskim – jak zwykle żadne flirtu grupy przekomarzają się poprzez wątlą barierę łańcuszka zamykającego pomosty. Karol i Bronek – już w czapkach licealnych z czerwonym otokiem, czerwone tarcze na ramieniu – są ponad zabawy rówieśników. Zająćci rozmową o czymś pasjonującym, nie widzą nikogo. Koleżanki siostry Karola, rade by go jakoś sprowokować, bezskutecznie. Stoi tyłem do pomostu żeńskiego i wygląda, jak gdyby chciał odgrodzić sobą od świata wspartego plecami o ścianę wagonu Bronka. Smutnymi oczami śledzi ich Janka, jak zwykle osamotniona wśród rozpaplanych gimnazistek. Kiedy bractwo wysypuje się z wagonów i rozprasza, ona schodzi w dół nasypu za Karolem i Bronkiem, po czym mija ich, stojących przy zbiegu Czereśniowej i Głogowej i umawiających się na popołudnie. Przechodząc, spojrzeniem szuka spojrzenia Bronka, ale cud sprzed kilku miesięcy, kiedy ten uśmiechnął się do niej, nie chce się powtórzyć. Chociaż znajduje się w polu jego widzenia, chłopak jej nie dostrzega. Więc Janka idzie dalej, wlokąc teczkę prawie po ziemi.

2.

Świerczyński ma gościa. Siedzą w miniaturowym ogródku przy stoliku pod jabłonką i nowy lokator ulicy Czereśniowej powtarza po raz któryś z rzędu, że to dobrze, że pan Antoni (bo już mówi mu per „panie Antoni”) te georginie przywiózł. Skąd je on przywiózł? A tak, prawda, spod Stanisławowa, no bo skądże inąd jeszcze mógłby je przywieźć, jak nie stamtąd? Tylko na Ukrainie jest ten gatunek georginii i dlatego on, przechodząc i oglądając te wszystkie, milusie zresztą, ogródki, przy tym musiał się zatrzymać i nawet wprosić się do środka...

W pokoju nad trygonometrią siedzą Karol z Bronkiem, każdy odraabia zadanie oddzielnie, potem porównują wyniki, jedno już rozwiązane, wyniki zgadzają się, „No i widzisz” – cieszy się Bronek, jakby to było jego własne osiągnięcie, i zaraz przystępuje do następnego, ale Karol już stracił

rozpęd, rozprasza go rozmowa w ogródku, zwłaszcza kwestie starszego pana go ciekawia, pyta Bronka, co to za dziwak? Więc Bronek wyjaśnia, że jest to nowy lokator ulicy Czereśniowej, emerytowany major Wojska Polskiego, a przedtem oficer austriacki, mieszka z wnuczką cioteczną czy też stryjeczną, w każdym razie jest bratem jej dziadka. A właśnie starszy pan peroruje, że to dobrze, że drogi pan Antoni nie ożenił się po raz drugi, bo i po co było mu się żenić?

Synowi potrzebny tylko ojciec, i tylko ojciec, uczestnictwo matki w wychowywaniu tylko przeszkadza, w ogóle kobiety w życiu mężczyzn raczej są balastem, zawadą, on sam na przykład przeżył całe życie i nigdy, ani przez moment nie przemknęło mu przez głowę, żeby się żenić, i nie żałuje, bo w życiu mężczyzn ważni są w gruncie rzeczy tylko mężczyźni, nikt nie wie tego tak dobrze jak żołnierz, jak oficer. Teraz już i Bronek oderwał się od trygonometrii, uśmiecha się sceptycznie, ale przecież słucha wyводу starszego pana, że tylko jeden jest zawód przystojny dla mężczyzny, zawód żołnierza, no i może jeszcze zawód kolejarza, tak, utwierdza się w swoim mniemaniu, zawód kolejarza nawet na pewno, kolej, to także rzeczo-
spolita mężczyzn. Tu obaj chłopcy jednocześnie zwracają ku sobie głowy, „rzeczpospolita mężczyzn”, w tym coś jest, podoba im się określenie, Karol podnosi się, „Chodź, pogadamy z nim, dziadek jest szopny...”. Wychodzą na dwór, kiedy starszy pan wyciąga rękę do chłopaków: „Major Półtoracki” i od razu o Bronku: „A, to ten jest pański syn, to dobrze, to bardzo dobrze”, Bronek przedstawia kolegę, ale major nie zwraca na niego uwagi, mówi, patrząc na Bronka: „Znam, znam, zuch kawaler, wiem, widziałem, to dobrze, to bardzo dobrze”.

3.

Jesień, ogródek nagi, po szybach spływają strugi deszczu.

„Nie zastanowiło cię nigdy – pyta Świerczyński wieczorem, kiedy przy stole kuchennym spożywają skromną kolację – czemu ty nigdy nie jesteś u Karola, tylko zawsze on u ciebie?”. Odpowiedź syna, że to on nie chce tam chodzić, nie zadowala go, pewnie, że nie chce, skoro tam nie nastają, żeby przychodził, zresztą on, ojciec, jest z tego raczej zadowolony, w ten sposób sprawa stoi tak, jak powinna stać, na płaszczyźnie wymiany przysług, wstawienictwo Bożenia umożliwiło Bronkowi przeniesienie się do rządówki. Bronek przeciągnie Karola do matury, nikt nikomu nic nie będzie winien, tak rozumuje, i jest zaskoczony reakcją syna, który nagle przestaje jeść, bo mu jedzenie staje w gardle, kiedy słyszy takie gadanie. Czy ojciec

rzeczywiście wierzy w to, że bez niego Karol by nie zdał, że to dlatego wyszedł z korpusu kadetów, że nie miał od kogo ściągać, nie miał się kim podpieścić? „A dlaczego?” – pyta zdumiony szczerze Świerczyński, ale zdumienie przekształca się w niepokój i obawę, kiedy słyszy, jak syn to widzi. Otóż według niego prawda jest taka, że Karol zawalił naukę celowo. Chciał, żeby go wyrzucono z korpusu, bo tylko w ten sposób mógł znowu znaleźć się razem z nim, z Bronkiem. I przed starym Bożeniem udaje tępaka, nie umiającego kroku postawić bez Bronka, po to tylko, żeby go zmusić do wykorzystania swoich protekcji także dla kolegi. W miarę jak to mówi, Świerczyński unosi się, przechyla poprzez stół ku synowi. Boi się tego, co Bronek mówi. A jeszcze bardziej by się bał, najbardziej ze wszystkiego by się bał, gdyby Bronek w to, co mówi – wierzył.

4.

Listopad wygasił w ogrodach wszystkie barwy, ogołocił drzewa. Zakwitły za to na dachach domów barwy białe i czerwone, i falują w chłodnym błękitcie listopadowego ranka. Na budynku administracyjnym parowozowni, mieszczącym także klub Kolejowego Przysposobienia Wojskowego, wielki transparent głosi: „11 listopada”. Przed budynkiem formuje się pochód, orkiestra kolejowa na czele, za nią oddział KPW, a potem dwa oddziały Związku Strzeleckiego – żeński i męski. Kolejarze, którzy właśnie schodzą z nocnej służby, przyglądają się temu bez entuzjazmu, zwłaszcza umundurowane dziewczęta budzą ich niechęć, ten i ów mruczy o „dziurawym wojsku”. W pierwszej czwórce Janka, wie, że wśród obserwatorów znajduje się jej ojciec, zwrotniczy Wilkosz, ale woli się nie oglądać, aby go nie sprowokować do jakichś nieobliczalnych wystąpień. Nadchodzi maszynista Pałac, z torbą podrózną w rękę, przystanął także, żeby zobaczyć odmarsz, kiwa głową z ubolewaniem, oto jak łapią młodzież na lep, a my co robimy? Kapelmistrz podnosi batutę, rozlega się dźwięk marsza, padają komendy, oddziały wyruszają, kolejarze za nimi, już opuścili teren parowozowni, teraz dopiero rozwiązują się języki, szybują w ślad za oddziałami drwiące uwagi, aluzje, Pałac z Wilkoszem idą nieco w tyle. „Pozwala pan córce na tę szopkę?” – mówi Pałac, ale Wilkosz macha tylko ręką, co ma zrobić, początkowo zabraniał, ale to na nic, tyle że w domu były ciągle awantury, w końcu trzeba jej jakiejś rozrywki, nie dostała się do gimnazjum, bo pierwszeństwo mają dzieci legionistów, a jego na prywatne nie stać, bo prócz niej ma jeszcze troje i dług spłaca z domu, więc dziewczyna się zbuntowała, chodziła dwa lata do handlowki, ale ani się jej to nie podobało,

ani też nic jej z tego nie przyszło, skończyła, i co, siedzi w domu, nigdzie do pracy dostać się nie może, więc w końcu czy on może jej zabraniać? Może poprzez tego „Strzelca” gdzieś się do czegoś dostanie, albo może chociaż chłopaka sobie znajdzie. „Mogłaby do nas przychodzić” – mówi Pałac, ale zaraz sam sobie odpowiada: „zresztą, ZZK już odpadł z konkurencji, jeżeli chodzi o młodzież”. I w milczeniu wysłuchuje gorzkiej uwagi Wilkosza, że to nie jedyna porażka ZZK. Oddano w pacht złotym związkom i maszynistów, i dyżurnych, i zwrotniczych. Nie-kolejarze mówią: „bogaty związek”. Bogaty, pewnie, buduje domy związkowe, świetlice, cuda... Ale jak przyjdzie do wybronienia człowieka, to czy coś może? Szurnęli Świerczyńskiego z parowozu, grubo przed czasem, tylko dlatego, że „panom” nie czapkował. Pałac nie podejmuje dyskusji, sam aż za dobrze wie, jak jest.

Idą w niewesołym milczeniu, bezwiednie, po żołniersku dostrajając krok do marsza rozbrzmiewającego przed nimi.

5.

Robotnicy w parowozowni korzystają z każdej chwili, żeby ogrzać ręce przy kominku, przez otwarte wrota nawiewa do środka śnieg, wiatr gwizdzie. Świerczyński na parowozie pracuje ospale, w gniewnym milczeniu, nie odpowiadając nawet na pytania o syna, nie lubi tej roboty, jest palaczem, to znaczy kimś, do kogo należy rozpalanie parowozów, nie ich wygaszanie. Kolarze przy koksiały wżruszają ramionami, niech Świerczyński sobie kiedyś, przechodząc, policzy, ile wagonów stoi na bocznicy i czeka na przewozy, a przewozów nie ma, bo skąd mają być, kto jest zainteresowany w tym, żeby było co przewozić, obcy kapitał? Niepostrzeżenie podchodzi mistrz parowozowni, co to znowu za agitacja, czy Świerczyński nie ma jeszcze dosyć, chce się znowu znaleźć na placu. Zanim zaskoczony Świerczyński znajduje odpowiedź, wyręcza go młody robotnik. Tadek Lis, niedawno przyjęty na praktykę: co majster chce od Świerczyńskiego, nie Świerczyński mówił o obcym kapitale a on, bo ludzi krew zalewa, że wagony stoją, parowozy się wygasza, państwo zbudowało pierwszorzędną koleją, a ona nie ma co robić, ułagodzony nieco pochwałą państwa, mistrz odchodzi, mrucząc dla zachowania fasonu, żeby to zmartwienie zostawili komu innemu, to nie na ich głowy. „Komu?” – sarka Lis, ciszej już nieco. „Tym, co za całe zmartwienie mają, jak ugościć Goeringa? Będziemy my ich przewozić, tych „geringów” i to, zdaje się, niezadługo”. Kolarze patrzą na niego zadziwieni, lecz i trochę przestraszeni. Niechże się nowy ma na baczności, bo wygląda naprawdę na agitację, a agitatorów się tutaj nie toleruje.

6.

Niedziela, okres świąteczny, na stacji jaśnieją kolorowymi żarówkami wielkie choinki. Janka przyniosła obiad swojemu ojcu, zwrotniczemu ze stacji P. Ale Wilkosz każe jej zostawić menażki i iść, teraz nie ma mowy o jedzeniu. Zadymka zasypała zwrotnicę, a niedługo ma lecieć dalekobieżny i jeżeli nie oczyszczą ich, powstanie spóźnienie z ich winy. Kto wolny na stacji, ten zostaje skierowany do oczyszczania. Przez chwilę z nastawni patrzy Janka na krzątanie na torze, nie wytrzymuje jednak bezczynności, zbiega w dół i chwyta za szpadel, nikt się nie dziwi jej obecności, nie mają na to czasu, przyjęli jej uczestnictwo jak coś naturalnego, przesuwają ją z miejsca na miejsce, teraz tu, a teraz jeszcze tutaj, każą przynieść, każą podnieść, każą coś podać, Janka bez słowa wykonuje polecenia, pracuje jak równa, zawiadowca stacji pyta, co to za jedna i skąd się wzięła, ktoś odpowiada, że córka zwrotniczego, obiad mu przyniosła, „zuch-pannica” stwierdza zawiadowca, a ktoś odpowiada: po prostu córka kolejarza

Wreszcie zwrotnica oczyszczona, zawiadowca sygnalizuje stacji węzłowej, że pociąg może przejść, brygada jeszcze stoi na torze, jeszcze na bieżąc odmiata śnieg, bo zadymka nie ustaje, dopiero kiedy rozlega się gwizd lokomotywy, usuwają się na bok, Janka pomiędzy nimi, patrzy na nadjeżdżający pociąg i jej chmurną twarz rozjaśnia uśmiech.

7.

Jest już ciemno, kiedy powraca do domu zmęczona, w przemoczonym płaszczu i butach. Ulicę Czereśniową rwie zadymka, tworząc grube czapy na parkanach, na gzymsach, na parapetach. W oknach palą się choinki, najładniejsza, cała biała, stoi w oknie na piętrze, naprzeciwko jej domu. Kiedy wiatr przycicha, słysząc dźwięki fortepianu i śpiew, Janka zatrzymuje się przed furtką, słucha, to nie kołęda, „Za Niemen, Za Niemen”, śpiewają głosy dziewczęcy i męski, wtem cień pojawia się na firance, zarys postaci znajomej jakby, Janka odwraca się od tego widoku gwałtownie, popycha furtkę.

Nie widziała wnętrza, może by wtedy jej niepokój się uciszył, Broniek nie jest tutaj sam, w fotelu czarnym, niskim, bogato rzeźbionym, siedzi major, obok niego na taborecie w tym samym stylu – Karol, łokcie wsparł na kolanach, słucha, a może nie, bo raczej Bronka obserwuje, z wyrazem chłodnego zaciekawienia, Bronka, który nie wiadomo dlaczego stanął w oknie, niby wygląda na ulicę, ale czy nie o to chodzi, żeby wszyscy widzieli, że jest tutaj, u majora Półtorackiego, w jego salonie umeblowanym tureckimi, czy też dalmatyńskimi meblami, jak ich przedtem uprzejmie

objaśnił? Czyżby Bronkowi zaczynało się tutaj coś śnić? Kiedy Emilka skończyła pieśń, Karol mówi: „Rzeczpospolita mężczyzn, pan major kiedyś coś takiego powiedział. Bardzo nam z Bronkiem to wtedy zaimponowało” – wyrывa się z tym trochę nie à propos, bo właściwie należało powiedzieć coś jej, komplement jakiś, jednak Emilka nie zauważa nietaktu, podejmuje temat, nim zdąży to uczynić starszy pan: „Dziadek udaje antyfeministę, ale nie ożenił się tylko dlatego, bo w Polsce nie można mieć haremów jak tam, skąd przywiózł te meble”, starszy pan macha tylko ręką i odwraca się do Karola, z dłuższym wywodem. Ale chłopcy patrzą na niego obaj z wyrazem twarzy świadczącym o tym, że są myślami gdzieś indziej, daleko.

8.

1 maja. Przed świetlicą ZZK tłum granatowych mundurów, nad nim czerwone szturmówki. Wśród tłumu: Świerczyński, Pałac, Wilkosz i młody „agitator” z parowozowni, Tadek Lis. Każdy ma w ręce pierwszomajowy numer „Kolejarza-Związkowca”. Na pierwszej stronie wiersz Edwarda Szymańskiego. „Agitator” czyta go, najpierw półgłosem, dla siebie, ale że wokół zaczynają się skupiać słuchający, podnosi głos, a potem już recytuje pełną piersią, słuchających jest coraz więcej, ktoś intonuje „Krew naszą długo leją katy”, pochód zaczyna śpiewać, i z tym śpiewem rusza na pierwszomajową robotniczą manifestację.

9.

W sklepie kolonialnym i towarów mieszanych pani Bożeniowa opowiada o sukcesie syna. Zdał maturę, i to świetnie zdał, jeżeli zważyć, że miał pewne luki, bo przecież w korpusie kadetów kładziono nacisk na nieco inne przedmioty niż w liceum. Więc postanowiła urządzić dziś synowi wieczorek towarzyski dla uczczenia świadectwa dojrzałości. Będzie też to anielskie stworzenie, ta śliczna Emilia Półtoracka, która bardzo sympatyzuje z Lolem, a z Marychną rozumieją się jak dwie siostry. Zaprosiło się także kolegę Lola, tego Bronka Świerczyńskiego, który, choć ma ojca prostaka, sam jest chłopcem pocziwym, wprawdzie bez towarzyskiej ogłady, ale jej dzieci uważają te sprawy za drugorzędne wobec wartości charakteru, takie już są te dzieci, mają dobre serce i szlachetne dusze. Może ojciec poczęstuje ich kieliszkiem nalewki, skoro są już „dojrzały”, więc pani Bożeniowa robi trochę kanapek i upiecze tort orzechowy, tort orzechowy to jej specjalność, naczelnikowa za każdym razem, kiedy do niej przychodzi, bierze przepis na ten tort,

bo jeszcze ani razu jej się nie udał, i chyba nie uda się dotąd, dopóki Bożeniowa nie ofiaruje się dopilnować jej podczas roboty, żeby wyłapać błąd.

Do sklepu wchodzi młody, niewiele ponad trzydziestkę liczący mężczyzna, bardzo jednak wymizerowany, prowadząc za rękę kilkuletniego bosego chłopczyka. Prosi o ćwiartkę chleba i 10 deko marmolady, a widząc taksujące spojrzenie kupca, wyjmując z kieszeni jakieś drobnaki i pokazuje. Sprzedawca bierze najpierw pieniądze, potem wydaje towar. Mężczyzna prosi o nóż i podczas kiedy pani Bożeniowa roztacza przed zasłuchanymi kobietami tajemnice dobrego tortu orzechowego, on rozkrawa chleb, smaruje marmoladą i podaje dziecku, a ono je łapczywie. Mężczyzna oddaje nóż, dziękuje, po czym, nie bez wahania, pyta, czy przypadkiem u wielomego pana nie trzeba czegoś zrobić, skopać albo przepieścić ogródek, uporządkować coś, poprawić. Właściciel odpowiada przecząco, wtedy mężczyzna pyta, czy może wie o kim, kto potrzebowałby kogoś do takiej roboty: bo nie ma jak zarobić nawet tej złotówki, a dziecko bez butów... Ale zamiast odpowiedzi widzi umykające, spłoszone spojrzenie, więc wychodzi, biorąc dziecko za rękę. Po czym w sieni najbliższego domu śpiewa piosenkę bezrobotnych: „Nie ma chleba, a żyć trzeba, robotnika marny los...”.

10.

Adapter czeka na uruchomienie, obok leżą płyty, ale trzeba dotrzymać towarzystwa, rodzicom, a zwłaszcza potężnemu stryjowi z dykcji, Bożeń, w uroczystym wyjściowym mundurze nalewa z karafki do malutkich kieliszków nalewkę i wznosi toast za maturzystów, mówiąc to, skłania głowę również w stronę Bronka, który stoi sztywny i skrzepowany, bardzo nieszczególnie czuje się w tym domu i w tym towarzystwie. Panienki dopominają się też o kieliszek, ale panienki nie dostaną, najwyżej wina porzeczkowego, to nie one zdały maturę, niech poczekają na swoją porę, stryj z dykcji ściska rękę bratanka, no, tym razem nie sprawił mu zawodu, wyciąga także rękę do Bronka, słyszał o jego dobrym wpływie na Karola. Bronek jednak nie przecenia tego wpływu, po prostu Karol zechciał przysiąc fałdów i tyle, odpowiedź podoba się stryjowi i nie bez uznania przygląda się chłopcu.

Wreszcie starsi wycofują się do przyległego pokoju, Bożeniowa przeźornie pozostawia drzwi otwarte, tak, aby można było widzieć tańczących. Stryj jest ciekaw, kim jest nieznajoma panna, czy to może „przyszła” Karolka, Bożeniowej ta myśl nie jest niemiła, zaprzecza jednak, na razie Lolek jest za młody, co zaś do panny, to chodzi do gimnazjum „panien Prezentek”, co mówi samo za siebie, nie wszystkich tam przyjmują, a nazywa

się tak, jak jej dziadek stryjeczny, emerytowany major Wojska Polskiego. Nazwisko „Półtoracki” robi na stryju wrażenie, w ministerstwie jest ktoś o takim nazwisku, ktoś dosyć ważny...

Sączą nalewkę, przyglądają się tańczącym. Są tu dwie koleżanki Marychny i dwóch młodych ludzi, prócz Bronka i Karola. Karol tańczy z Emilią, tylko Bronek jest bez pary, stoi przy adapterze, przegląda płyty. Czasem podnosi wzrok i wówczas jego spojrzenie natyka się na spojrzenie Emilki. Zawsze, kiedy tylko podniesie oczy, spotyka jej spojrzenie.

11.

Stali bywalcy kręgielni pana Kwiatkowskiego mają dzisiaj nie lada sensację: do kręgielni przyszedł ten odludek, kutwa i dziwak, Świerczyński Antek, ale nie dosyć tego: przyszedł nie sam, a w towarzystwie figury w miasteczku nowej i budzącej powszechne zaciekawienie ze względu na wyciągniętą jak struna sylwetkę, podkręcany wąsik i laseczkę z kościanną gąlką. Sensację wzmacnia dodatkowo fakt, że major zwraca się do Świerczyńskiego per „kochany panie Antoni” albo nawet w chwili szczególnego podniecenia, kiedy Świerczyński zbił za jednym razem cztery bale „Antek, ty bestio!”. Przebrnęli już kilka partii, teraz starszy pan prosi Świerczyńskiego na piwko, siedzą, popijają, major wielce rad z życia, nareszcie mają kawalerski wieczór, kręgielki, piwko, nic lepszego nie mógł zrobić major, niż odmówić pójścia do tych Bożeniów, a nastawała Emilia, a jakże, ale co jego obchodzą jacyś ludzie, których nie zna, towarzystwa szuka sobie sam i potrafi sobie dobrać, a co to właściwie za jeden, ten Bożeń? Świerczyński nie kwapi się z udzieleniem wyjaśnień, dopiero po którymś razie mówi, że maszynista, to dziwi majora, myślał, że Bóg wie kto, bo dom podobno mają wystawny, więc Świerczyński objaśnia, że maszynista ze złotym paskiem. To coś jak oficerstwo i cała reszta, komentuje major, Świerczyński bez słowa potwierdza, wtedy major pochyla się ku niemu, otwartą dłońią wali w ramię: „A pan jest dla mnie oficerem, panie Antoni, właśnie pan, nie kto inny” gromko obwieszcza, aż oglądają się kolejkarze od innych stolików i pan Kwiatkowski zerka czujnie znad bufetu, „A będzie pan wyższym oficerem, jak pan zaśpiewa to o rybeczkach”, Świerczyński wytrzeszcza oczy, skąd major wie o tej śpiewce, major macha ręką, nieważne skąd wie, ważne, że piosenka jest przednia, tak właśnie się wyraża, że „przednia”, bardziej przednia niż sam „przedni turecki”, który zresztą on przedkłada nad „najprzedniejszy”, wyjmując papierośnicę i częstuje Świerczyńskiego własnej roboty papierosami, ludzie niemieją ze zdumienia, papierośnica jest złota

albo pozłacana, bo bije od niej blask jak od monstrancji. Major obraca się ku bufetowi, uśmiechniętemu z gotowością panu Kwiatkowskiemu pokazuje na palcach jeszcze dwa, ten podbiega w lansadach, nalewa piwo z zastosowaniem wszystkich sztuczek, żeby kożuszek kipiał jak na obrazkach reklamowych, nalewając, pyta Świerczyńskiego, jak tam syn, czy zdał, „Panie, czy zdał!” – oburza się za Świerczyńskiego major – „to chwał, takiego syna to bym chciał mieć, panie Antoni, chce pan, to go adoptuję, to znaczy usynowię, nie, zabiorę go panu, ale obaj będziemy ojcami”, Świerczyński śmieje się już całą gębą, rozgłośnię, całkowite w nim rozluźnienie, radość prawdziwa, spontaniczna, major wznosi kufel „Zdrowie pańskiego syna”, Świerczyński dziękuje, bierze kufel i w tym jakimś podniesieniu uczuć intonuje: „Są w stawie rybeczki”, podochocony major wtóruje mu wedle najlepszej woli i chęci, gracze odchodzą od kręgla, żeby zobaczyć co to za niezwykły duet.

12.

Karola wezwano na rozmowę do starszych: stryj może mu załatwić przyjęcie do pracy na kolej, oczywiście na staż dla asystentów czy dla adiunktów, „A Bronek?” – chce wiedzieć Karol, co wywołuje niezadowolone Bożenia, czy i teraz Karol nie może się obejść bez Bronka?

Bronek tańczy z Emilią, to ona go poprosiła, wyraża mu teraz swoje zdziwienie: czy gdyby nie jej brawurowy wyczyn, nie zatańczyłby z nią tego wieczoru w ogóle? Chłopak nie wie, co odpowiedzieć, bąka coś, że się nie składało, bo Karol zawsze go uprzedzał, to jej nie przekonuje, przecież Bronek wyraźnie czekał, żeby go uprzedzono, dlaczego, smutnieje wobec milczenia Bronka. „Przesadzacie wy obaj – stwierdza – będąc w towarzystwie jednego, myśli się o drugim, to już przesada, powinienes to przełamać, dlaczego nie próbujesz nigdy być ze mną sam?”. „On też tego nie próbuje” – mówi Bronek, dziewczyna nie zaprzecza, ale i nie potwierdza, przygląda się Bronkowi, „Nie chciałabym się w tobie zakochać” – oznajmia wreszcie, to go zadziwia, „Daję Karolowi pierwszeństwo” – próbuje zażartować, ale dziewczyna czuje się urażona, „Tak bardzo mu wierzysz?” – pyta.

13.

Czerwcową noc, księżyc dość wysoko, w jego świetle bieleje tłuczniowa nawierzchnia ulicy Czereśniowej, rzadkie latarnie tworzą na niej strefy blasku, cienie ich trojga w tych strefach to skracają się, to wydłużają. Ulica Czereśniowa już śpi, w żadnym z domów nie pali się światło ani nie słychać

muzyki radiowej. Idą, milcząc, milczenie narzuciła dziewczyna, która wyszła od Bożeniów bez humoru, zamyślona i nieskora do rozmowy. Przed furtką domu Emilii żegnają się z nią, w oknie pali się światło, to dziadek czeka. Dziewczyna znika w bramie domu, Bronek wyciąga rękę do Karola, ten jednak chce i jego odprowadzić. „Czemuś z nią nie tańczył?” – pyta po chwili milczenia. „Nie mogliśmy obaj” – odpowiada Bronek. „Mogłem nie tańczyć” – deklaruje Karol. „Mogłeś?” – to nie brzmi niedowierzająco, jest raczej prośbą o powtórzenie deklaracji. „Mogłeś ty, mógłbym i ja”. Przystaje raptem: „Ona ci się podoba?”. „Nie” – mówi Bronek bez chwili wahania. „A tobie?”. „Mnie też nie” – oświadcza Karol. „Powiesz, gdyby kiedyś, coś...”. „Jasne”. „I ty też?”. „To się rozumie”. Idą, bardzo z siebie nawzajem zadowoleni, tak się załatwia te sprawy między mężczyznami, oni naprawdę nimi są, między nimi nie będzie nigdy rozdźwięków z powodu bab, co to, to nie. I znowu w pewnej chwili Karol przystaje, otóż byłby zapomniał o najważniejszym, stryjasek z dyrekcji załatwi dla nich przyjęcie na staż na kolei. I jest nad wyraz dotknięty, obrażony nieomal, kiedy Bronek, dziękując zresztą szczerze, zastrzega się, że nie postanowił jeszcze, co robić dalej. Bo marzy mu się pójść na polibudę, konkretnie na chemię. Może by przecież mógł wystarać się w Rodzinie Kolejowej o pokrywanie opłat za chesne, ojciec płaci składkę „na rodzinę”, jak każdy kolejarz, a korepetycjami zarobiłby sobie na ubranie i pomoce naukowe? Mówiąc tak, nie patrzy na Karola, na którego twarzy maluje się żal, zdziwienie, uraza, żadne jednak z tych uczuć nie znajduje odzwierciedlenia w słowach – nie dbałych, zabarwionych kpina: no cóż, widać z tego, że Bronek zapomniał „rzeczpospolitą mężczyzn” pana majora, zapomniał albo zlekceważył, albo może nawet zdradził? Teraz Bronek zatrzymuje się w pół kroku, na gły uśmiech rozjaśnia mu twarz, wali kolegę w plecy, ten mu niezwłocznie oddaje i odbiega, Bronek puszcza się za nim w pogoń. Bawią się na pustej, światłem księżycza zalanej ulicy.

14.

Tak więc nadal uczą się razem. Szczęśliwie udało im się dostać do tej samej Szkoły Podchorążych Rezerwy, śpią prycza w pryczę, na wykładach siedzą obok siebie, na zajęciach i w marszach idą ramię przy ramieniu. Listy do Emilii pisze Karol, ale redagują je wspólnie i podpisują: Karol, Bronek. Nigdy żaden z nich nie napisał do dziewczyny tylko od siebie, we własnym imieniu, więc i ona zaakceptowała tę grę, chociaż listy adresowane są do Karola, skierowane są do nich obu. Po kilku miesiącach przyjeżdżają

do domu na krótki urlop. Przyjeżdżają w tym samym czasie. Dorodni, w swych mundurach podchorążaków, kroczą dziarsko ulicą Czereśniową we dwóch albo u boku panny Emilii, jeden po lewej, drugi po prawej stronie. Ludzie śledzą ich z okien, a w sklepiu kolonialnym pani Grolinńskiej kobiety pytają z troską: co to z tego wyniknie?

15.

Szybko minął rok podchorążówki i oto znów są w cywilu. W cywilu i na kolei. Karol odbywa staż na dużej węzłowej stacji, Bronek na nieco mniejszej i bardziej oddalonej od miejsca zamieszkania, co zresztą uważa za zrozumiałe. Trudno przecież wymagać od stryja Karola, żeby zrobił na odwrót, odpowiada spokojnie na cierpkie, choć rzadkie uwagi ojca. Niezależnie od rangi stacji, Bronek jest zadowolony ze stosunków pracy. Koledzy rekrutują się z takich jak on, zwierzchnicy interesują się wyłącznie wynikami w pracy, koligacje, protekcje i tym podobne względy, grające rolę w środowisku, w którym znalazł się Karol, więc uprzywilejowanym, na stacji Bronka zupełnie odpadają. A że nieco dłużej trwa dojazd do pracy? Co mu to szkodzi? Czas spędzony w pociągu także można wykorzystać – trzy miesiące to całkiem niewiele, aby się przygotować do egzaminu asystenckiego.

Karolowi staż przebiega też, jeśli nie lepiej (nigdy nie był kujonem i myśli o egzaminie odsuwa jak może najdalej), to ciekawiej. Życie dworca, na którym zatrzymują się ekspresy międzynarodowe, ma swoją atmosferę, czar i blichtr wielkiego świata. O ile tylko służba mu na to pozwala, lubi Karol wychodzić z biura zawiadowcy na peron, zaglądać w okna slipingów, a jeśli zdarza się okazja, to i w oczy ich wytwornych pasażerek. Kiedy zdarzało się, że ekspres miał prowadzić Bożeń, pozwalano Karolowi odprawić pociąg. Doznawał w takich chwilach szczególnego uczucia – mieszaniny dumy, synowskiego przywiązania i poczucia zawodowej więzi – na widok ojca w białych rękawiczkach, tkwiącego dumnie w oknie wspaniałego parowozu niczym kapitan na moście kapitańskim. Wystudiowanym, wielokrotnie w domu ćwiczonym ruchem unosi Karol rękę, a gest ten powtarza kierownik pociągu i konduktorzy jeden po drugim, rozlega się gromkie, kilkakrotnie „odjazd”, parowóz rusza. Wtedy Karol przykłada rękę do czapki, tak samo salutuje Bożeń z wysokości parowozu, odległość między nimi powiększa się, wstęga okien przesuwa się przed oczami Karola, tyle okien, tyle twarzy – świat.

16.

Wrześniowe słońce łagodnym, przymglonym nieco blaskiem wypełnia ogródek Świerczyńskiego. Zaskoczonym oczom powracającego z pracy Bronka ukazuje się pod jabłónką towarzystwo z trzech osób złożone, Emilia pochylona nad albumem rodzinnych fotografii Świerczyńskich. Dziewczyna po swojemu odczytuje jego zdziwienie i zmieszanie: zapewne Bronek pomyślał w tej chwili o Karolu, o tym, czy nie dopuszcza się zdrady, tym przykrzejszej, że mimowolnej? Bronek przemilcza tę złośliwość, przysiadł do nich, lecz nie może się odnaleźć w nowej zupełnie sytuacji, nie uczestniczy niemal w rozmowie. Zresztą major ze Świerczyńskim nie oczekują od nich uczestnictwa, wystarczają sobie w zupełności, rozmawiają o zbliżającej się wojnie. Młodzi znajdują się poza zasięgiem ich zainteresowania, tkwią naprzeciw siebie wyizolowani i samotni, i nie mają o czym mówić czy też może boją się zacząć mówić? Raz i drugi ich spojrzenia spotykają się i odwracają od siebie, wreszcie Emilia przerywa milczenie, ale chyba tylko po to, żeby je bardziej jeszcze pogłębić: „Wiesz, odkąd cię pamiętam? Od tego dnia, kiedy tu przyjechałam z dziadkiem pierwszy raz, żeby obejrzeć mieszkanie, byłam wtedy w sklepie, a ty kupowałeś zeszyt, i z ulicy słyszał było marsza żałobnego, bo chowano jakiegoś kolejarza: spojrzałeś na mnie w pewnej chwili i odwróciłeś oczy, tak właśnie jak teraz. Czy tak będzie zawsze?”. Czekając odpowiedzi, z odrobiną smutku w uśmiechu, wtem gaśnie w oczach łagodne światło, coś ironicznego pojawia się w wyrazie ust; skrzypnięcie furtki zwiastuje czyjeś przyjście – na ścieżkę wkracza Karol. Nie okazuje zdziwienia, w sposób swobodny i naturalny włącza się do rozmowy starszych, jak gdyby dla tej właśnie rozmowy tutaj przyszedł. To przywraca Bronkowi poczucie równowagi, wita Karola z ulgą i wdzięcznością.

17.

Obdarowani bukietem „ukraińskich” georginii major z wnuczką odchodzą. Chłopcy wracają od furtki milcząc, a kiedy Bronek zaczyna tłumaczyć, że majora z córką zastał u ojca, kiedy wrócił z pracy, ten macha tylko ręką. Czy warto o tym mówić? Tym niemniej jednak Bronek, wręczywszy mu w domu notatki, po które Karol przyszedł, raz jeszcze powraca do tej sprawy: bo nie chciałby, żeby Karol myślał, że on za jego plecami coś z nią... Karol jednak i teraz nie pozwala mu dokończyć myśli. Czy nie zawarli kiedyś umowy, że każdy z nich powie drugiemu otwarcie, gdyby ich stosunek do dziewczyny uległ zmianie? Karol za bardzo ceni słowo przyjaciela, zbyt poważnie traktuje umowy między nimi, żeby miał mieć jakieś

wątpliwości. Poza tym nie uważa, aby właśnie Emilka mogła stać się wybranką któregoś z nich. Bo co w niej właściwie jest? Miła dziewczyna, nawet inteligentna, ale takich i nawet bardziej inteligentnych od niej, jest dużo. To ośmiela Bronka do postawienia pytania: więc Karol nie jest nią zainteresowany? Karol zaprzecza. A dlaczego Bronek o to pyta? Czy może on jest w niej zakochany?... Bronek nie od razu odpowiada, waży coś w sobie, kontroluje solennie swoje uczucia, wreszcie uśmiecha się do kolegi: nie, on też nie jest zainteresowany Emilką, w każdym razie nic do niej nie czuje...

18.

Wszelako dzieje się coś, czemu zapobiec nie potrafi. Po tej pierwszej wizycie Emilia nie raz jeszcze zachodzi do ich domu, oczywiście w towarzystwie dziadka, ale to w oczach miasteczka raczej ugruntowuje domysły na temat wykluwającego się związku, niż im zaprzecza. Klientki sklepu kolonialnego przy ulicy Czereśniowej przyniosły nowinę do sklepu pana Kwiatkowskiego, a tam już postarano się, aby w odpowiedniej formie podać ją do wiadomości pani Bożeniowej. Była to niewinna zemsta za te wszystkie opowieści, których musiały wysłuchiwać na temat niezwykłych dzieci państwa Bożeńiów, a zwłaszcza Loleczka, w którym tak beznadziejnie kocha się ten anioł, ta biedna sierota, ofiara rewolucji, w której wyniku straciła nie tylko rozległe włości na Ukrainie, ale i rodziców. Jakże więc było nie poczęstować Bożeniowej smaczną nowinką, że stary major Półtoracki godzinami przesiaduje wraz ze swoją wnuczką w domu tego prostaka Świerczyńskiego? Bronek rozumie, że Karol musi wiedzieć, w miasteczku przecież nic ukryć się nie może. Męczy się z tym i szamocze, tym bardziej że Karol o nic nie pyta. Zachowuje się tak, jakby wszystko było po dawnemu, tylko, kiedy się znajdują we troje z Emilią, patrzy czasem na nich, przenosząc spojrzenie z jednego na drugie, z nieokreślonym, ledwie dostrzegalnym uśmieszkiem, jak gdyby go coś w nich bawiło czy zastanawiało. W takich chwilach Bronek gotów byłby zostawić ich i odejść, tak niegodnie czuje się wobec Karola. Ale kiedy przez kilka dni, wracając z pracy do domu, nie zastaje majora z Emilką, z trudem powstrzymuje się od pytania ojca, czy byli, czy już poszli. Innym jednak razem, kiedy dostrzeże ich przez okno, zawraca od furtki, najbliższym pociągami jedzie na stację do Karola i pozostaje tutaj tak długo, aż ten skończy służbę. Wracają potem razem, i jak kiedyś w wagonie „dla młodzieży szkolnej” mają sobie znowu dużo do opowiedzenia.

19.

Jest grudzień, roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. W DOKP odbywa się egzamin stażystów na tytuł asystenta ruchu. Bronek wciąż zwleka z wejściem do sali egzaminacyjnej, czeka na Karola. Decyduje się w końcu zadzwonić na dworzec, do biura Karola, ale tam się dziwią: Bożeń miał noc i teraz powinien być w domu. Egzamin? Niech się kolega nie martwi jego egzaminem. Nie zda dzisiaj, to zda kiedy indziej. Bożenia nie utracą, nie ma strachu. Więc Bronek już nie czeka dłużej, zgłasza się przed komisję. Egzamin zdaje bardzo dobrze, członkowie komisji gratulują mu, radzą zrobić jeszcze staż adiunkta, skoro tak mu dobrze idzie.

20.

Świerczyńskiego nie ma w domu, mimo że pora jest popołudniowa i dniówkowi wrócili z parowozowni. Ale Bronek wie, gdzie go szukać, idzie na stację, do lampiarni, gdzie gromadzi się zawsze towarzystwo, nieskore do powrotu do domu – gadułów, bajarzy, jak i tych, co po skończonej służbie muszą czekać na pociąg, żeby się dostać do domu. Okres jest przedświąteczny i w lampiarni odbywa się przy okazji prawdziwy rynek: ten przywiózł kilkanaście kilogramów wiejskiej kiełbasy, ów z Zaleszczyk włoskie orzechy, ktoś inny małe, czerwone jabłuszka na choinkę. Nie brakuje też choinek. Magazynier lampiarni przepędza całe bractwo z kąta w kąt, przeszkadzają mu, a tu co chwila przychodzi ktoś ze stacji, konduktorzy zdający służbę zwracają latarki konduktorskie, inni je biorą, przychodzą zwrotniczowie, przynosząc ciężkie latarnie torowe, tu wymiana szkiełka, bo pękło, tu coś innego.

Świerczyński nie spodziewał się syna tak wcześnie, myślał, że po egzaminie pójdzie gdzieś na kieliszek z Karolem, nie trzeba mu pytać, jedno spojrzenie na Bronka wystarczy mu, żeby widzieć, że synowi się powiodło na egzaminie, kolejarze przysłuchują się z życzliwym zainteresowaniem ich wymianie zdań: „to co, będzie czerwony pasek?” – mówią. „Co teraz z tej nauki, wojna wisi w powietrzu” – mówi Wilkosz, który także przyszedł po latarnie. „Podczas wojny kolej też będzie potrzebna, i to przede wszystkim” – zauważa ktoś, ale jakaś pośepność zaciążyła nagle wszystkim.

Pada wątył, mokry śnieżek i zaraz topnieje, kiedy wychodzą, Bronek z niewielką choinką na ramieniu. „A jak poszło Lolkowi?” – po pewnym wahaniu decyduje się zapytać Świerczyński i jest prawie zaniepokojony wiadomością, że Karol wcale się nie stawił. Wtedy Bronek zauważa: „Bożeń nie musi zdawać egzaminów, żeby pracować i awansować” i w tej samej

chwili, widząc aprobujące spojrzenie ojca, uświadamia sobie, że powiedział coś przeciw przyjacielowi i przyjaźni, więc przestraszony dodaje pośpieszenie, że Karol będzie zdawał w innym terminie. Ale tego, co się stało, już odwrócić nie może: po raz pierwszy, mówiąc o przyjacielu, powiedział „Bożeń”.

21.

„Kocham Bronka i będę walczyć o niego” – mówi Emilka. Siedzą w saloniku z dziwnymi tureckimi meblami, Karol bawi się zapalniczką, dlaczego jej się wydaje, że musi o Bronka aż „walczyć”, ironizuje, wystarczy, żeby wiedział to, co ona powiedziała jemu, Karolowi. A może on już to wie? Emilka zaprzecza, nie wie, nie domyśla się nawet, lojalność, fałszywie zresztą jej zdaniem pojęta, wobec Karola czyni go głuchym i ślepym, i dlatego Karol, jeżeli jest naprawdę jego przyjacielem, powinien mu tę lojalność w cudzysłowie wyperswadować, powinien mu otworzyć oczy, takie układy może mają rację bytu w szczenięcych latach, ale między ludźmi dojrzałymi, między mężczyznami jest to śmieszne, dziwaczne... Dziwacznych rzeczy żąda od niego Emilka, odpowiada Karol, nie po to, myślał, zaprosiła go dzisiaj do siebie, jego samego bez Bronka, śmieje się z siebie, ze swoich nadziei, Emilka nie chce zrozumieć aluzji, w jego wyznaniu zauważa tylko to, że Karol zaproszenie przyjął, czego nie zrobił dotychczas Bronek, czego by nie zrobił, skrępowany tym poczuciem lojalności, które mu Karol narzucił, sam nie będąc lojalnym, ani trochę takim nie będąc, śmiech Karola gaśnie, Bronek nie musiał czekać jej zaproszenia, skoro sama do niego przychodziła, ułatwiała mu przecież zadanie jak potrafiła, i jeszcze nic nie wskórała? W takim razie może szkoda trudu, może ona Bronka po prostu nie interesuje? „Więc nie chcesz mi pomóc? Ani mnie, ani jemu?” – tyle tylko odczytuje z jego słów Emilka, on zaprzecza skinieniem głowy, podnosi się, idąc do drzwi, mówi: „Nie oczekuj ode mnie, abym się do tego mieszał. Ale walcz, nie przeszkadzam”.

22.

W kwietniu roku 1938 Karol zdaje wreszcie egzamin asystencki. Zbiega się to z terminem egzaminu Bronka, który zdaje na stopień adiunkta. Wychodzą z dyrekcji razem, a wieczorem spotykają się w lokalu, aby uczcić fakt wcielenia do kolei. Karol zaprosił dwóch kolegów ze swojego biura, Bronek kolegę od siebie, znalazły się również trzy dziewczyny. Nie było jednak wśród nich Emilki. Naradzając się nad zaproszeniem dziewcząt, żaden

z przyjaciół nie wypowiedział jej imienia. Jak gdyby się umówili co do tego, że należy ją wykluczyć, tylko z czego? Ze wspólnych zabaw, z rozmów czy też może i ze swojego życia?

Przebieg wieczoru zresztą zdawał się potwierdzać celowość tej decyzji: poculi się rozluźnieni, swobodni, bliscy sobie w sposób naturalny, nie zaś wyrozumowany, wręcz fatalny, jak to już ostatnio obaj zaczęli odczuwać. W miarę spełnianych toastów to Karol, to Broniek sięgał do wspomnień z lat szkolnych czy gimnazjalnych. Czasem przysłuchiwało się całe towarzystwo, ale częściej oni dwaj je sobie opowiadali nawzajem, uzupełniając je, komentując i zaśmiewając się, jak by było z czego. Owszem, tańczyli również, prawili komplementy dziewczynom, umizgiwali się do nich i byli w tym spontaniczni, jak we wszystkim, co robili tego wieczoru. „Mój przyjaciel” – w ten sposób na początku wieczoru przedstawił Bronka towarzystwu Karol, i mówił tak za każdym razem, kiedy po prostu mógł użyć jego imienia. Ale i to wydawało się Bronkowi, jak wszystko tego wieczoru, naturalne.

Dotrwali do zamknięcia lokalu. Tuż przed opuszczeniem go, kiedy podnieśli kieliszki na „strzeziennego”, Karol wzniosł oryginalny toast za „rzeczpospolitą mężczyzn”. „Co?” – zdziwił się resztką świadomości jeden z mocno podpitych kolegów. „Niech żyje rzeczpospolita mężczyzn” – powiedział Karol, stukając kieliszkiem o kieliszek Bronka, na co ten z najwyższą ochotą zawołał: „Niech żyje!”.

23.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Obaj dostali przydział stacji, przy czym Broniek, posiadając wyższy stopień przygotowania, dostał skierowanie na stację ważniejszą, „lepszą”, jak mówią wśród kolejarzy. Jednak, kiedy w wyznaczonym dniu zgłosił się tam do służby, powiedziano mu, że był telefon z dyrekcji wzywający go niezwłocznie do stawienia się w wydziale personalnym. Tam zakomunikowano mu, bez zbędnych słów, że jego przydział się anuluje. Nastąpiła z tym bowiem pomyłka, w tym samym dniu i ten sam urzędnik wypisywał nominacje dla niego i dla Karola Bożenia. Ów urzędnik pomylił się, na skierowaniu Świerczyńskiego wpisując stację przeznaczoną dla Bożenia. Otóż dzisiaj Świerczyński otrzyma właściwe skierowanie, a od jutra może objąć służbę na nowej stacji. Z początku nie rozumiał. Próbował dyskutować: nieporozumienie nastąpiło chyba raczej teraz, bo przecież to on ma stopień adiunkta, nie Bożeń, więc według pragmatyki... Ale odpowiedziano mu sucho, że taka jest decyzja

władz wyższych. Dopiero wówczas pojął. I powiedział: „Nie. Nie przyjmuję tej stacji”. Kierownik wydziału personalnego nie ukrywał zdziwienia: oczywiście, pan Świerczyński może napisać odwołanie, ale on radzi mu się zastanowić. Jest to przecież także samodzielna placówka i z pewnością, po jakimś czasie, pan Świerczyński może się dostać na stację odpowiedniej rangi...

Nawet nie dosłuchał, tak mu było śpieszno do Karola, do wyjaśnień. Ale w biurze kolega Karola, jeden z tych, którzy uczestniczyli w „oblewaniu” egzaminów powiedział mu, że Karol wyjechał wczoraj na kilkudniowy urlop. Chce odpocząć przed objęciem nowej stacji. Nawet nie wiedzą, dokąd wyjechał. Dopiero teraz poczuł się jak rozdzielony obuchem. Stał bezmyślnie przed biurem zawiadowcy stacji, pośrodku peronu i nie widząc, gapił się na ekspres, przy którym kłębiło się życie: zajeżdżały wózki pocztowe, biegali kelnerzy z owocami i gorącymi parówkami, pokrzykiwali spoceni i śpieszący się bagażowi. Dopiero widok zawiadowcy stacji, który wyszedł na peron, aby pociąg odprawić, przywiódł go do przytomności. Poszedł na inny peron, skąd miał pociąg do siebie, do domu.

Wyszedłszy na przystanku, zawahał się: myśl o pójściu do domu wydawała mu się nie do zniesienia. I raptem, zamiast skrócić w Głogową, ruszył w górę ulicy Czereśniowej, a idąc przyspieszał kroku, coraz bardziej i bardziej, tak że w końcu biegł. Pierwszy raz, niezaproszony, przyszedł do domu Emilki sam, bez towarzystwa Karola. Zastukał i czekał, wspierając się o framugę, wyczerpany i biegiem, i samym aktem przyjścia tutaj. Kiedy go zobaczyła, z jej ust wyrwało się coś na kształt okrzyku czy szlochu. Na moment przywarła głową do jego piersi, po czym wciągnęła go do przedpokoju. „Przejrzałeś” – powiedziała, bardzo błada. Skinął głową. W jego oczach zobaczyła wyraz, którego nie знаła, ale który odczytała jako wściekłość.

24.

Ale wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, a tym bardziej pogodzić się. Napisał odwołanie i czekał. Cekał także na powrót Karola z urlopu. Mówił: on nie mógł tego wymyślić, to ci starzy, ojciec ze stryjem. Ale Karol wrócił i nie przyszedł ani tego dnia, ani żadnego z następnych. Natomiast Świerczyński przyniósł wiadomość, że Karol już pracuje na przydzielonej stacji.

Wówczas powiedział do Emilki: „Dlaczego tak? W taki sposób? Mógł mi przecież powiedzieć, że starzy nijak nie mogą się pogodzić z tym, żeby Bożeń dostał gorszą placówkę od Świerczyńskiego i że Karol nie może czy

nawet nie chce im się sprzeciwiać, żeby nie obrazić możnego protektora, byłoby to dla mnie jasne, machnąłbym ręką, „bierz”, tak przecież było zawsze między nami, każdy z nas z chęcią rezygnował na rzecz drugiego. Mógł zrobić cokolwiek, mógł nakłamać, ale przecież nie tak, bez słowa...”. I powiedział jeszcze, że nie ustąpi, że będzie walczył, i nawet nie tyle przeciw tej jawnej niesprawiedliwości, pogwałceniu zasad przyzwoitości, ale przeciw temu czemuś w sobie, że godził się na wszystko, będzie walczył przeciw Karolowi, przeciw temu czemuś w nim, co go skłoniło do takiego postępu, bo teraz walczyć przeciw Karolowi znaczyło walczyć o niego.

25.

Odwołanie nie poskutkowało. Usłyszał w dyrekcji, że w tej chwili wakuje tylko stacja, którą mu zaproponowano, i że zgodnie z umową, jaką zawarł z koleją, ma obowiązek podjęcia pracy. Odpowiedział na to, że nie uchyla się od dotrzymania umowy i gotów jest pracować wszędzie, tylko nie na tej stacji. Powiedziano mu w odpowiedzi, już z nieukrywaną niecierpliwością, że wakuje jeszcze posterunek dróżnika. Była to ironia, ale on uczeplił się tej możliwości, tak jakby w tym kolejnym absurdzie zobaczył jakąś dla siebie szansę.

26.

Przyjechała do niego Miła, mówiła: „To dziecinne, nie możesz obrażać się na cały świat, nikogo w ten sposób nie przekonasz o swojej racji”. Odpowiadał: „Nie rozumiesz, to sprawa honoru”. Więc płakała, a on ją pocieszał, i czasem nawet obiecywał, że to się zmieni, przecież nie będzie tu tkwił do końca życia, musi tylko zakończyć tę sprawę w swoim życiu, tę sprawę, która nosi imię „Karol”, musi się z nim rozprawić do końca. I całował ją gorąco, zachłannie, klękał przed nią i ramionami oplatał kolana, mówiąc słowa miłości i uwielbienia. Tak było czasem, ale częściej trwał w zacięłym milczeniu, słuchając jej perswazji i wyglądał tak, jak gdyby wiele go kosztowało, żeby w tym wszystkim trwać.

Przyjeżdżał ojciec. Ten nic nie tłumaczył, nie perswadował, przywoził nowiny. W miasteczku mówi się, że Karol zemścił się w ten sposób za Emilkę, za to, że ona nie jego wybrała. Mówił: „Ożeń się z nią, będziecie kwit”. Ale Bronek potrząsał tylko głową: wtedy tamten poczułby się rzeczywiście skwitowany, a do tego Bronek nie chce dopuścić. Skwitowani będą wtedy dopiero, kiedy Bożeń zrozumie i przyzna, że zrobił mu zwykle, ordynarne świństwo. I Bronek będzie tu trwał dotąd, aż Bożeń przyjedzie i powie te

słowa: „Zrobiłem ci świństwo, stary”. Więc ojciec odjeżdżał. Bardziej pochylony, zapadnięty w sobie niż przed godziną, kiedy wysiadał na najbliższej stacji, aby wracając wzdłuż toru, dojść do budki dróżnika.

27.

Sława dziwnego dróżnika z cenzusem rozeszła się po wszystkich stacjach dyrekcji. Do lasu zaczęły przyjeżdżać na majówkę panie młodsze i starsze, żadne zobaczenia i poznanie bohatera niezwyklej historii, a czasem żadne i czegoś więcej. Przyglądał im się z zadziwieniem, aż któregoś dnia uczynił to, czego od niego oczekiwano. Szczęśliwa „przypadkowa” została u niego na noc. A odjeżdżając nazajutrz powiedziała, że będzie przyjeżdżać. Zgodził się. Nie wiedział kim jest, jak się nazywa, ani nawet jak ma na imię.

Tego samego dnia w oknie przejeżdżającego pociągu zobaczył Karola. Pociąg jechał wolno, nie miał bowiem wjazdu na stację. Ta chwila, kiedy wagon II klasy przesuwał się przed oczami Bronka, stojącego z chorągiewką w rękę, trwała długo. Mieli czas skrzyżować spojrzenia. Ale Karol nie uczynił gestu. Nie poznał go, chociaż na niego patrzył.

Tego samego wieczoru, po skończonej służbie, Bronek przyjechał do miasteczka. Poszedł do Emilii i powiedział jej, że jest wolna. I niech nie mówi o miłości. Nie powinno się kochać człowieka, na którego nie można liczyć. A na niego nikt i nigdy nie będzie mógł liczyć, skoro on sam na siebie liczyć nie może.

28.

Nie rezygnowała. Kiedy odwiedzał ojca, przychodziła do domu, przyjeżdżała też do jego „budy”. Nie próbowała mu już nic tłumaczyć, godziła się na takiego, jakim był, na stan, jaki – sensownie czy bezsensownie – wybrał. Powtarzała mu tylko za każdym razem, że go kocha. Żeby o tym pamiętał, że go kocha, i że nie ma dla niej nic ważniejszego, nic cenniejszego na świecie niż ta miłość. Ale któregoś dnia, zamiast odpowiedzi na wyznanie, usłyszała, czy to możliwe, żeby jeszcze nie przespała się z Karolem. Nie odrzekła na to nic. Odeszła.

29.

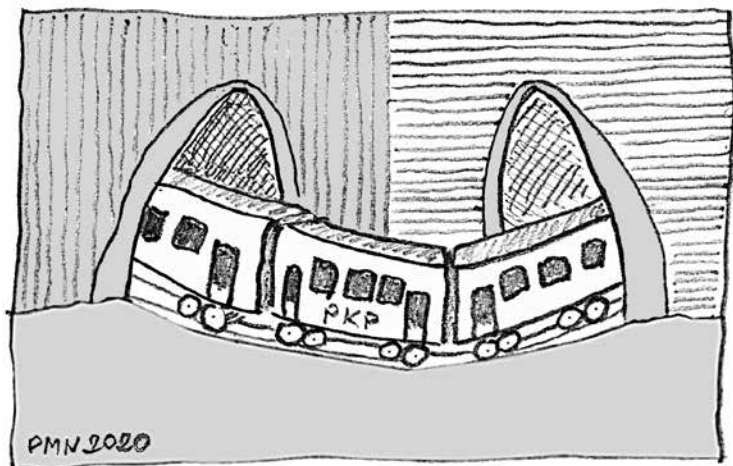
Tego wieczoru oddała się Karolowi. Zaskoczony tym nieoczekiwanym spełnieniem, zachwycony i triumfujący zapytał, dlaczego tak go dręczyła. Nie musiała przecież udawać miłości do Bronka, żeby wzbudzić jego

uczucie. Odpowiedziała, że chciała to zrobić z Bronkiem, ale w końcu przecież Bronek i on to jedno, więc to było tak, jakby Bronkowi się oddała. Wówczas uderzył ją w twarz.

30.

Pierwszy września, godzina jedenasta.

Na szosie, jednej z tych szos, nazwanych później „zaleszczyckimi”, stoi Janka w swoim strzeleckim mundurze i strzeże mostku na kanale. Szosą ciągnie sznur obuczonych nad miarę samochodów. Niewierzącymi oczami patrzy dziewczyna na ten exodus, to są ci, co mówili, że „nie oddamy guzika”. Z okien otwartych domów płyną niezrozumiałe a przecież złowieszcze zapowiedzi: „Ko-24, przeszedł”, albo: „Nadchodzi”. Wyje syrena na alarm i ruch na szosie zamiera. Błady i zdenerwowany podchodzi do Janki maszynista Pałac: „Co tu robisz? Zbieraj się do domu”. I klnie ordynarnie, słysząc, że ma rozkaz stać tutaj i pilnować mostku przed dywersantami. Maszynista Pałac zatrzymuje komendanta miejscowego posterunku policji: „Proszę kazać temu dziecku iść do domu!” Ale ten tylko wzrusza ramionami: nie on ją tutaj postawił, nie on będzie ją zdejmował.



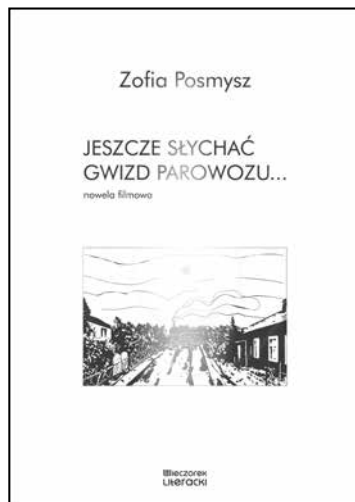
Prawda kolejowa. Rys. Piotr Müldner-Nieckowski

W tej chwili rozlega się bliski warkot samolotów i wszyscy z szosy umykają w pole. Słyszać detonacje i czarne słupy dymu wzbijają się w pobliskiej fabryce kabli. A potem przez szosę przelatuje coś jak grzechotanie ziarenek grochu w blaszanej rynnie, z przeraźliwym kwikiem skacze w górę koń zaprzężony do wozu i gna przed siebie na oślep z przewróconym wehikułem, padają biegnący ludzie, rozlegają się jęki. Janka stoi nieporuszona, nogi wrosły jej w ziemię. Znowu słyszać samoloty, Janka odzyskuje władzę w nogach, biegnie za innymi w pole, po czym, płacząc, wraca na mostek. Samoloty przepływają nisko, czarne, nad wyraz ohydne, lecz już niegroźne, bez ładunku.

Na szosie zaczyna się ruch, wolniej niż przedtem przesuwały się przed oczami Janki samochody, z pasażerami wewnątrz, którzy nie patrzą na boki, jak gdyby bali się spojrzeń ludzi. Maszynista Pałac jest znowu koło niej, z komendantem KPW. Ten rozkazuje Jance iść do domu. Ale ona wyrывa się im, rzuca się na przejeżdżający samochód, pięściami łomoc po karoserii, chwilę biegnie obok, krzyczy z płaczem: „Uciekajcie! I nie wracajcie tu nigdy!”

Zofia Posmysz

Zofia Posmysz
Jeszcze słyszać gwizd parowozu...
 Nowela filmowa
 Posłowie: Andrzej Mularczyk
 Wydawnictwo Wiedzotek Literacki
 Warszawa 2019
 Stron 108
 ISBN 978-83-954017-0-1



Krzysztof Rudziński

Z tomu opowiadań: „Nadgryzanie Gryzonii”

„Gryzipiórką” – Szkoła Pisania

Działo się to – można powiedzieć – w złotym wieku Gryzonii, kiedy podarowane mi przez naszą panią od polskiego „złote pióro”, jeszcze dobrze nie obešlo po napisaniu: „Zasnuty kłębów robacji”. Pamiętacie tę czarodziejską godzinę, po siódmej lekcji w szkole, pełną podskórnych treści – korytarze i klasy tak wymiotło, że zieją pustką, tylko gdzieś na końcu drugiego piętra trwa jeszcze, zakonspirowany głęboko, turniej *cymbergaja*, dla wyłonienia arcymistrza tej najpopularniejszej, obok *haceli*, ze wszystkich gier uczniowskich. Bywają co prawda dnie, że grają w *zoşkę*, ale ta jako najtrudniejsza ze wszystkich, już z pogranicza sztuk pięknych, gromadzi rzadszą i bardziej wyrobioną publiczność. A już prawdziwych mistrzów, nie mówiąc już o producentach najznamienitszych egzemplarzy z plomb ołowianych i wełnianej włóczki, można by policzyć, na Bielanach, na palcach u jednej ręki. W pustych klasach, pod nosem pani woźnej, trwa jeszcze w najlepsze zapach przechodni tych siedmiu długich godzin lekcyjnych, czasami przechodni i do następnego ranka, jeśli dobrze nie wywietrzy klasy.

Gdyby wyjrzeć przez okno z holu na pierwszym piętrze – naprzeciwno pokoju nauczycielskiego – widać klepisko boiska szkolnego, z toczącym się na nim, zaimprovizowanym, meczem piłkarskim, gromadzącym o tej zamarginesowej godzinie najbardziej krańcowych wyznawców piłki kopanej. A jeśli spojrzeć z okna w końcu korytarza, po wschodniej stronie szkoły, to na czarnej, żuźlowej bieżni trwa tam właśnie w najlepsze trening naszego kolegi z klasy – Andrzeja Stepki – mistrza szkoły na sześćdziesiąt metrów, przygotowującego się do spartakiady szkół żoliborskich. Ćwiczy on tak zwane wyjście z bloków startowych, czyli z najzwyklejszych dołków wykopanych w bieżni. Puszczają się mu już wąsy, a obok, mimochodem, jakby to było nic wielkiego, przędzie się cicho popołudnie.

O tej magicznej porze po siódmej lekcji, zaczynającej się niezmiennie po dzwonku, o godzinie czternastej dwadzieścia – ale jak szkoła szkołą nigdy niedochodzącej, dla mnie, do skutku, żadnym z obowiązkowych

zająć – udaję się jak zwykle korytarzem na parterze (wypełnionym, w tej chwili, kuszącymi zapachami obiadu, odgłosami ostatnich już biesiadników i zmywanych statków) do biblioteki szkolnej mieszczącej się vis-à-vis stołówki. Od czasu pamiętnego pasowania piórem jest to miejsce moich częstych kwerend po dziełach mistrzów, wstęp wolny w ogrody słowa, pierwsze klasy w szkole pisania.

Nie mogę powiedzieć, aby już wcześniej nie były mi książki bliskie. Los w tej dziedzinie uśmiechnął się bowiem do mnie jeszcze w wieku przedszkolnym, stawiając na mojej drodze życiowej wuja Micia. Niedługo przed moim urodzeniem powrócił jako inwalida wojenny z niewoli niemieckiej, w której spędził sześć lat w oflagu Woldenberg. Leżąc z niezagojoną raną nogi w naszym domu, nauczył mnie czytać kiedy miałem pięć lat, a podsuwając coraz bardziej ciekawe lektury i czytając je pospołu ze mną, rozbudził wkrótce do nich moją miłość, która z czasem miała stać się wielką.

Zdarzało się, że nie dochodząc jeszcze do drzwi biblioteki, dobiegały mnie zza rogu z sali gimnastycznej, dźwięki pianina. To Malinka Wiernicka, córka naszej wychowawczyni, przygotowywała tam pod okiem pani od WF-u własne układy choreograficzne na wspomnianą wcześniej spartakiadę sportów szkolnych. Ale ta baletowa uwertura, zamknięta in statu nascendi i pod kluczem, nie była dostępna dla takich jak ja profanów sztuki tanecznej i dlatego nie pozostawało mi nic innego, jak skrócić ku drzwiom bibliotecznym.

Przystaję na moment i zanim nacisnę wreszcie klamkę, biorę się – jak to mówią – w garść – skupiam się i poważnieję jak przed otwarciem tajemnej książki, która czeka tam, aby włączyć mnie w swoją treść, zapraszając do współtworzenia. Wypada uściślić, że to moje biblioteczne wtajemniczenie nie odbywało się bynajmniej od zera, jak to zwykło się zdarzać szkolnym pierwszorocznikom, których noga najpierw długo tu nie postawała, gdyż dopiero uczyli się czytać z elementarza – a kiedy już posiedli ów „biały pas” w sztuce czytania, ciągle jeszcze nie potrafili się znaleźć na poziomie słowa drukowanego. Ja natomiast, umiając już czytać płynnie w wieku przedszkolnym, poszedłem od razu do drugiej klasy, gdzie czułem się już zasiedziały mieszkańcem takiej, dajmy na to, *Chaty wuja Toma*, podczas gdy pierwszą z klasowych lektur, było: *Kukuryku na ręczniku* nieopierzonej jeszcze wówczas Marii Kownackiej. Porządkuję więc na sobie – naciskając klamkę – tę przywdzianą, dzieckiem w kołysce, bibliofilską szatę i oto jestem wewnątrz. Siedząca za stolikiem pani bibliotekarka zna mnie już i widocznie darzy zaufaniem, bo czasem nawet napomyka mi protekcjonalnie

o tym czy innym z przedwojennych, a teraz niedostępnych prohibitów z najwyższej półki, do której nie dociera już nie tylko żaden głos tego *Kukuryku na ręczniku*, ale nawet i lektur klas wyższych, jak choćby takiego *Timura i jego drużyny*, nie mówiąc już o tym *Jak hartowała się stal* i z niej biorące wzór charakteru. Tam to, pewnego razu, zachodząc nieświadomie za ostatnie regały – u schyłku pierwszej spędzonej tutaj przeze mnie zimy – dałem się uprowadzić i ponieść bardzo daleko niejakiemu Edwardowi Sztorchowi z Ostromierza i jego *Łowcom mamutów*, polując z nimi w tundrze prehistorycznych Czech i Moraw; aby wczesną wiosną być już po słowie z *Łowcami wilków* Curwooda, czy na preriach z *Małym Bizonem*. Czasami jakieś nadzwyczajne, nadprogramowe wydarzenie wytrącało mi książkę z ręki, a nawet i mnie samego z równowagi kolejnych dni w majątku Marii Rodziewiczówny na Polesiu, spędzanego z nią *Lata leśnych ludzi* – a bywał to, na przykład, nie ktoś pierwszy z brzegu, ale powszechnie znany w naszej szkole Jaś Kiełbasiński, który przyjeżdżał do nas prosto z teatru lalek: *Baj* czy *Guliwer*. Bywał zwykle świetnie poinformowany w najważniejszych sprawach szkoły – tak że podejrzewałem go o współpracę z jakąś naszą lokalną, szkolną wtyczką. Sypał jak z rękawa nazwiskami, kto jak się uczy i co ostatnio zmalował na terenie szkoły lub poza nim, i były to niejednokrotnie wiadomości bardziej szczegółowe od tych będących w obiegu w naszej klasie.

Wszystko to jednak były, jak się miało okazać, tylko przejściowe, tymczasowe koczowiska – obozowiska prowizoryczne i sezonowe, bo kiedy pewnego dnia spomiędzy pólek pani bibliotekarka przyniosła mi pachnący nowością egzemplarz – wznowionych właśnie na fali „październikowej odwilży” – przedwojennych *Sklepów cynamonowych*, zabłądziłem w nich na kilka miesięcy. To w ogóle mało powiedziane, gdyż prawdę mówiąc, nigdy już ich w rzeczywistości nie opuściłem, zamieszkując odtąd na stałe; i nawet wiele lat później *Sto lat samotności* nie potrafiło dokonać spustoszenia w ich pachnących cynamonowo – a wyłożonych ciemną boazerią tej egzotycznej barwy – wnętrzach. Nikt wówczas nie pomyślał jeszcze, aby z nich uczynić miejsce obowiązkowej lektury szkolnej, ale dla mnie stały się odtąd – w istocie, niekończącym się ogrodem Kaliopie.

Dlatego w takie dni jak dzisiejszy, po siódmej lekcji, kiedy w bibliotece nie ma już nikogo, łatwiej mi będzie niepostrzeżenie przypisać i między bajki włożyć jedno z tych zdarzeń dziejących się między półkami – niejako na marginesie głównego nurtu – a które ze względu na miejsce i czas, należy zaliczyć do rzędu najpokątniejszych w dziejach tutejszej biblioteki.

Wchodzę tedy, gotowy na wszystko, pomiędzy książki wypełniające szczerlnie półki regałów. Wystarczy mi pierwsza lepsza z brzegu, by od niej zacząć i (tak jak nas uczyła pani od polskiego) – znajdując w niej dla siebie wolne miejsce, dowolną lukę (dopisuję jej swój własny wątek – własny ciąg dalszy, dzieląc narrację na wstęp, rozwinięcie tematu i zakończenie), nic dodać, nic ująć – klasyczna szkoła pisania. Znajduję sobie choćby dowolny wakat, czasem frontysepis, ale tylko tak, byle pióro oprzeć i... nie należy oczywiście rozumieć tego dosłownie – daleki jestem od propagowania takiego popisywania tu i tam po marginesach książek, nawet skończonych arcydzieł. Uważałbym to za najzwyczajszą i niegodną pisarza – marginalizację – nie mówiąc już o archaizmie takiego postępowania w dojrzałej już twórczości, wobec znacznie lepszych elektronicznych możliwości redakcji tekstu. Kiedy jednak spotykam po marginesach książek te, najczęściej kreślone ołówkiem, spontaniczne glosy, pozostawiane tam ku pokrzepieniu serc żyjących w nich pokoleń *zaleszczotków* – owe lektury obowiązkowe wszystkich tych *Psołników zakamarników* i im podobnych elementarnych gryzków książkowych; te komentujące spontanicznie parentezы poprzedzających nas w tych lekturach czytelników – próżno mi opierać się wzruszeniu. Nie pochwalając, staram się je rozumieć i... mimo zastrzeżeń – czytam. Tak – jestem ich niepobieżnym, a wręcz przeciwnie, dokładnym czytelnikiem – może jak wielu z was.

Ale wystarczy jedno przeoczenie przecinka... kropki na końcu zdania... – jedno zdawałoby się najzwyczajniejsze ludzkie niedopatrzanie, czy oparcie się przez chwilę na napotkanej po drodze amfibolii, aby bez większego wysiłku znaleźć się po drugiej, niewidocznej zwykle stronie tych bezkresnych a dzikich pól do popisu, jaką tylko zdolna jest otworzyć książka dla wtajemniczających się w nią ciekawych oczu. Bo popatrz my choćby na pierwsze z brzegu napotkane zdanie – takie chociażby, dajmy na to... „Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący”,... aby na naszych oczach zaczął budować się i rozrastać w różnych kierunkach ten labirynt stających przed nami obrazów jak do apelu, spełnionych i niespełnionych dziejów ojczystych, znajdujących w nas swoje wersje i rozwiązania, pączkujące w naszej wyobraźni do niespodziewanych rozmiarów i możliwości – a wszystkie zaczerpnięte ze zdawałoby się... jednego zdania.

To znowu należy rozumieć, rzecz jasna, metaforycznie jako zgoła inny, odmienny rodzaj formy tego popisywania czysto spekulatywnego jak dla przykładu zapisywanie cyfr w rozumie, na podorędziu, do własnego użytku wewnętrznego w rachunkach szkolnych.

Tak mijały dni i miesiące moich częstych kwerend w tej bibliotece i widocznie moje wymagania rosły, dość że wśród tych wszystkich książek przestawały mi już wystarczać te pierwsze z brzegu, a wręcz przeciwnie, starałem się docierać coraz to głębiej, a w końcu brać na warsztat nie inne, jak tylko z najwyższej półki. Coraz też częściej nie znajdowałem już dla siebie miejsca między wierszami, czy na marginesach – stanowczo potrzebowałem go coraz więcej dla moich twórczych aspiracji. Szukałem książek większego formatu, z ilustracjami, gdzie było obszerniejsze i bez porównania szersze pole dla wyobraźni. Gdzie indziej znowu połykałem jak okiem sięgnąć całe to pustostowie czysto technicznych informacji, choćby takich kolofonów i na tak zaimprovizowanych powierzchniach domyślnych palimpsestów, wstawiałem własne oryginalne wątki o niespotykanych nigdzie indziej horyzontach. Dochodziło do tego precedensu, że między regałami a półkami bez skrępowania zaprzęgałem do moich na wskroś osobistych interesów panujący ustrój polityczny – korzystając z jawnej niechęci tegoż ustroju i lekceważenia przezeń reklamy. – Stąd ostatnie, czwarte strony okładek – pozbawione reklamujących książkę blurbów – dostarczały swobodnych przestrzeni Dzikich Pól, na których każda treść jako nie znosząca próżni zarastała je zaraz z nawiązką. Z drugiej zaś strony, z tęsknoty do pierwszych stron gazet, brała początek ta powszechna mania pisania, aby coś zostawić po sobie potomności, choćby tylko swym zatytuować – byle tylko zaistnieć na papierze.

Tak sobie tedy popisując na tej lub tamtej, hipotetycznej stronie w bibliotece, ani się spostrzegłem, jak ujrzałem siebie pośród literackich bikierniarzy, poetyckich pasożytniczych jemiół i bumelantów grających w zielone (była to wówczas bardzo modna, gra masowa) z Władzią Ludową. Intuicja mnie nie zawiodła, to znaczy zawiodła wprost na szary (bo dawno nie odkurzany, zapewne dla kamuflażu) kraniec biblioteki, gdzie odnalazłem, jakby oczekujący na moje pióro, przemyślnie ukryty w pustej przestrzeni podwójnych okładek jednej z przeoczonych przedwojennych opraw, dotąd nieużywany sanacyjny brulion, z prawem do wykorzystania *in blanco* przez takiego jak ja oddanego mu absolwenta powyższej szkoły pisania, co niniejszym spełniam, podpisując – jak przystało Gryzonii, przynależnym jej, moim własnym, precyzyjnym – gryzipiórkiem.

Krzysztof Rudziński

Grzegorz Walczak

Rudolph Valentino

Ach, Włochy, Italia – to taka kraina... pani Eleonoro... zawsze o niej marzyłem. Chciałbym nawet być Włochem, nazywać się Fabio, akompaniować sobie na mandolinie i śpiewać przy fontannie di Trevi, mieć budkę z kwiatkami w pobliżu Colosseum i przyglądać się, jak piękne panie i eleganccy panowie z całego świata podziwiają nasze wieczne miasto. „Tak, to nasze miasto”, mówiłbym do tych, którzy tu przyjechali pierwszy raz i zaraz bym dodawał:

– Czy signora widziała już Rudolfa Valentino na Piazza di Marco, w tym małym barze z lodami? Warto go zobaczyć, bo też już niejedna straciła dla niego głowę.

– Panie Karolu, chyba epoki się panu pomieszały.

– No, przecież nie mówię, że to ten sam. Prawdziwy Rudolfo Alfonso Raffaello Piero Filiberto Guglielmi di Valentina d'Antoquolla – bożyszcze przedwojennych kobiet – miałby dziś pewnie ponad sto dwadzieścia lat. Nie wiem, czy warto dożywać takiego wieku, jak się było bożyszcem kobiet.

– No, nie wiem, panie Karolu.

Pani Eleonora wydawała się dzisiaj bardziej niż zwykle uduchowiona. Lubiała, kiedy Karol puszczał wodze swej wyobraźni, a ona dawała się jej ponosić. Czasem – choć nigdy by się do tego nie przyznała – wyobrażała sobie, że ona, jak ta w „Szale” Podkowińskiego – siedzi okrakiem naga na panu Karolu, który jest śmigłym wierzchowcem i pędzi w światy przez niego tylko zarysowane nikłą kreską, lekkim, niezobowiązującym szkicem, który w końcu sama w myślach wypełnia bogatą gamą kolorowych przeżyć, choć z dyskretną powściągliwością. Nie była przecież aż tak perwersyjna, może jedynie bardziej niż inne podatna na magię Karolowej sugestii. Potrafiła jego fantazje na czas korygować, oczywiście kiedy wydawały się jej zbyt mało dystygowane. Stariała się zresztą być pobłażliwa, bo czegoż dziś można oczekiwać od świata i ludzi w czasach nieustannych wyścigów, małpiarskich konkursów i debilnych quizów, japońskiej szybkobieżnej kolei nadziemnej, rozdygotanych frustratów, misjonarzy mamony, zapędzonych w kozi róg biznesmenów, którzy z życia zrobili jednoznaczny kanał przelotowy, ot, takie zwyczajne trąbiące złotym gównem jelito cienkie.

Różnorodność duchowych przeżyć stała się dla tych ludzi tak niezrozumiała, że pani Eleonora mogła im tylko współczuć.

– Pani mi nie uwierzy, signora Eleonora, że ten przepiękny młody mężczyzna, którego starorzymskie rysy, kruczoczarne włosy, błękitne jak sycylijskie niebo oczy, zdecydowane, bystre spojrzenie, przywabiły całe tłumy kobiet – wydawał się skromny i wcale niezrozumiały. Tylko że lody wręczał kobiecie, jak by to pani powiedzieć, w tak intymny sposób, z przewidywaną dyskrecją. Robiło to wrażenie, jakby się z każdą łączył osobiście, jakby tym gestem wyróżniał ją i tylko jej ofiarowywał coś pociągającego a zakazanego.

Przychodziły od rana do późnego wieczora, by się opychać lodami w tym niewielkim bistro, by choć przez chwilę utkwąć w jego chłopięc-męskiej twarzy pełne łaknienia oczy, zaczepnie, a filuternie. Chciały przez moment znaleźć się zupełnie gdzie indziej, niż są, z tym wyimaginowanym Valentino – może w świecie mydlanej opery, może kolorowej filmowej baśni. Całymi godzinami gotowe były patrzeć na jego delikatny jednodniowy zarost z jakąś macierzyńską tkliwością, a zarazem prawdziwym oddaniem. Bo przecież każda chciałaby się oddać... przede wszystkim złudzeniu pięknemu jak ten chłopak, tak nieprawdopodobnemu, jak nieoczekiwane z nim dziecko, takie małe bobo po lekkomyślnej nocy ze słodkim Valentino, które samo by musiało być nie do zniesienia słodkie, ach, jakie słodkie – wzdychał głosem tych wszystkich kobiet pan Karol.

Przychodziły więc i tarły kuprami o twarde wysokie barowe stołki, a Valentino im podawał te najbardziej gorące lody, którymi nie mogły ugasić swego pragnienia. Przyjmowały je jak hostię, jak monstrancję, jak Świętego Graala, wpatrzone w lekko rozchylone usta młodzieńca, w których lśniły dwa równe białe rzędy zębów. Podziwiały, jak się skrzą węgliki jego oczu, przepraszam, chyba mówiłem coś o ich błękitach. Z jego lekko wydętych warg niby niedostrzegalna mgiełka płynęła obietnica. O, kobiety potrafią ją odczytać, z takiej mgiełki wydobyć o wiele więcej, o wiele pełniej i wszechstronniej...

– Tak, panie Karolu, tak!

– ...ach, jak potrafią dokończyć w wyobraźni, co niedokończone, co lewkie w pół myśli, w pół słowa, co czasem nawet niemożliwe do pomyślenia – tokował dyszkantem.

– Kobiety, niektóre kobiety, są w stanie wytworzyć w sobie coś tak subtelnie cichego, a tak potężnego, że gdyby to wyzwolić...

– Tak, panie Karolu?...

–...wybuchłoby wodospadem, gejzerem, wulkanem! Najczęściej jednak pozostaje w swym utajeniu, gdzie rumienione na mistyczno-erotycznym ogniu powoli dojrzewa do... samouniعةstwienia.

– Jak pan dobrze zna psychikę kobiet.

– Nic więc dziwnego – kontynuował Karol – że już nikt nie mógł powstrzymać pielgrzymki wciąż nowych wielbicieli, które dla chwili przeżycia tej osobliwej komunii z rąk pięknego lodziarza przychodziły tu gromadnie, by się sycić i się nie nasycić. Niektóre potrafiły wiele razy w ciągu dnia obrócić, aby daremnie gasić żar wewnętrzny, co je ciągle trawił.

Pani Eleonora całą swą istotą chłoneła opis kobiecego pożądania, które się sączyło z ust pana Karola. Śmieszne mogły się jej wydawać te kobiety, ale nie wydawały się śmieszne, gdyż je ubierał pan Karol w swój krasomówczy talent, w swój styl, swój ton, swoje dla nich zrozumienie. Dlatego i pani Eleonora nie myślała o nich z kpina ani tym bardziej z odrazą. Momentami nawet utożsamiała się z biedactwami i wyobrażała sobie, że przebywa wśród nich w lodziarni pięknego Rzymianina. Pełna jak one rozumiała jej ochoty chciała go czarować i chciała być oczarowana. Przy okazji trochę tego pożądanego Valentina przenosiła na pana Karola. Pan Karol wprawdzie nie był tak urodziwy i raczej z lekka łysawy, nie miał kruczoczarnych włosów, ale był przecież w tym momencie dawcą jego postaci, ponętnych wizji i całego klimatu tej pięknej opowieści. Dawanie siebie w sztuce pisarskiej w obrazie kogoś innego – to dar, dla którego warto się urodzić. Potrafiła to docenić. Od pewnego czasu zaczęła gorąco pragnąć tego włoskiego chłopca. Czuła, jak z każdą chwilą coraz przenikliwiej jej kruche, delikatne ciało przeszywa pragnienie spełnienia. Była za to wdzięczna Karolowi. A on zupełnie tego nieświadomy, zapamiętał się w swej opowieści i chociaż wciąż akcentując jej obecność, zwracając się do niej „pani Eleonoro” lub niemniej dźwięcznie „signora”, naprawdę jednak tańczył sam przed sobą i w sobie ów taniec cietrzewia.

– Przychodziły do niego, żebrząc w myślach o jeszcze jeden gatunek lodów – Karol mówił to ze skażonym zazdrością zachwytem – taka w nich była determinacja i chciwość na piękno.

– Skąd pan to tak wszystko wie, panie Karolu? – zaczęła go niespodziewanie. – Widział pan tego człowieka? Czy rzeczywiście jest tak niezwykły? – Spojrzał na nią z wyrzutem.

– Dobrze, powiem pani. Widziałem tego człowieka nie własnymi oczami, powiem wprost, widziała go w pełni swych niczym nie zmałowanych zmysłów Zofia, moja wieloletnia partnerka, jeśli można przyjąć, że jej zmysły

były niezmacone, kiedy oglądała tego niezwykłego chłopca. A ja mam do niej pełne zaufanie. Nie ma żadnego powodu, by wątpić w bezstronność i obiektywizm jej relacji. Otóż powiem pani – pan Karol się nastroszył niby ptak, który zbyt długo trwał w swoim śnie, a teraz został przywołany do rzeczywistości. – Otóż, droga pani, moja Zofia była tam, a i owszem, była osobiście w tym lodzianym inkubatorze kobiecej zmysłowości i... i wyznała mi, z pewnym zażenowaniem, że od pierwszej chwili poczuła się urzeczona. Ten chłopak, ten mężczyzna – według słów Zofii – emanował jakimś nieuchwytnym czarem. Wydawał się jej po prostu... piękny. Niemalże uwierzyła, że stoi przed nią słynny Rudolfo Valentino z waflem lodów w ręku, podaje je z gracją i dziwnie się do niej uśmiecha. W tym uśmiechu – według jej słów – była jakaś nadzieja, a zarazem coś jakby nutka zakłopotania. Pod koniec dnia chłopak, by zamknąć drzwi za ostatnimi klientami, wyszedł zza kontuaru, za którym ciągnęło się niewidoczne dla gości, ułatwiające mu pracę podwyższenie, coś w rodzaju podestu. I wtedy mojej Zofii się wyrwało – jakież on malutki! – Patrzyła z niedowierzaniem, miał króciutkie nóżki karła. Pani mi wybacz, pani Eleonoro, że ten świat nie jest aż tak doskonały.

Grzegorz Walczak

Piotr Wojciechowski

Miękkie serce

Luba przechyliła się, aby zajrzeć na ekran smartfona Rocha. Po błękitnym polu ganiały się ludziki strzelające z automatów, a nad nimi przelatywały rakiety. Przelatywały i wybuchały.

Wyprzedziła ich ciężarówka, bryzgnęła błotem pośniegowym spod kół, przez moment zero widoczności. Potem wycieraczki przetarły szybę.

– Mamo, ktoś macha! – dobiegło z tylnego siedzenia.

Luba zwolniła, kiedy śnieg zakleił jej widok, więc teraz mogła się zatrzymać blisko machającego. Bała się podwozić obcych, ale przy takiej pogodzie nie można było zostawić człowieka na szosie. – Głupstwo robię – przemknęło jej przez głowę.

Młody w wojskowej kurtce podbiegł do auta. Był z gołą głową, śnieżna czapka topniała na krótko przystrzyżonych włosach, woda ciekła po chłopcęj twarzy.

Okazało się, że autobus nie przyjechał, a młody musiał złapać pociąg w Herbach. Bo do matki. Luba pomyślała, że nałoży kilometr, żadna sprawa. A jakaś matka przywita się wcześniej z synem.

– Rochu, tam ręcznik papierowy w schowku. Daj panu, niech chociaż włosy i buzię wytrze.

Zerknęła na lusterko wsteczne i ruszyła. Na tylnym siedzeniu sześcioltnia Zochna spoglądała z ciekawością na pasażera. Wycierał się. Luba spytała, skąd jedzie. Z niedaleka, poligonu, z jednostki.

Ujechali kawałek, kiedy poczuła, że Zochna odpięła pas bezpieczeństwa, przechyliła się przez oparcie i coś szepcze do ucha.

– Co? Przypnij się zaraz! Co?

– Mamo, dlaczego pan żołnierz płacze?

– Pan płacze? – spytała Luba.

– Ależ nie – ochryple zaprzeczył żołnierz. I płakał, wycierając sobie oczy papierowym ręcznikiem.

– To ja się tu muszę napić herbaty – zadecydowała Luba, skręcając na stację benzynową.

– Dla mnie kola – odezwał się Roch, niezmiennie pochylony nad swoją grą. Nie oderwał wzroku od ludzików i rakiet przez cały czas przy stole kafejki. Nawet nie wiadomo, co do niego dotarło z opowieści żołnierza.

– Ja do matki jadę – wyznał wojak, łapczywie jedząc żurek. – Przyznam się, że złamałem przysięgę. Przysięgałem matce, że się nie zgłoszę na misję zagraniczną. Matka tylko mnie ma jednego, boi się.

Luba pytała delikatnie i okazało się wszystko. Zochna słuchała z oczami okrągłymi ze zdziwienia. Pysio miała umazane kremem z ciastka, a uszy czerwone z emocji.

Wojak zgłosił się tam, gdzie strzelają, gdzie na minach giną ludzie. Pojedzie dla pieniędzy. Przegrał w karty, musi spłacić. Na dwa lata. Za pierwszy rok spłaci dług karcianym koleżkom, za drugi rok mamie kupi blaszany dach na chałupę.

– A jak ci na imię?

– Florian.

– Powiem ci, Florku, że pojedziesz do mamy następnym pośpiesznym. Albo jeszcze następnym. Teraz zawiozę cię do mojego taty. Powiesz mu, jak jest. Może coś poradzi.

– Co tu można poradzić? Podpisałem, dostałem przydział. Widzi pani buty? To już na wyjazd dostałem.

Zochna zanurkowała pod stół, aby zobaczyć żółte buty na wyjazd.

Wrócili do auta. Ledwie wjechała na drogę, uświadomiła sobie, że palnęła głupstwo, że mąż rzuci jakiś urywek zdania o odpowiedzialności, a potem zapadnie we wściekle milczenie. Będzie miał rację w stu procentach. Przypomniało się jej z dawnych czasów coś, co mogłoby ją usprawiedliwić, gdyby ktoś widział jej świat dwunastoletni. Kiedy ojciec znikł z ich życia, matka dostała komandirówkę do Winnicy. Pojechali we troje, Luba, Dymitr i mama. Tam Luba poznała Gretę i Trudę – siostry, Niemki i katoliczki. Mieszkali z rodziną Fiszerów drzwi w drzwi, w ceglanym domu w Krasnokozańskim Zaułku o krok od placu Honty. Ojciec sióstr był instruktorem strzeleckim w klubie sportowym „Nywa”, a matka, tak jak matka Luby – nauczycielką w szkole krawieckiej. Greta miała czternaście lat i była wodzem trójki, Truda, młodsza i mniejsza od Luby, była u nich błazenkiem. We trzy wypuszczały się „do kawalerów”, wystarczyło przejść kładkę nad kanałkiem i znaleźć dziury w płotach przy szosie do Pohrebyszcza, a dochodziło się do ogrodzeń jednostki wojskowej. Tam było boisko siatkówki, blisko płotu z siatki i drutu kolczastego. Widziały, kiedy na boisko przyjdą ich rycerze, bajeczni witezie. Walili w piłkę rozebrani do pasa, opaleni, wspinali. Kłęli, kłócili się, żartowali, w słońcu popołudnia ich mokre od potu torsy grały węzłami mięśni. Nie wiedzieli nic o dziewczynkach, które już

ich znali po imieniu, odróżniały ogolonych na pałę szeregowych od krótko przystrzyżonych podoficerów. Wybierały ukochanków. Greta miała prawo wybierać pierwsza, Truda oczywiście wybierała ostatnia i obydwie starsze dziewczyny bezlitośnie wyśmiewały się z jej wybrańców.

A cała gra polegała na tym, że ukryte za kolczastymi krzakami, za wybijającymi kępami pokrzyw, wszystkie trzy szeptały słowa zachwyty, zachęty, czułości, prześcigając się w tym kulcie wybrańców.

– Ach, patrz! Mój jak ściął! Jak wyskoczył! Kochany, cudny!

– A mój, słodki, malinowy! Odbił! Oleg, on ich wszystkich paluszkami powywraca!

– Hrycia nie wywróci! Król, Tarzan!

– Durna ty, Truda! Tarzan to małpa!

Zabawa trwała prawie do pierwszych śniegów. A potem w oczywisty sposób poszła w zapomnienie, utonęła w kłopotach, radościach, zajęciach. Przyszedł w końcu tamten wieczór, kiedy Lubę obudził szept matki. Przez uchylone drzwi widziała, jak matka pochyla się nad siedzącym na kuchennym taborecie człowiekiem, obmywa mu pokrwawioną głowę. Poznała, to był szeregowiec, wybrańiec rudej Trudy. Nie rozumiała rozmowy w kuchni, widziała tylko, jak matka daje żołnierzowi cywilne ubranie, zimowe buty ojca, jak pakuje chleb i słoik słoniny do ulubionego plecaka Dimy, zachowanego jeszcze ze Lwowa, tam Dima był w drużynie „płastunów”.

Kiedy matka wyprawiła żołnierza i wróciła do kuchni, zastała tam Lubę.

– Dlaczego, mamu? Dlaczego buty tatowe i wszystko dałaś?

– Trzeba czasem dać. Pamiętaj to Luba. Jak ktoś przed śmiercią ucieka, trzeba.

– I po polsku z nim rozmawiałaś?

– To Polak.

– A my?

– My też Polacy. Ale cicho o tym, Luba. Jak chcesz mieć spokojne życie, cicho o tym.

– A tato Polak?

– Czort wie, kto on, gdzie poszedł. On nie wróci. Pomódl się, idź spać.

Pokłoniły się ikonom i nie pamiętały. Dima się ani słowem nie upominał o plecak, nigdy.

Teraz na pustym wąskim asfalcie prowadziła ostrożnie i wspominała z bólem. Żołnierz usnął obok niej.

Obudziła go, gdy dojechali. Dom Luby był z jednej strony tartaku w Ratajach-Polance, a dom jej ojca – z drugiej. Tartak, pośrodku, był własnością ojca, a Luby mąż pracował jako księgowy w tym tartaku.

Luba zawiozła żołnierza, przedstawiła ojcu. Chwilę później zatrzymała auto przed swoim domkiem. Czas było kończyć obiad, aby zdążyć, nim mąż wróci z pracy.

Zochna wyszła wyprowadzić psa. A Roch nie poszedł do siebie, tylko pochylony nad grą internetową, stał w kuchni przy oknie i zerkał na matkę.

– Wstyd mi za to twoje miękkie serce – odezwał się w końcu. I wyjął słuchaweczkę z ucha. Jedną, drugą zostawił. – Niepotrzebnie ciągle do dziadka posyłasz różne ludzkie biedy. Wydaje ci się, że jak dziadek ma z tartaku pieniądze, to poradzi na wszystko.

– Czasem poradzi – odpowiedziała Luba i dołała oliwy do kwaszonej kapusty.

– A teraz nie poradzi. I nie powinien. Jak ten żołnierz nie pojedzie, to na jego miejsce pojedzie inny żołnierz. I on, ten w zastępstwie, też ma matkę, co się boi. Czy ty telewizji nie oglądasz? Wojny są zawsze. A polscy żołnierze w tylu miejscach. I w Polsce czołgi produkujemy, amunicję, wszystko. Co tu podskoczy dziadek ze swoimi pieniędzmi?

– Roch! Jak ty o dziadku...? I powiem ci, synu przemądrzały. Ty masz teraz piętnaście lat. A za dziesięć lat może być tak, że ty będziesz w sytuacji jak pan Florek. Gry cię wciągają, sama widzę. Tam strzelasz na niby, ale przyzwyczajasz się, nie? Będziesz musiał do takich Florków strzelać. No i oni do ciebie. To i ja mogę się bać jak jego matka. Czy o tym pomyślałeś może?

– Ja o tym myślę bez przerwy – odpowiedział Roch i wetknął słuchawkę do ucha. To był sygnał, że chce skończyć rozmowę. Po ekranie jego smartfona biegały ludziki i strzelały. Rakiety nad ich głowami wybuchały co pewien czas.

Opowiadanie ze zbioru:

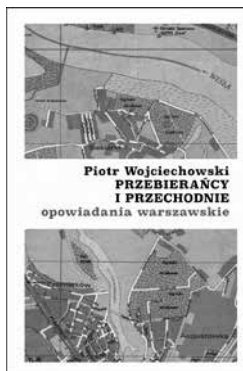
Piotr Wojciechowski

Przebierańcy i przechodnie

Wydawnictwo Biblioteka Słów 2019

Stron 272

ISBN 978-83-9526-115-2



Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Antonín Brousek¹

Więc już tu jesteście... Witajcie!
 Witajcie, letni goście
 z głębin mrozu,
 witajcie nam
 według starego obyczaju,
 z pancerzem chleba,
 z tym właśnie kryształem łzopędnej soli,
 która przeżera
 wszystko, co spadło z nieba.
 Witajcie w pełnym miłości objęciu,
 w którym pękają kości,
 sączy się krew
 z owoców u schyłku
 strony oświetlonej słońcem.
 I znowu głuchoniemi z głuchoniemymi.
 I znowu osiki,
 osiki, które wzdrygają się
 na jakąkolwiek zaledwie myśl o Judaszu.
 O świcie zaparł się kogut.
 Wypieram się,
 że kiedykolwiek was znałem,
 przysięgam.
 Wyrzekam się po raz drugi,
 po raz trzeci.

21.8.1968

1 Antonín Brousek (ur. 1941 Praha, zm. 2013 Jindřichův Hradec) czeski poeta, eseista, krytyk, tłumacz, redaktor, wykładowca uniwersytecki. W latach 1969-2003 przebywał na emigracji w Niemczech. Jako tłumacz i redaktor był twórcą ważnych antologii poezji czeskich i zagranicznych (m.in. greckiej i macedońskiej). Powyższy wiersz, datowany na dzień inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, pochodzi z emigracyjnego zbioru *Sen zimowy* (Sixty-Eight Publishers, Toronto 1980).

Jan Vladislav

(Monolog człowieka wieczorem pod przejazdem kolejowym)²

Dokąd to ich odwozisz,
ty pociągu, losie,
z chochołem dymu
pod czarnym nieboskłonem
I nade mną?

Dokąd wieszysz tę głowę
wystawioną za okno,
jakby czekała
na uderzenie ostrza
twojej gilotyny?

Dokąd wieszysz te ramiona,
uniesione
ku jasnowłosej fryzurze,
na które zerka
z kąta mężczyzna w kapeluszu,
mężczyzna z rubinem
żarzącego się papierosa?

Dokąd wieszysz te walizy
na obłazących z farby
deszczułkach ławek,
gdy tu nade mną,
stojącym nocą
pod przejazdem,
defilują bez końca?
I dokąd to,
losie z pióropuszem dymu,
odwozisz mnie?

Przełożyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska

² Wiersz ze zbioru *Monologi* wyd. Poezie mimo Domov Publishers, Monachium 1986.

Siedem sonetów Williama Shakespeare’a w przekładzie Gabrieli Kurylewicz

Sonnet XV

When I consider everything that grows
Holds in perfection but a little moment,
That this huge stage presenteth nought but shows
whereon the stars in secret influence comment;
When I percieve that men as plants increase,
Cheered and check'd even by the self-same sky,
Vaunt in their youthful sap, at height decrease,
And wear their brave state out of memory;
Then the conciet of this inconstant stay
Sets you most rich in youth before my sight,
Where wasteful Time debateth with Decay,
To change your day of youth to sullied night;
And all in war with Time for love of you,
As he takes from you, I engraft you new.

Sonnet 15

Kiedy rozważam, że wszystko, co rośnie,
Jest doskonale tylko krótką chwilę,
Że na ogromnej scenie widać jedynie
Spektakl rządzony tajemnym wpływem gwiazd;
Kiedy poznaję, że ludzie jak drzewa rosną
Pod niebem, które im służy i szkodzi,
I że wpierw odważnie pną się do szczytu,
A zaraz potem schną i ginie po nich ślad –
Wtedy myśl o mijaniu, skończoności rzeczy,
Stawia mi przed oczy twoją młodość bujną,
Gdy Czas z Zagładą zawierają układ,
By dzień twój młody zmienić w stęchłą noc.
Więc wypowiadam wojnę Czasowi o ciebie,
Żeby to, co on zabrał, wszczepić i odrodzić.

Sonnet CXLIV

Two loves I have of comfort and despair,
 Which like two spirits do suggest me still:
 The better angel is a man right fair,
 The worser spirit is a woman colour'd ill.
 To win me soon to hell, my female evil
 Tempteth the better angel from my side,
 And would corrupt my saint to be a devil,
 Wooing his purity with her foul pride.
 And, whether that my angel be turn'd fiend
 Suspect I may, yet not directly tell;
 But being both from me, both to each friend,
 I guess one angel in another's hell:
 Yet this shall I ne'er know, but live in doubt,
 Till my bad angel fire my good one out.

Sonet 144

Mam dwie miłości, ulgę i rozpacz,
 One jak dwa duchy mną rządzą.
 Lepszy anioł to mężczyzna jasny, prawy,
 Gorszy to zawzięta kobieta.
 Bym w piekle skończył, zła anielica
 Prawego anioła odciąga ode mnie,
 Z pychy gotowa świętego w diabła
 Zmienić, i czystość jego szernić.
 Czy mój lepszy anioł da się zdeprawować,
 Podejrzewam, choć stwierdzić nie mogę
 I nie wiem, czy moje duchy dwa, w przyjaźni,
 Już się zgadły i dobry jest w piekle u złego.
 Czy jest, nie poznam, będę żył w zwątpieniu
 Tak długo, aż duch zły wygna ducha dobrego.

Sonnet CXXX

My mistress' eyes are nothing like the sun;
 Coral is far more red than her lips' red;
 If snow be white, why then her breasts are dun;
 If hairs be wires, black wires grow on her head.
 I have seen roses damask'd, red and white,
 But no such roses see I in her cheeks;
 And in some perfumes is there more delight
 Than in the breath that from my mistress reeks.
 I love to hear her speak, yet well I know
 That music hath a far more pleasing sound;
 I grant I never saw a goddess go,
 My mistress when she walks treads on the ground:
 And yet by heaven I think my love as rare
 As any she belied with false compare.

Sonet 130

Oczy mojej pani jak słońeczko nie lśnią,
 Koral jest czerwieńszy niż czerwień jej warg,
 Jeśli śnieg jest biały, jej piersi nie bardzo.
 Jeśli włosy na głowie to druty, druty zdobią ją.
 Widziałem róże damasceńskie, czerwone i białe,
 Lecz nie znajduję ich w jej policzkach,
 A i są też perfumy dużo rozkoszniejsze w woni
 Niż smród, który mojej pani zionie z ust.
 Uwielbiam słuchać jej, gdy do mnie mówi,
 Choć wiem, że muzyka brzmi lepiej.
 I przyznaję, nie widziałem, jak bogini chodzi,
 A jak moja pani chodzi, słyszałem, ciężej.
 Lecz, mój Boże, moja miłość ma szczególną wagę,
 Wielkością przerasta słów fałsz i błagę.

Sonnet XXIX

When, in disgrace with fortune and men's eyes,
 I all alone beweepe my outcast state,
 And trouble deaf heaven with my bootless cries,
 And look upon myself, and curse my fate,
 Wishing me like to one more rich in hope,
 Featured like him, like him with friends possess'd,
 Desiring this man's art, and that man's scope,
 With what I most enjoy contented least;
 Yet in these thoughts myself almost despising,
 Haply I think on thee, and then my state,
 Like to the lark at break of day arising
 From sullen earth, sings hymns at heaven's gate:
 For thy sweet love rememb'ed such wealth brings
 That then I scorn to change my state with kings.

Sonet 29

W niełasce u Fortuny i w oczach ludzi,
 Gdy oplakuję samotnie moje wygnanie
 I głuche niebiosą dręcę próżnym krzykiem,
 I patrzę na siebie i przeklinam życie,
 I chciałbym choć raz jeszcze zyskać nadzieję,
 Tego mieć wygląd, owego przyjaźnie,
 Innego talent, innego swobodę,
 Bo moja sztuka obmierza mi całkiem –
 To jednak, gdy w myślach, w których sobą gardzę,
 Zdarzy się o tobie myśl, wtedy mój duch,
 Na progu dnia, jak skowronek się budzi
 I z mrocznej ziemi śpiewa hymn w drzwi nieba.
 Miłość twoja, pamiętam, jest takim darem,
 Że losu nawet z królem nie zamienię.

Sonnet CXXXVIII

When my love swears that she is made of truth,
 I do believe her, though I know she lies,
 That she might think me some untutor'd youth,
 Unlearned in the world's false subtleties.
 Thus vainly thinking that she thinks me young,
 Although she knows my days are past the best,
 Simply I credit her false-speaking tongue:
 On both sides thus is simple truth suppress'd.
 But wherefore says she not she is unjust?
 And wherefore says not that I am old?
 O! love's best habit is in seeming trust,
 And age in love loves not to have years told:
 Therefore I lie with her and she with me,
 And in our faults by lies we flattered be.

Sonet 138

Kiedy moja miłość przysięga, że jest szczerą,
 Wierzę jej, tak mówię, chociaż wiem, że kłamie,
 Niech myśli o mnie jak o młodym, naiwnym,
 Niewyszkolonym w subtelnościach świata.
 Złudnie utwierdzam się, że widzi we mnie chłopca,
 Choć wie na pewno, że nie mam już siły.
 W prostocie serca wierzę jej fałszom i kłamstwom
 I tak swoją prawdę każde z nas ukrywa.
 Czemu ona nie powie o swej nieuczciwości?
 Czemu ja nie powiem, że jestem stary?
 Bo miłość, gdy udaje, jest najmocniejsza,
 A zakochana starość chce być zawsze młodsza.
 Stąd ja kłamię przed nią i ona przede mną
 I tak fałsz fałszowi prawdziwie pochwlebia.

Sonnet CXVI

Let me not to the marriage of true minds
 Admit impediments. Love is not love
 Which alters when it alteration finds,
 Or bends with the remover to remove:
 O no! it is an ever-fixed mark,
 That looks on tempests and is never shaken;
 It is the star to every wandering bark,
 Whose worth's unknown, although his height be taken.
 Loves not Time's fool, though rosy lips and cheeks
 Within his bending sickle's compass come;
 Love alters not with his brief hours and weeks,
 But bears it out even to the edge of doom.
 If this be error and upon me proved,
 I never writ nor no man ever loved.

Sonet 116

Niechaj się nie zgodzę, że prawdziwy związek dusz
 Można zniszczyć. Miłość to nie miłość,
 Jeżeli zmienia się, gdy spotka zmianę,
 I skłania do odejścia, gdy ktoś ją skłonić pragnie.
 Nie! Miłość to znak wiekuiście mocny,
 To wieża ze światłem, co mężnie trwa wśród burz,
 To gwiazda dla wszystkich zabłąkanych statków,
 Cenna niezmiennie, choć bywa mierzona.
 Miłość nie jest błaznem Czasu i, choć Czas
 Kosą ścina kolor policzków i warg,
 Pod naporem godzin, tygodni, Miłość się nie zmienia,
 Wszystko znosi, aż do kresu ostatniego dnia.
 Jeśli to kłamstwo i można go dowieść,
 To nigdy nie pisałem i nikt nie kochał.

Sonnet XCVIII

From you I have been absent in the spring,
 When proud-pied, April dress'd in all his trim,
 Hath put a spirit of youth in every thing,
 That heavy Saturn laugh'd and leap'd with him.
 Yet nor the lays of birds, nor the sweet smell
 Of different flowers in odour and in hue,
 Could make me any summer's story tell
 Or from their proud lap pluck them where they grew:
 nor did I wonder at the lillies white,
 Nor praise the deep vermillion in the rose;
 They were but sweet, but figures of delight,
 Drawn after you, you pattern of all those.
 Yet seem'd it winter still and you away,
 As with your shadow I with these did play.

Sonet 98

Całą wiosnę nie było mnie z tobą,
 A kwiecień wciąż zmieniał barwny haft
 I niósł ducha młodości w każde stworzenie
 Aż stary Saturn natchniony zatańczył.
 Lecz ani ptaków śpiewanie, ani kwietne
 Wonie i barwy, słodkie i czyste,
 Opowieści o lecie nie wzbudziły we mnie.
 Nie chciałem zerwać najmniejszego kwiatka.
 Nie umialem wpatrzeć się w cudowność lilii,
 Ani ucieszyć szkarłatem róż.
 Wszystko to było tylko rysunkiem
 Szczęścia, wziętym od ciebie, na twój wzór.
 Więc było tak, jakby wciąż zima była,
 Ty daleko, a ja zbłąkany tropiłem twój cień.

Przełożyła Gabriela Kurylewicz

Przekład Grzegorza Łatuszyńskiego

z języka chorwackiego

Andjelko Vuletić

Między dwoma błękitami

Morze jest spokojne, morze jest ciche, martwe,
zastygłe w bezruchu i kiedy łódź tnie błękitną taflę,
kryształową powierzchnię, rzucam
spojrzenia
w niebo,
chcąc sprawdzić,
czy niedostępne przestworza z pogaszonymi gwiazdami
nie leży wśród kamienistych stoków, gdzie kiedyś było
morze.

Ilekoć bowiem znalazłem się między morzem i niebem,
opuszczały mnie siły i zmysły moje zatraçały
zdolność czucia:
pomiędzy dwoma błękitami, w których
dostrzec można tylko głębię,
tylko otchłań,
opuszczał mnie rozsądek i odwaga -
dostawałem zawrotu głowy.

I tak do dnia dzisiejszego

Tak więc przychodząc na świat, podobnie jak głaz,
który odpada od jednego z nagich szczytów górskich wskutek spiekoty
[słonecznej i bicia piorunu i
stacza się,
i uderza o pustą i gołą równinę,
powitany zostałem nienawiścią i pogardą.
Żeby chociaż był jakiś powód, ale skąd!
Jak gdyby coś mogło zależeć ode mnie, jak gdyby ktoś się
o to wszystko

pytał mnie, jakby mógł spytać,
jak gdybym ja mógł wybrać
sobie matkę
i uczynić ją taką, jakiej pragnąłem,
jak gdybym to ja stworzył tłum, a nie on mnie,
jakbym to ja wydzielił go z siebie, a nie on mnie,
jak gdybym miał kogokolwiek,
jak gdybym miał cokolwiek prócz samego życia, coś więcej
[niż samo życie.
I tak do dnia dzisiejszego chodzę zupełnie nagi wśród
kompletnie ubranych
i zapiętych pod szyję.

Popiół

Zacząłem się palić,
ale płonął również mój głos i lzy moje i
nie słysząc było
płaczu.
Słysząc było tylko
słowa:
– Teraz w końcu jesteście na stosie: i ty, i twój
kamień,
i twoja
miłość. Ja tu panuję, ja tu wznoszę wieże!
Gdyby ze wszystkich stron nie objął mnie ogień,
nawet
ten z palącego się kamienia w głębi
serca, może bym jeszcze zdobył się na
zuchwałość i zapytał: Kto tu rządzi? Kto wznosi
wieże?
Czy nienawiść?
Ale coraz bardziej zasypywał mnie popiół i sam
stawałem się popiołem.

Nie oszukujmy się, nie przesadzajmy, gdyż
jeśli prawda jest,

że z popiołu nic nie powstaje – a ja w to nie wierzę – to
nie jest wszakże prawdą,
że cokolwiek,
że ktokolwiek na tym świecie
powstał bez popiołu.

Pochodnia

Kiedy szeptałem te słowa w jej
włosy, czoło, skronie,
wiatr nagle ucichł,
rumak przestał stawać dęba;
jeździec wzniosł wysoko proporzec
czarny jak noc,
z jednym białym punktem w środku – właściwie
była to noc, a nie płótno, nie proporzec – zamachał nim
[kilkakrotnie i zrobił na naszym domu
znak przypominający przekreślone na czystym białym
papierze
słowo,
potem opuścił proporzec, chwycił kopię i
z niezwykłą siłą i gwałtownością roztrzaskał
szyby w oknie
i do tego stopnia podziurawił ściany, że
przypominały gąbkę lub sito, zadzwoniło
szkło, zajęczał wiatr, a z nas, jak jesienne
liście z drzew, zaczęły opadać sztuka
po sztuce resztki skąpego odzienia i nasza
nagość wśród nocy zabłysła jak
dukaty;
chłód ciągnął ze dworu,
ale fale ognia buchającego ze środka
ogarnęły nas
i uniosły w górę, zmieniły
w pochodnię.

Widzenie senne

Uważnie obserwujcie las, wychodząc z niego lub wchodząc. Nie jest to
[obojętna masa zieleni i jednostajne kołysanie się gałęzi.

Kto naprawdę czuje i rozumie głos
swojego serca, zrozumie również tajemnicze
szepty lasu jak codzienną rozmowę. Rozumiem
teraz moje miasto.

To nic, że gawron stoi na murach, nad
bramą wjazdową i nastroszonymi,
rozpostartymi skrzydłami osłania je nie tylko
przed zachodzącym wieczorem, złotym
słońcem, ale i przed jakąkolwiek myślą,
pozdrowieniem.

Miasto umiera, czuję to. Widzę, jak się
pogrąża w noc, jak staje się gorącą
miedzianą pochodnią. I tonie, i
zapada się jak starte z powierzchni ziemi, zatrute,
dotknięte zarazą.

Jeżeli pewnego dnia znów wrócę, nie
zaskoczy mnie cmentarz, który tu
odnajdę, i stercząca jeszcze dzwonnica
zatopionej katedry, a na niej
gawron z rozpostartymi skrzydłami,
bezsilny już, świadomy, że skończyło się jego panowanie,
[tak jak kończy się wszystko
na tym świecie.

Póki żyję

Istnieje jedna tylko gwiazda, która
rozjaśnia, oświeśla i grzeje swoim ciepłem
ziemię i jej ludzkie mrowiska;
tak samo dla mnie istniała
kobieta z mojego snu w sierocińcu w Trebinju, która ukazała
[mi się raz w nocy
na drodze z Trebinja do Dubrownika,

i spojrzałem na nią tak, że jej obraz
 noszę w sobie stale,
 nigdy go ani na chwilę
 nie porzuciłem i nie mógłbym
 tego zrobić, póki żyję.

Wszyscy ci, którzy czekają

Wszyscy ci, którzy czekają i szukają,
 kierują się bardziej swoimi snami i przywidzeniami niż tym, co realne.
 Od kiedy usłyszałem płacz, aż do momentu, gdy opuściłem szpital,
 [ludziłem się myślą,
 że te łzy padają właśnie na moje ślady.
 Każde drzewo w lesie tęskni do innego drzewa,
 a ta kobieta – zdradza to jej płacz – tęskni do mnie!
 Pochłonięty myślą i karmiony nadzieją,
 że po ziemi i niebie nieustannie
 błędzą i przeplatają się
 wołania i znaki,
 sygnały,
 błyski,
 prądy i
 zapachy napominające nas, wskazujące drogę,
 nie zwlekałem ani chwili, instynkt
 nakazywał mi, co mam robić.
 Nie pytałem o to, czy będę właściwie
 czuł i rozumiał, gdyż
 czas mełł, huczał i dudnił
 i należało gdzieś się ukryć przed tym
 odwiecznym młyńskim kamieniem.
 Dlatego zawsze z uwagą
 wsłuchiwałem się
 w nocny szum liści w lesie,
 wpatrywałem się
 w fioletowe cienie na śniegu
 w górach,
 bacznie obserwowałem głązy

odrywające się i spadające do morza,
nasłuchiwałem
orlich krzyków przed wschodem słońca
i nie lekceważyłem
mrówki spacerującej mi po czole
ani żmii zwiniętej na drodze.

Królowa dróg

Nosiłem ją i obnosiłem po świecie.
Ukrywałem to,
żeby nikt jej nie słyszał, nie widział
i nie czuł.
Ona trzymała mnie przy życiu,
ona była
motorem mojego działania.
Ona mnie ratowała, ona
przemawiała pieszczotliwie,
prowadziła mnie za rękę, pokazywała drogę
i opowiadała
o słońcu i gwiazdach.
Ona płynęła w moich tajemnych rzekach,
była powiernikiem
i więźniem mojego serca.
Ona szybowiała po opuszczonych przestworzach
mojej bezkresnej, rozplakanej duszy,
zaludniała pustynie, przecinała lasy i morza.
Ona nosiła pochodnie
i rozpaliała ogniska
podczas moich długich, bezsennych
białych nocy.
Ona była panią słońca,
królową dróg i gościńców,
ona była
pustynnym kwiatem,
ona swoimi oczami
zaciemniała gwiazdy na niebie

i nowym, niezwykłym i niepojętym światłem
rozjaśniała
niebieskie przestworza.

Będę budować, jak ja chcę

Będę budować, jak ja potrafię
i – proszę,
nie zasłaniajcie mi słońca.

Nie obchodzi mnie zły los mojego
ojca

ani królewska chwała jego ojców,
nie tyczy mnie się grzech
pierworodny mojej matki, mojej szwagierki,
ani inne gry i gierki.

Nie obchodzi mnie bałkańska zaraza,
co zwała moich
braci na kupę – ten cmentarz
w domu rodzinnym.

Ja mam własne ręce, własne niebo, własny dzień
własną noc;
ja mam własny testament, własny lament i własny
wilczy barłóg;
swoje życie na włosku,
i – będę snuć, i – będę budować,
jak ja chcę.

Nie ciekawi mnie gadanina z zachodu, ani gadanina
ze wschodu.

Ja – tylko ja, i nikt inny, odpowiadam
za to moje postępowanie, za to moje
stanie. Za to moje

wierzę, za to zero, mówiąc szczerze.

I dlatego
ponownie proszę:
nie zasłaniajcie mi
słońca.

Nigdy – przenigdy

Jeśli znów kiedykolwiek będzie
to, co być nie może:
ten niewinny początek, wymarsz w dzień, śpiew
ptaków,
pączki, działa, pieśni i wszystko inne,

ta bieranina i
te strącania z góry,
niech się z miejsca w kamień zmienię,
wkopię w ziemię
usunę się wraz z ziemią pod nogami.

Zanim ruszę przed siebie, niech mnie zwałą,
niech mnie
zdepczą
i niech się
przewalą i pościgi, i wojska przeze mnie martwego.

Niech mnie
wdepczą w błoto,
niech mnie rozsypią
po piasku, po trawie.

Bym nigdy – przenigdy,
bym nigdy
nie poczuł goryczy zwycięstwa.

Jego samotności i jego pustki.

Kiedy nastąpi czas twojego buntu

Ty zawsze trwasz w swoim milczeniu
W ciszy

Ty nie otwierasz oka zanurzonego w szarzyznę

Głosu z siebie nie wydajesz i tak liczysz dni
I tak ci życie przechodzi

Wiatr ci w twarz i deszcze i chmury
Ich przekleństwo żebrami twymi wstrząsa
Jakbyś był bezdomnym
Psem i niczym darem

Depczą cię nogi i stonogi
Bez słowa prowadzą cię do niewoli
I sprzedają na targach po jarmarkach a ty nie przeczuwasz
Tego co najgorsze

Jak ci się imię jak ci się ślad zatrze
I zostanie tylko opowieść o pogardzie i niewoli

Zzerają cię mosty
Zzerają cię obce domy obce progi
Obce drogi obce świątynie
Dalekie miasta
I różne więzienia
Mijają omamienia mijają tysiąclecia
A ciebie kopią
Łamią i włączą

Ciebie kruszą dla obcych trzewi otchłani bebeczów

I ty tak trwasz
I tak przechodzisz przez życie

Kiedy nastąpi czas twojego buntu

Mój biedny
martwy
kamieniu

Mnie pustynię dajcie

Jeśli znów nadejdą
te straszne czasy i spełni się stary
zły sen
– przed świątynią
w nieznanem,
pod płonącym niebem,
zgromadzi się
mnóstwo ludzi: to mrowie,
ten legion zranionych i zrozpaczonych,
fala przy
fali i
twarzą w twarz,
staną żebracy i szubrawcy, bracia i oprawcy,
pyszałkowie i gady, jąkliwi i
nieszczęśliwi,
wszyscy trędowaci i wszyscy nieżonaci tego i
owego świata,
chcę się odłączyć: dajcie mi znów
pustynię.
Niech wam zostaną, jak dawniej, wszystkie łowiska i
kąpieliska,
ucztujcie i wojujcie, moi źli
bracia,
wy, jak świat szeroki, ubodzy, wy, zawodnicy zawsze srodzy.
Proszę bardzo, w porządku, ale...
mnie stary kraj, mnie pustynię, mnie
pragnienie do serca, słońce jak
kamień na głowę,

czerwony
wiatr
w
twarz,
mnie pustynię dajcie.

Wielki Stwórco, ja bunt podnoszę

Nie mogę tego sobie wyobrazić:
Na końcu podróży, jak i przez całą drogę, znów
wszystko po staremu.

Nie mogę uwierzyć, że będzie tak
jak zawsze:
z przodu świece,
trumna jak więzienie,
powrozy, pośpiech, smutek, wiatr, deszcz
i dużo ludzi, a ja
znów
sam.

Czy jest ktoś, kogo mogę o to zapytać?

Ty milczysz, jakby Ciebie nie było, Wielki Stwórco.

A ja proszę
tylko o jedną
chwilkę albo noc przy szeroko otwartych drzwiach, bez
dachu i bez ścian,
i żebym mógł wejść i wyjść i sprawa załatwiona,
o jednego skazańca mniej.

Ty milczysz i teraz, Wielki Stwórco, a ja
bunt podnoszę:
domagam się śmierci dla wilka.

Zimno, wiatr lodowaty, złe oczy głodu, kula
i czeluść pustyni – w końcu zasnę.

A już jutro:
 deszcz,
 młody las, księżyc i
 gwiazdy
 zaszumią nad moimi kośćmi.

Domagam się śmierci dla wilka.
 Tylko tyle, to wszystko – czego
 żądam.

Przełożył Grzegorz Łatuszyński

Andjelko Vuletić, wybitny poeta i prozaik chorwacki, urodzony w 1933 roku w Hercegowinie, studia rozpoczął na Uniwersytecie w Sarajewie na Wydziale Filozoficznym, kontynuował je na Uniwersytecie w Skopiu i w Belgradzie, gdzie uzyskał dyplom. Po studiach wrócił do Sarajewa i przebywał tam aż do 1993 roku, doświadczając przez szereg miesięcy grozy wojny i serbskiego bombardowania miasta. Od roku 1998 mieszka w Zagrzebiu. Zadebiutował jako prozaik w 1957 roku, później dał się poznać jako poeta. W swoim dorobku szereg powieści i ponad 10 tomików poetyckich oraz dwa dramaty. Tłumaczony na wiele języków, m.in. na francuski, niemiecki, angielski, włoski, polski, czeski, słowacki i ukraiński, szczególnie wysoko oceniony został we Francji, gdzie w 1984 roku ukazał się tom jego poezji pt. *Kiedy wielki będę jak mrówka*. Alain Bosquet w „Le Figaro” napisał wtedy: „Nie zdarza się codziennie, żeby Europa poznała wielkiego poetę... Poezja Vuleticia podbija nas cudowną harmonią w obrazowaniu rzeczywistości i tropieniu nieskończoności”.

W Polsce w 1972 roku wydana została nakładem PIW głośna powieść Vuleticia *Dziewiąty cud na wschodzie* w tłumaczeniu Grzegorza Łatuszyńskiego, a w 1999 wybór i przekład wierszy pt. *Dusze na kiju klonowym*. W 1994 nakładem Oficyny Wydawniczej Agawa ukazała się powieść *Żarliwość i gwałt* w tłumaczeniu Maryli Siwkowskiej-Łatuszyńskiej i Grzegorza Łatuszyńskiego.

Przekłady Marii Marjańskiej-Czernik

Bohumil Hrabal

Mewy

Latające białe krzyże, krzyk i wielkie lustra migoczące refleksami. Czarno-białe serdaki łowiące w toniach swój cień. Każdy sam siebie całuje na powierzchni czarnym dziobem! Chciałbym mieć czarodziejską różdżkę, którą zatrzymałbym życie w miejscu – jak w Śpiącej Królownie. Mewy stałyby się orchideami, których skrzydła jak promienie uderzałyby w oczy. Potem znowu zabarwiłbym je życiem, krzykiem i fantastycznym krążeniem nad wodą. Mam nawet wrażenie, że tak się stało. Przypominam sobie zresztą pewien szczegół: zdjęłem mewę z nieba jak butelkę z półki, przyłożyłem ją do ust i napiłem się jej cennego chłodu. Potem dłoń pękła, trzaskając pięcioma klepkami i czarnobiałe pierze uniosło się w przestworza.

Tworzenie

Krążące powietrze pobudza elektryczne pianino do dźwięku, a niewidzialne paznokietki ćwiczą gamy na liściach czereśniowego sadu nad rzeką. To zdumiewające, klawisze same wyskakują i same opadają. Mam w sadzie elektryczne piano i zamiast pięćdziesięciu halerzy wrzucam w nie książeczkę w pełni. Liście, listeczki, gałązki, gałązeczki tańczą, jak im wiatr śpiewa, a ja nie wiem, czy do ogrodu jakaś siła wpędza powietrze, czy może odkurzacz wysysa liście. To zdumiewające. Kiedyś myślałem, że wystarczy potrząsnąć czereśnią, a elektryczne pianino zacznie śpiewać, że wystarczy pisać, a wiersz stworzy się bez podmuchu. Ktoś położył mi na stół zaproszenie i elektryczne pianino zaczęło grać. To niebywałe – dotykać klawiszy, które same wyskakują i opadają.

Václav Čtvrtek

Jak szewc Rumcajs został zbójnikiem

(fragment książki *Rumcajs*)

W Jiczynie, w kramiku pod wieżą, już od dziesięciu lat miał warsztat szewc Rumcajs. Znał swój fach, a ludziom podobały się buty, które robił.

Rumcajsowi przyświecała taka zasada: „Dobry but to podstawa sprawiedliwego świata. Nie może być zbyt ciasny, aby nawet mały palec nie czuł się w nim uciskany, ale również nie może być za duży, aby ten palec nie czuł się w nim zagubiony”.

Na małym kopytku małym młoteczkiem przybijał Rumcajs zelówki do bucików panienek. Dla pań oraz panów miał większe kopyto i cięższy młotek. A kiedy po nowe zelówki przychodził jiczyński starosta Humpal, szewc Rumcajs zawsze zabierał robotę do kuźni.

– Pożycz mi kowadło i młot – mówił do kowala Sztancla, nadziewał starościński but na kowadło i walił w niego kowalskim młotem, a to dlatego, że Humpal miał stopy jak słoń. Był z nich bardzo dumny i mawiał o nich „moje słynne starościńskie stopy”. Dzięki tym stopom Humpal znany był w całej okolicy i właściwie z ich powodu już ósmy rok sprawował urząd starosty. A miał akurat rozpocząć dziewiąty rok urzędowania, więc wezwał szewca:

– Przyjdź, Rumcajsie, potrzebne mi są nowe buty.

Rumcajs wsadził w kieszeń zielonego fartucha długi pasek papieru do wzięcia miary, przez rękę przerzucił płat czerwonej kurdybanowej skóry i wolno poszedł do ratusza. Nie lubił pracować dla starosty Humpala.

Starosta siedział już w fotelu w sali obrad. Jedną nogę położył na poduszce, przytrzymywanej przez czterech pacholków pod wodzą wójta Fi-stuły. Dwunastu radnych stało wokół. Podziwiali stopę starosty.

– To dopiero stopa, co? – rzucił Humpal w stronę wchodzącego szewca Rumcajsza i z lubością pokiwał paluchem. Rumcajs nie pochwalił jego stopy, tylko zgodnie z prawdą powiedział:

– Jest to stopa ogromniasta, ale widziałem już większe.

Starosta z wściekłości zacisnął pięści.

Dwunastu radnych, widząc, że za chwilę będzie źle, wymknęło się z sali. Czterech pachołków wraz z wójtem Fistułą zamknęło oczy i zatkało uszy, by nic nie widzieć i nic nie słyszeć.

– Spotkałem kiedyś w Hradcu większą stopę – mówił dalej Rumcajs, odkładając na stół czerwoną skórę i szykując papierową miarkę. – Tak, to dopiero była gigantyczna stopa! Na tę waszą nóżkę uszyję but piorunem.

Starosta dobrą chwilę to czerwieniał jak kurdybanowa skóra, to znów bladł jak papier.

– Co się z wami dzieje, panie starosto? – zapytał z troską Rumcajs.

Humpal, który właśnie zaczynał fioletowieć, zerwał się z fotela, podarł cenną kurdybanową skórę na strzępy, wywalił wszystko przez okno, a Rumcajsa wypchnął za drzwi. Ledwo Rumcajs zdołał zatrzymać się w progu i spytać:

– Za co mnie, starosto, wyrzucacie?

– Za obrazę starościńskiej stopy – odrzekł Humpal tak dostojnie, jakby przybijał miejską pieczęć.

Z ulicy przed ratuszem Rumcajs pozbierał resztki kurdybanowej skóry. Pocieszał się, że przynajmniej będzie tego na dziecinne kapciuszki, ale żal i złość w nim pozostały. Tym bardziej, że kiedy dotarł do swego kramiku pod wieżą, drzwi zastał zamknięte. Wisiała na nich kłódka, jakby tak miało już zostać na wieki. Z każdej strony drzwi stał jeden pachołek wójta.

– Co tu robicie? – spytał Rumcajs. – Zwykle sam sobie pilnuję warsztatu.

Pachołkowie wskazali ręką na drzwi, do których przybito kartkę papieru:

ZA OBRAZĘ STAROŚCIŃSKIEJ STOPY

ZAMKNIĘTE NA ZAWSZE.

Tego już było Rumcajsowi za wiele.

– Jestem porywczym szewcem – zawołał do pachołków wójta – i tak łatwo wam ze mną nie pójdzie!

Strażnicy zrobili krok do przodu i wymierzili w Rumcajsa karabiny.

– Szkoda, że nie przywieźliście ze sobą armaty – stwierdził Rumcajs. – Ale jeszcze się przekonacie!

Strażnicy, nie zwlekając, zrobili w tył zwrot, ustawili bagnety i poprowadzili Rumcajsa między sobą. Przez miasto i przez pole doprowadzili go aż do pierwszych drzew Rzaholeckiego Lasu. A tam tak mu powiedzieli:

- Zmiałaj do lasu, bo do Jiczyna już nie masz wstępu!
- A czyj to rozkaz?
- Starosty.

Rumcajs wszedł między drzewa. A po chwili zawołał gromko z głębi lasu:

– Jeśli starosta sobie myśli, że z jego strony wszystko zniosę jak zelówka z najtwardszej skóry, to się grubo myli. W końcu się o tym przekonacie!

To miało miejsce na przedwiośniu. A kiedy wiosna już minęła, starosta Humpal przypomniał sobie, że pora wybrać się do lasu, by policzyć młode tegoroczne zające. Wziął notes i ołówek, na nogi kazał sobie wciągnąć najmocniejsze myśliwskie buty i poszedł. Wszędzie okazywano mu szacunek ze względu na jego wielkie stopy. W mieście kłaniali mu się mieszczanie, w polu kamienie same usuwały się z drogi. Z krzaków wyglądały młode zające i posłusznie meldowały swój wiek:

- Roczniak.
- Dwulatek.
- Trzylatek.

Starosta zapisywał to w notesie.

Doszedł tak aż do Rzaholeckiego lasu. Drzewa mu się kłaniały, a grzyby zdejmowały kapelusze, gdy wszedł w gęstwinę.

Kiedy starosta zmęczył się przechadzką po lesie, kiedy już podliczył w notesie wszystkie zające, ułożył swe strudzone ciało pod dębem. Zapadł w drzemkę, błogo się uśmiechając do czubków swych przesławnych nóg. Ach, jaki słodki sen... Wtem koło lewego ucha Humpala coś zahuczało:

- A teraz się przekonasz!

Groźba wyrwała Humpala ze snu, rozejrzał się na wszystkie strony. Nigdzie nic. Nawet trawka się nie poruszyła.

A tu nagle w prawe ucho:

- Teraz się przekonasz, Humpalu!

W jednej chwili z przodu, z tyłu, z dębów i ze świerków dobiegał głos:

- A teraz spróbujemy się, starosto!

Humpal kręcił głową na wszystkie strony. Nigdzie nikogo. Aż w końcu senność go zmogła.

W młodniku rozstąpiły się gałęzie i obok Humpala stanął Rumcajs.

Były jiczyński szewc tak się zmienił, że trudno go było poznać. Twarz przykrywała mu gęsta broda, a w niej gnieździł się rój leśnych pszczoł. Na głowie miał kapelusz z sosnowej kory, kurteczkę pozszywaną z kawałków kurdybanowej skóry. Spodnie zaś tak poszarpane, że pasek ledwie je podtrzymywał, a za paskiem nosił teraz pistolet w kształcie różka. Tylko na buty miło było popatrzeć!

Rumcajs podszedł bliżej i zatrzymał się przy słynnych stopach śpiącego starosty Humpala. W milczeniu obejrzał je i po szewsku delikatnym, a po zbójnicku błyskawicznym ruchem ściągnął Humpalowi buty.

I nadal w ciszy przyglądał się słynnym stopom starosty odzianym już tylko w prążkowane skarpety. Potem uszczypnął Humpala w duży palec.

Gwałtownie zbudzony ze snu starosta wpadł w przerażenie:

– O rety! Zbójnik!

– To, że jestem zbójnikiem, to wasza zasługa, panie starosto – powiedział Rumcajs, a potem spokojnie wskazał Humpalowi drogę wychodzącą z lasu. – A tędy, panie starosto, wiedzie droga do Jiczyzna – i już tylko poruszyła się gałąź, a Rumcajsza jakby nigdy nie było.

– Ale miałem dziwny sen – mruknął starosta Humpal. Uniósł się z trawy, otrzepując kolana. I nagle spostrzegł dwie ogromniaste stopy tylko w prążkowanych skarpetach. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– No i dobrze – warknął wściekle w stronę krzaków. – Ja i tak jakoś dojdę do domu, Rumcajsie. Ale ty będziesz miał jutro na karku księżących kanonierów.

– Tralalala! – wykrzywił się z krzaków zbójnik Rumcajs.

Humpal zrobił krok w kierunku Jiczyzna. I syknął. Zrobił drugi. I zaklął. Bo jego przesławne starościńskie stopy nie nawykły do chodzenia jedynie w skarpetach. Starosta potykał się o korzenie, a kamienie jakby mu same włożyły pod nogi. Stopy odziane tylko w skarpety straciły cały majestat i nawet kamienie nie miały dla nich szacunku.

Starosta kuśtykał i kuśtykał, aż dotarł na ulice Jiczyzna. Ludzie przyglądali mu się zdumieni.

– Starosta wraca w samych skarpetach!

Ale miało być jeszcze gorzej. Humpal tak sobie na nierównej drodze poobijał stopy bez butów, że zrobił mu się na dużym palcu ogromny odcisk. Im starosta był bardziej zbolały, tym weselej ten odcisk mrugał do kobiet wychylających się z okien.

Gdy Humpal przeszedł przez miejską bramę, na rynku czekali już na niego radni, a najstarszy z nich powiedział:

– Humpalu, z powodu utraty majestatu stóp, nie jesteś już starostą w Jiczynie.

Oj, nie daruje Humpal tej zniewagi.

Kiedy włókł się dalej przez rynek, z okna zamku wyglądał właśnie jiczynski książę pan. Panował on w Jiczynie ze swą księżną Majoleną i oboje łatwo wpadali w złość. Książę pan był na górze, a Humpal na dole. Nagle potykający się starosta zawołał w stronę okna:

– Z całym szacunkiem, ale książę pan ma w Rzaholeckim Lesie przedziwne porządki!

– *Kua? Co?* – spytał książę po francusku i zwinął dłoń w trąbkę przy uchu.

– Zalągl się tam księciu panu zbójnik Rumcajs – donosił Humpal, wznosząc w górę paluchy w prążkowanych skarpetach. – Powinno się na niego wysłać wojsko.

Humpal nie wiedział, że to, czego nie powiedział sam cesarz, wpadało księciu panu jednym uchem, a wypadło drugim. Nim przekuśtykał przez rynek, książę pan o niczym już nie pamiętał.

I tak by zostało, gdyby następnego dnia nie zachciało się księżnej Majolenie prawdziwków. [...]

Przełożyła Maria Marjańska-Czernik

Jerzy Binkowski

Dwie duże dziewczynki w skowronkach

Czyta się tę książkę od deski do deski, zapominając o oddychaniu. Czy to intrygujący kryminał? Może ta książka jest powieścią otwierającą oczy na istotę miłości dwu kobiet – dziewczynek, uśmiechających się, niezależnie od licznych, codziennych wydarzeń? Może jest to doskonały współczesny poradnik „w drodze do piękna i szczęścia kobiet”?

Krakowskie Wydawnictwo Znak pod koniec roku 2019 zaproponowało czytelnikom deser estetyczno-etyczno-intelektualny Joanny Kulmowej i Wisławy Szymborskiej pod tytułem *Tak wygląda prawdziwa poetka, podciągnij się! Listy*. Profesor Urszula Chęcińska z Uniwersytetu Szczecińskiego opracowała na 388 stronach epistolografię relacji Wisława Szymborska (1923-2012) – Joanna Kulmowa (1928-2018) oraz opatrzyła ją wstępem i posłowiem. Rangę naukową tej precyzyjnie zredagowanej książki potwierdza indeks osób, który wieńczy dzieło.

Joanna Kulmowa i jej mąż Jan powierzyli prof. Chęcińskiej zasoby archiwum domowego, łącznie z zabytkowymi meblami i obrazami, gdy zdecydowali się wrócić do Warszawy z trzydziestopięcioletniej (1961-1996) dobrowolnej „pustelni” w Strumianach w Puszczy Goleniowskiej obok Starogardu i Szczecina. W ten sposób powstała na Uniwersytecie Szczecińskim „Sala Strumiańska” – muzealny ślad po utytułowanej doktorat honoris causa na tym właśnie Uniwersytecie (2010 r.), poetce.



Joanna Kulmowa, Wisława Szymborska
Tak wygląda prawdziwa poetka, podciągnij się! Listy. Oprac. Urszula Chęcińska.
 Wydawnictwo Znak, Kraków 2019,
 stron 400,
 ISBN 978-83-2405-950-8



Urszula Chęcińska i Joanna Kulmowa

Prof. Urszula Chęcińska pisze, że w archiwum strumiańskim, pieczolowicie gromadzonym przez Jana Kulmę, zachowało się 9 listów oraz 70 kartek i kolaży Wisławy Szymborskiej. W archiwum Wisławy Szymborskiej, które znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej i jest własnością Fundacji Wisławy Szymborskiej, zachowało się 125 listów Joanny Kulmowej. Korespondencja między poetkami obejmuje lata 1954-2011.

Książka ożywia relacje między dwiema osobami o szlachetnym talencie poetyckim, który iskrzy żartem, paradoksem, kalamburem, a zawsze elegancją. Dodaje otuchy świadomość, że są takie osoby jak one – dwie dziewczynki w skowronkach, pomimo trudów codziennego życia.

Jedna z nich jest bardziej zaangażowana w dialog. Ona też zaproponowała regułę korespondencji: „Ja będę pisała, bo lubię pisać listy, a Ty pisz wtedy, gdy zechcesz; niech moje listy nie wzbudzają w Tobie poczucia winy i konieczności natychmiastowej odpowiedzi. Wiem, że jesteś zaangażowana w prace na wielu polach”. Tak sparafrazowałem propozycję i zapewnienia Joanny Kulmowej.

Mogę przypuszczać, że różnica „ilościowa” w zaangażowaniu – 125 najczęstiej obszernych i wielowątkowych listów Joanny Kulmowej bierze

się z topografią – „konfiguracji powierzchni, uwzględniających jej kształt (rzeźbę terenu) oraz obecność i wzajemne położenie obiektów i punktów charakterystycznych”. Życie w dawnej leśniczówce, w tzw. Różowym Domku na obrzeżach wsi Strumiany, to radykalnie odmienny krajobraz od architektury pięknego miasta Kraków. Cisza inna i czas płynie inaczej. Czas i przestrzeń kształtowała Joanna Kulmowa rytmem swojego serca, barwą uczuć wzbierających przy każdym spojrzeniu na las, zwierzęta (psy, koty, rybki w oczku wodnym), ptaki. U obu Pań istotę twórczości stanowiła wielkość pomysłów i natchnień. Wisława Szymborska ściśnięta była uliczkami starego miasta, obowiązkami redakcyjnymi („Życie Literackie”) i organizacyjnymi (wtedy Związek Literatów Polskich). Przyszła noblistka była „zwarta”, rzeczowa. Posługiwała się często wycinankami, „chwytym scenograficznym” – kolażem. Joanna Kulmowa miała świadomość, że Strumiany to pogranicze obecne w duszach – tutejszych po wojnie: Łemków, zabużan, Wielkopolan, wilniuków, Pałuczan, Kujawian. W *Strumiańskim wędrowaniu* (wyd. Pogranicze, Sejny 2004, ss. 190) pisała: „Wszędzie tam natrafiałam na pogranicze. Bo pogranicze jest od zawsze i we mnie. Pogranicze powagi i śmiechu, prozy i poezji, infantylizmu i dojrzałości, liryki i satyr”.

W listach do Wisławy Szymborskiej Joanna Kulmowa przede wszystkim była miła, życzliwa, a niekiedy zachwycona w komentarzach do otrzymywanych wierszy. Zazwyczaj dodawała animuszu interlokutorce i sobie, czasami była zatroskana i cierpiąca. Państwo Kulmowie w 1972 r. już na stałe zdecydowali się opiekować w Strumianach swoimi matkami, matką Joanny – Wandą (1894-1976) i matką Jana Kulmy – Heleną (1896-1979).

Czytelnik odnajduje wiele powodów do radości. Przykładem lekkości i swobody listów niech będzie jeden z dziesiątków półuśmiechów Joanny. Oto w liście z 5 XI 1963 r., umieszczonym na stronie 40, pisze: *U nas nie ma rydzów i Kulma też wyjechał (do NRD – brodatych to wysyłają!), ale za to są olszówki, opieńki, psy, koty, mama robiąca na drutach sweterki, zepsute radio, odlatujące ptaki, koks w piwnicy, woda w kranie, kielbie we łbie. Przyjeżdż kiedykolwiek! Może na święta? Co? Ten list piszę takimi wołami, bo przed chwilą pisałam do niedowidzącej ciotki i już tak mi zostało. A może to mania wielkości (...)*

Wielokrotnie wracałem do lektury książki, stosując bardzo osobisty klucz. Rozpoznawałem, o czym piszą poetki, odnajdując treść listów według dat osobistego życia. Synchronizowałem z wydarzeniami i uczuciami własnego życia. Młodzieńcze zainteresowania poezją zaczynałem w liceum, a więc rok 1963, matura – 1967, wydarzenia marcowe w 1968 roku i moja

sprawa sądowa – oskarżenie o dążenie do obalenia ustroju Polski Ludowej, potem dramat grudnia 1970 roku, w rodzinnym mieście w Gdyni, rok 1974 i 1975 to lata, gdy zostałem ojcem, 1978 – wybór kardynała Karola Wojtyły z Krakowa na papieża Kościoła, „Solidarność” sierpnia 1980 i nagroda Nobla Czesława Miłosza, cierpienie stanu wojenny 1981-1983, rok marzeń o wolnej Polsce – 1989... aż do nagrody Nobla dla Wisławy Szymborskiej w 1996. Tropiłem niczym detektyw i odkrywałem znaczenia tych dat w życiu korespondujących poetek. Patrzyłem również na daty, podług których liczyłem, ile lat miała autorka danych fraz, gdy je pisała. Dziwiłem się, gdy wynik obliczenia brzmiał, np. osiemdziesiąt lat. O, żyć w takiej dynamice po osiemdziesiątce!

Szukałem także śladów zaangażowania religijnego i form pobożności u tych wielkich postaci poezji polskiej.

Wisława Szymborska w listach obiecywała, że przyjmie zaproszenie do Strumian – oazy ciszy, wolności i muzyki lasu. Jednak los nie sprzyjał tym planom. Nigdy nie zagościła w pustelni strumiańskiej. Natomiast plany spotkania się w Krakowie i Zakopanem urzeczywistniły się.

Jako jeden z najatrakcyjniejszych zabiegów redakcyjnych spostrzegam umieszczenie fotografii rozpoczynającej korespondencję (str. 19) i fotografii zamykającej korespondencję (ss. 368-369). Na zdjęciu pierwszym widzimy jedynie profil Wisławy Szymborskiej, zaś w sylwetce drugiej osoby odpoczywającej w plenerze możemy domyślić się, po charakterystycznym kapeluszu, że tam siedzi Joanna Kulmowa. Natomiast ostatnie zdjęcie uwiecznia pełną twarz w słońcu – Joannę i pozostającą w półcieniu twarz Wisławy Szymborskiej. Taki jest efekt epistolografii: Kulmowa bardzo się odsłoniła, jest w listach epicka, liryczna i satyryczna, natomiast Szymborska pozostała w półcieniu, zasłoniła się przed światłem.

Oba zdjęcia w Zakopanem wykonał Jan Kulma, któremu Urszula Chęcińska zadedykowała tę książkę (*Pamięci Jana Kulmy*), a który jest drugoplanowym bohaterem książki. Jan wybrał służbę poetce-żonie. Blask jej talentu wystarczał. Ona, poetka, odwdzieczyła się mężowi, pisząc *Wio, Leokadio* (1964) i później (1990) *Suplement mój – Jankowi – do Jego filozoficznego suplementu*.

Wisława Szymborska zwierzyła się kiedyś Kornelowi Filipowiczowi, że Joanna Kulmowa to „przyjaciółka moja i poetka grubo niedoceniona”. Prawda. Zgadza się. Tak jest od lat. Przypisano Joannie funkcję poetki dla dzieci. Tymczasem zapał moralny i filozoficzny Kulmowej, który może wstrząsnąć czytelnikiem dorosłym, objawia się w każdym wierszu

dla dzieci, w każdej satyrze, w każdej sztuce teatralnej i powieści. Dlaczego nie doceniono odpowiednio genialnej *Topografii myślenia* (2001) – bardzo trudno znaleźć sensowną odpowiedź.

Dramatycznym spostrzeżeniem, które było moim udziałem, gdy przeglądałem w końcu 2019 roku numer sopockiego „Toposu”, stała się lektura list 100 największych polskich dokonań poetyckich. Żadna spośród osób, które złożyły propozycje, nie wymieniła jakiegokolwiek utworu Joanny Kulmowej. Noblistka Wisława Szymborska była.

Prawdopodobnie staje się tak, że środowiska literackie zgromadzone przy określonym wydawnictwie z czasem ujednolicają, schematyzują swój odbiór, percepcję, oczekiwania. Stają się wtedy „nieprzemakalne” wobec odmiennych form i treści. Mechanizm „naznaczenia” jednym otwiera drogę do istnienia publicznego a innym – także interesującym twórcom i ich talentom – zamyka.

W moim archiwum przechowuję list Joanny Kulmowej do mnie z 18 września 2004. Dzieliła się ze mną opinią o wielkich poetach:

Teraz mi smutno, że umarł Miłosz, jedyny naprawdę wielki ze współczesnych poetów, bo interesujący się wielością (podkreślenie Joanny Kulmowej) spraw tego świata i stale ze sobą i światem wojujący. Był mi bliski i w tym, i w znajomości formalnego rygoru. No i w miłości do polskiej mowy, co czasem wydawało się u niego patosem – ale to był szlachetny polot romantyczny. Herbert przy nim to betka, a Wisława (mimo lotnego dowcipu) sucha w swojej beczułości. Papież – niestety – na koturnach, bezcielesny (wybacz). Różewicz przy ziemi pełza. Tym bardziej żal, że nie ma już Intelktualisty – Miłosza.

Wracam do głupiutkich moich fantazji „krześlakowych” – trzeba robić swoje, na radość przynajmniej tym najmłodszym.

Ściskamy mocno Ciebie i Janę – jedna z najstarszych – Joanna

Profesor Urszula Chęcińska pisała do mnie m.in.:

Wyjaśniam rzeczy ważne:

W 2002 roku Joanna i Jan przekazali Bibliotece Głównej Uniwersytetu Szczecińskiego pamiątki ze Strumian: meble, obrazy, książki, także archiwum (bez listów). I wyznaczyli mnie na opiekuna naukowego tych zbiorów.

Tak powstała Sala Strumiańska.

Kulmowie w 2002 roku zastrzegli, że po śmierci Joanny Kulmowej sala powinna zmienić nazwę na Salę Joanny Kulmowej.

Jak wiesz, 13 grudnia 2018 roku zmieniłam nazwę na Salę Joanny i Jana Kulmów.

Bo jak można było zapomnieć o Janie!

Cieszę się, że mi się to udało. Jan nie żyje. Teraz byłoby trudno znowu zmieniać nazwę.

Jerzy Drogi.

Jan przekazał mi korespondencję do opracowania.

Wiedział, że ja nie spocznę, dopóki nie opracuję wszystkiego.

Zgodnie z Jego wolą wszystkie listy po ich opublikowaniu trafią do Biblioteki.

Jerzy! Pracuję nad nową książką. Moje listy nie są takie ważne, są inni poeci i pisarze. Trzeba dalej walczyć o Kulmową! (...)

Kończąc prezentację książki prof. Urszuli Chęcińskiej, zwracam się do Niej osobiście:

Pani Profesor! Urszulo!

Czy nie znajdzie się w gronie doktorantów Uniwersytetu Szczecińskiego osoba, która by w pracy doktorskiej podjęła się zaprezentowania Twoich zasobów epistolarnych!?

Wyobrażam sobie książkę pt. Tak wygląda prawdziwa poetka: korespondencja Joanny Kulmowej i Urszuli Chęcińskiej.

Uniwersytet z Izbą Strumiańską sfinansuje projekt? Prawdopodobnie nie znajdziesz jeszcze innych mecenasów. Równie prawdopodobne jest, że po Twojej głowie także chodzi podobna myśl. Urszulo, książka Twoja ożywiła Joannę. Gdyby nie zabrzmiało to przesadnie, powiedziałbym: Joanna zmartwychwstała. Twoja obecność jest i dyskretna, i niezbędna (notki źródłowe i wyjaśniające) – to elegancja znamionująca profesjonalizm. Przyjmij mój szacunek, radość i wdzięczność.

Podaj swoje relacje epistolarne z Joanną do publicznej wiadomości. Czytelnicy jeszcze głębiej polubią i uszanują Joannę Kulmową

Nie chcesz zawalczyć o pamięć o genialnej poetce i dobrym człowieku?

Jerzy Binkowski

Konrad Sutarski

Przykazania

Miałem wtedy chyba sześć lat. Zbierałem jeżyny w lesie, na jego skraju. Były słodkie, soczyste, po prostu wyśmienite. Usmarowany czarnym so-kiem, szczęśliwy, jadłem je i jadłem, jak urzeczony.

Nagle uzmysłowiłem sobie, że zmierzch zapada. Znajdowałem się z dala od wsi, gdzie wówczas mieszkalem, od jakichkolwiek zabudowań. Sam! Krzaki jeżynowe – tak zachęcające przed chwilą – zjeżyły kolce, las pociemniał, powiało chłodem, a wszystkie zasłyszane wcześniej opowieści o wilkach, wiedźmach i wilkołakach zawyły mi nagle w głowie.

Gnany niesamowitym strachem, puściłem się całym pędem w kierunku domu, zaś złowrogi las cwałował za mną, pętał i na kark mi wsiadał. Udało mi się go strząsnąć dopiero wtedy, gdy zziąjany, nieprzytomny dopadłem wreszcie drzwi, zatraskując je w sieni za sobą.

Przykazania – dziwnym trafem – kojarzą mi się właśnie z owym odległym, dziecięcym przeżyciem. Nie jakieś konkretne przykazanie, jak: „czcij ojca swego i matkę swoją”, czy „nie zabijaj”, „nie mów fałszywego świadectwa”, ale wszystkie one razem wzięte – i boskie i ludzkie – cały ten zbiór przepisów na godziwe życie.

Strach, który mnie wówczas za wsią opętał – w okolicy bliskiej mi skądinąd i miłej, niedaleko Częstochowy i jasnogórskiego klasztoru pochodzących z Węgier ojców paulinów – łączy się w moim umyśle do dziś ze strachem, jaki ogarnia (czy może raczej: powinien ogarniać; jak źle, że nie ogarnia) ludzi przekraczających granice zakreślone przez doświadczenia i cierpienia tysięcy.

Spośród przewinień najbardziej chyba wyczuleni jesteśmy na przypadek zabójstwa. Obruszamy się na jego widok nieraz aż do szpiku kości – odwracając głowy, wyłączając telewizory niosące okrutne wieści, podpisując listy protestacyjne, wysyłając polityków na pertraktacje, organizując światowe zgromadzenia państw z siedzibami w najpiękniejszych miastach świata. Mimo to mordercy czują się dobrze do dziś, śmieją się nam w twarz i nadal zabijają: czy to w pojedynkę, czy też wszczynając wojny przeciw całemu narodowi. Widocznie strach przed lasem o zmierzchu jest tylko w nas, choć powinno być bezwzględnie odwrotnie.

Zastanawiając się nad losem przykazań, odnoszę wrażenie, iż Mojżesz zniósł ludziom nie wszystkie otrzymane od Boga tablice. Kamienne były,

na pewno niesamowicie ciężkie. Musiał upuścić i zgubić jedną z nich, – jakkolwiek nie przyznał się do tego – tablicę z napisem: „żyj bez nienawiści”. Gdybyśmy ją mieli, zapewne nie trzeba byłoby tak często spoglądać z trwogą na tablicę: „nie zabijaj”. Wszak przykazaniowe ostrzeżenia wiążą się w cały spójny system. Z tym jednym wyjątkiem. A przecież bez nienawiści i opluwania się życie na co dzień byłoby prostsze.

I do lasu można byłoby częściej chodzić bez obawy, że zmierzchną za chwilę zapadnie.

Konrad SutarSKI

Nasz Polak czyli dr Konrad Sutarski¹

Nic dziwnego, że powszechnie na Węgrzech tak się o nim mówi. My, Polonia dlatego, że jest na pewno najbardziej znanym współczesnym działaczem i pisarzem polonijnym na Węgrzech, a dla Węgrów pracował jako konstruktor i wynalazca, a następnie jako tłumacz i propagator przede wszystkim poezji węgierskiej oraz głosiciel idei odwiecznej przyjaźni polsko-węgierskiej. Nic więc dziwnego, że jest zarówno nasz polski, jak i nasz, węgierski.

O Konradzie Sutarskim dowiedziałam się po raz pierwszy tuż po mojej przeprowadzce na Węgry w 1976 r., kiedy to ukazał się w Budapeszcie w języku węgierskim jego tomik wierszy *Konrad Sutarski versei*. A jego autor właśnie teraz, we wrześniu 2019 roku, obchodzi 85. urodziny. Jak ten czas szybko mija. Zresztą tak naprawdę to nikt mu tylu lat nie daje.

Alicja Nagy – Teraz, kiedy stałeś się bezsprzecznie największym działaczem polonijnym nie przypuszczam, aby w naszych kręgach polonijnych znalazł się ktoś, kto by o tobie nie słyszał, ale z okazji tak pięknych, bo 85. urodzin warto przypomnieć twoją niezwykłą i bogatą drogę życiową.

Konrad Sutarski – Urodziłem się 21 września 1934 r. w Poznaniu i po II wojnie światowej, jako typowy przedstawiciel polskich rodzin, wysiedleńców i pogorzelców, którego rodzice utracili cały majątek, a zginął i ojciec, oficer wojsk polskich, po powrocie do Poznania ukończyłem tam w 1958 r. studia politechniczne na wydziale mechanizacji rolnictwa i zacząłem pracę jako konstruktor. Na Węgry przyjechałem w 1965 r., jak zresztą większość z nas, za głosem serca. Żoną moją została pianistka, nauczycielka muzyki, Györgyi Nagy. Mamy co prawda jednego syna, Szabolcsa, posiadającego – jak i ja – obywatelstwa obu krajów, ale za to trzech wnuków. Na Węgrzech

1 Konrad Sutarski obchodził we wrześniu-październiku 2019 roku na Węgrzech i w Polsce jubileusz 85-lecia. Z tej okazji żyjąca na Węgrzech dziennikarka polonijna, była redaktor naczelna miesięcznika „Polonia Węgierska” Alicja Nagy opublikowała na łamach tegoż pisma (9/2019) wywiad z jubilatą. Przedrukujemy go tutaj za zgodą autorki, ponieważ z Węgier, czy w ogóle z zagranicy niewiele materiałów dociera do Warszawy o tamtejszej działalności naszych członków. *Redakcja*

podjąłem pracę w budapeszteńskim Instytucie Rozwoju Maszyn Rolniczych. Byłem konstruktorem wiodącym zespołów, a potem zastępcą kierownika oddziału, które opracowały szereg rozwiązań technicznych w zakresie budowy maszyn do zbioru rozmaitych warzyw. Z tego tematu doktoryzowałem się w 1969 r. na Uniwersytecie Rolniczym w Gödöllő. Miałem wynalazki, patenty, nagrody. Jeden z kombajnów do zbioru fasoli strączkowej i papryki przyprawowej uzyskał nagrodę główną w 1973 r. na Międzynarodowych Targach Budapeszteńskich, inny natomiast, do zbioru pomidorów Nagrodę Ministra Przemysłu w 1987 r.

Ty, inżynier z wykształcenia i wynalazca, jeszcze jako student w Poznaniu dałeś się poznać jako poeta, co bardzo wpłynęło również na twoją drogę życiową na Węgrzech.

Poetą publikującym stałem się na przekór pacyfikującym, represyjnym działaniom władzy w 1956 r. Wkrótce po czerwcowych krwawych wydarzeniach politycznych w Poznaniu zostałem współzałożycielem grupy literackiej „Wierzbak”, w której znaleźli się także późniejsi świetni poeci Marian Grześczak, Ryszard Danecki, Józef Ratajczak. Miałem już na swoim koncie pewną ilość nieopublikowanych ze względu na sytuację polityczną wierszy. W dniu 12 listopada 1956 r. odbył się nasz pierwszy publiczny wieczór. W 1957 r. opublikowaliśmy pierwszy zbiorowy tomik *Liść człowieka*, którego tytuł był zarazem tytułem jednego z moich wierszy. Od razu zwróciliśmy na siebie uwagę, właściwie w całym kraju. Zainicjowaliśmy pierwsze w kraju ogólnokrajowe Festiwale Młodej Poezji, które w latach 1957-1961 przyciągały do Poznania wielu również starszych poetów i krytyków literackich.

Ja sam jako poeta jeszcze w 1956 r. uzyskałem Literacką Nagrodę Młodych kulturalnego pisma „Wyboje”, rok później zlikwidowanego przez cenzurę. W styczniu 1957 r. zaprezentowaliśmy poezję polityczną i wtedy recytowałem po raz pierwszy mój wiersz *Wracacie*, poświęcony ojcu, internowanemu w 1939 r. w Starobielsku i, jak się później okazało, zamordowanemu przez NKWD w Charkowie. Ze względów politycznych aż do 1988 r. nie mógł być drukowany, jedynie czytywałem go przez lata na spotkaniach autorskich.

Mój pierwszy tomik poetycki *Skraj ruchu* ukazał się w 1960 r., a rok później otrzymał on wyróżnienie Poznańskiego Festiwalu za najlepszy poetycki debiut książkowy. Po roku 1961, kiedy „Wierzbak” się rozpadł, przestałem publikować swoje wiersze i zająłem się inżynierską pracą zawodową...

...którą kontynuowałeś, mieszkając już na stałe na Węgrzech. Czy nie brakowało ci poezji, możliwości przelewania swych uczuć na papier?

„Poetą się bywa, a nie jest” – jak mawiał mój starszy kolega po piórze, Julian Przyboś. Dlatego w 1975 r. po dłuższej przerwie wydany został w Polsce mój drugi tomik *Wyprawa na pole nieudeptane*. Kiedy już zadowolilem się na Węgrzech, trochę poznałem język węgierski, zainteresowałem się poezją węgierską i jej przekładami na język polski początkowo na potrzeby czasopism, m.in. miesięcznika „Poezja”. Z czasem powstało z tego szereg książek wydanych w wyborze i częściowo w moim przekładzie, jak w 1980 r. wiersze wybitnego poety, zamordowanego przez Niemców, Miklósa Radnótiego *Spienione niebo*, czy rok później Sándora Csoórie-ga, laureata nagrody im. Herdera, *Era oczu*. W 1985 r. wyszła antologia współczesnych węgierskich poetów krajowych *Przepowiednia czasu twego*, a w 1990 r. antologia poetów węgierskich, ale żyjących za granicą – wzbogacona i powtórzona w roku 2007 – *Jak daleko, jak blisko*. Działając równolegle jako poeta, tłumacz i człowiek, przekazujący do Polski dziennikarskie wieści o życiu kulturalnym na Węgrzech, opublikowałem w 1984 r. tomik *Zgęstniałe powietrze* z antykomunistycznymi wierszami, bardzo przychylnie przyjęty w Polsce. W 1993 r. ukazał się kolejny wybór moich wierszy *Z dala od najważniejszych dróg*, w 2000 r. *Podźwignęło się morze* – autorski wybór przekładów powszechnej poezji węgierskiej, a w 2005 r. dwujęzyczny wybór moich poezji *Na podwójnej ziemi*.

Po dość krótkiej, ale bogatej w wydarzenia karierze dyplomatycznej, kiedy to wydałeś węgierskojęzyczną antologię *Hét lengyel éneke* (*Śpiew siedmiu Polaków*), której byłeś wydawcą, autorem wyboru i słowa wstępnego – w 1993 r. rozpoczęła się twoja współpraca z telewizją „Duna”.

W Telewizji Duna (Duna Televízió) zadebiutowałem średniometrażowym wywiadem z Andrzejem Wajdą, a potem były rozmowy z Lechem Wałęsą w Pałacu Belwederskim, Czesławem Miłoszem, Krzysztofem Pendereckim. Zrobiłem film o Katyniu i o moim zamordowanym w Charkowie ojcu, tym samym na 15 lat przed filmem Wajdy składając hołd wszystkim ofiarom tego strasznego mordu.

I wreszcie stałeś się najważniejszą osobą Polonii, naszą wizytówką. W 1995 r. na mocy ustawy stworzonej przez węgierski parlament w 1993 r. powstał w marcu 1995 r. Samorząd Mniejszości Polskiej na Węgrzech, a wcześniej, w styczniu, Stołeczny Samorząd Mniejszości Polskiej w Budapeszcie. W obu ciebie wybrano na przewodniczącego, do

1999 r. Funkcję przewodniczącego Ogólnokrajowego Samorządu Polskiego pełniłeś natępnie jeszcze dwukrotnie, w latach 2001-2007.

W 1998 r., dzięki temu zainicjowałem utworzenie w Budapeszcie Muzeum i Archiwum Węgierskiej Polonii, najstarszej naszej instytucji kulturalnej. Od 2003 r. fundusze na jego działalność zapewnia Urząd Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Zrobiliśmy tu kilka świetnych rzeczy, między innymi w 2006 roku stała wystawę *Tysiąc lat powiązań polsko-węgierskich, Rodem z Polski* (wystawa członków Forum Twórców polonijnych na Węgrzech: artystów plastyków, literatów, dziennikarzy, naukowców, muzyków), *Poznań-Budapeszt 56*. Muzeum oczywiście działa dalej, już pod zmienioną nazwą (Polski Instytut Badawczy i Muzeum) oraz pod innym kierownictwem. W czasach mojego przewodniczenia utworzone zostały jeszcze dwie następne instytucje polonijne: Dom Polski (1998), przekształcony później na Polski Ośrodek Kulturalno-Oświatowy, i Ogólnokrajowa Szkoła Polska (2004).

Konradzie, w 2014 r. skończyłeś z pracą samorządową i muzealną przechodząc na emeryturę, ale tak naprawdę od tej chwili rozpocząłeś na dużą skalę pracę literata. W ciągu tych pięciu lat wydałeś 11 książek w 17 tomach (8 w języku polskim, 9 w węgierskim.) Są to: między innymi wiersze wydane w Sopocie w 2015 r. *Jakkolwiek już późno*, dwujęzyczna *Stacje ludzkiego sprzeciw, Powiększenie ojczyzny / A haza kiterjesztése*, także *Zarys dziejów Polski z węgierskimi powiązaniem*, także dwujęzyczny.

Nie jestem zawodowym historykiem, ale w październiku 2017 r. Ogólnokrajowy Samorząd zorganizował polsko-węgierską konferencję historyczną *Historyczna rola Polski i Węgier w obronie chrześcijańskiej Europy od św. Władysława z domu Arpadów do czasów współczesnych*, gdzie wygłosiłem wprowadzający referat pod podobnym tytułem, i jednocześnie potwierdzona została tam moja teza, iż Polska oraz Węgry najdłużej i zwykle razem broniły – a także nadal bronią – chrześcijańskiej Europy przed rozmaitymi zagrożeniami. Referaty konferencyjne ukazały się drukiem w roku 2018. Natomiast teraz, na 85-lecie, ukaże się jeszcze następna pozycja, *Polska i Węgry w obronie Europy*, też dwujęzycznie.

Tvoja praca zarówno literacka jak i samorządowa została znakomicie oceniona na Węgrzech. Poza prestiżową nagrodą Gábora Bethlena (1992), otrzymałeś trzy państwowe nagrody: w 2013 r. narodowościową, rok później muzealniczą im. Móry Ferencza, w 2019 literacką im. Józsefa Attili jako pierwszy twórca niewęgierskojęzyczny, a ponadto w 2014 r.

zdobyłeś najwyższą polonijną nagrodę im. Św. Władysława i Kawalerski Order Zasługi dla Węgier. Taki sam order otrzymałeś zresztą w 2004 r. w Polsce, zaś w 2016 r. brązowy medal Zasłużony Kulturze Polskiej „Gloria Artis”, a w tym roku ponadto Nagrodę im. Józefa Bema, przyznaną przez samorządy: budapeszteńskiej dzielnicy Óbuda-Békásmegyer i warszawskiego Bemowa. Chyba nie będzie przesadą, jeśli powiem, że jak na jednego człowieka to bardzo dużo, nawet jeśli się ma już 85 lat.

*Rozmawiała Alicja Nagy
dziennikarka polonijna na Węgrzech*

Modne ubranko

bardzo jesteś zadowolony
bo ubrałeś się w modne ubranko
paradujesz w nim
na co dzień i od święta

w starym co prawda
byłeś bardziej autentyczny
ono bardziej pasowało
do twoich podążań niewielkich
skrobań dychawicznych
na za wysokie schody

a teraz ubrany w modne ubranko
już nie pamiętasz że ci dusza śmierdzi
kołatkę niezgrabną zamieniłeś w puzon
uwierzyłeś że czyste skarpetki
zastąpią umycie nóg

tymczasem jesteś cały z pozoru
i wyłącznie na przelotny pokaz.

24.07.1977